Kwiecień — 1858.

# PIERWSZE LATA
# PANOWANIA STANISŁAWA AUGUSTA.

Epizod historyczny *).

Jak z najmniejszych częstokroć strumyków największe formują się rzeki; tak trafia się, iż z najniższéj extrakcyi ludzie na najwyższy stopień w swoich Potomkach wychodzą.

---

*) Zamieszczony tu ustęp, a raczéj początek panowania Stanisława Augusta, w rękopiśmie jaki nas doszedł, obejmuje ledwo cztéry lat jego rządów, czyli doprowadzając do pierwszych chwil zawięzującéj się Konfederacyi Barskiéj, przerywa się, z powodu brakującego dalszego ciągu. — Wszakże ze wzmianki o zgonie królewskim na petersburgskiem wygnaniu, jasno pokazuje się, że żywot ten doprowadzony być musiał do końca, i że nieznany nam Autor pisał go w początkach bieżącego wieku. To jednak twierdzić można ze względu na ciekawe a we współczesnych pamiętnikach nie znajdujące się szczegóły drobiazgowe lecz wiele objaśnia-

Dziad Stanisława Poniatowskiego króla Polskiego był Synem naturalnym Hrabiego Sapiehy, który Possessora jednéj wioski swojéj Poniatowskiego Ciołka nazwiskiem, skłonił, iż pozwolił temu nieprawemu dziecku swego używać nazwiska.

Swieżo ten nazwany Poniatowski wyhodowawszy się u Sapiehy był potem u niego Ekonomem we wsi jednéj nad rzeką spławną leżącéj. Tę funkcyę sprawując pięknym wsławił się uczynkiem, iż gdy Szyper jeden z statkiem płynącym z produktami do Gdańska rozbił się, a żaden go z chłopów wsi owéj ratować niechciał, owszem niektórzy zbiegłszy się kradli produkta, Poniatowski Ekonom przybiegł szybko Szyprowi na ratunek chłopów napędził do ratowania, co który wziął, powrócić kazał, i od dalszych kradzieży ich powściągnął. Szyper wdzięcznością przejęty klęknął, ręce podniósł do nieba, i błogosławiąc, Dobrodziejowi swemu wyrzekł: *bodaj twoja familia królowała.* Tę wiadomość piszącemu to życie opowiedział słuszny bardzo Obywatel Podolski JP. Czernik, który od najmłodszych lat swoich

---

jące, że Autor niepisał tej historyi z książek ale najwięcéj z żyjących podań, z pamięci wypadków na które mógł był patrzeć i z relacyi pisemnych krążących w publiczności. — Jest to można powiedzieć praca skreślona piórem pisarza niepospolitego, który wprawdzie wrzał jeszcze świeżemi namiętnościami, a raczéj czuł zbyt dotkliwie, aby mógł był z zimną bezstronnością polityka oceniać bieg wypadków, i ludzi powołanych do brania w nich udziału — wszelako o wiele wyżéj stoi od zwykłych pamiętnikarzy, bo zdarzenia grupuje, charaktery wykreśla, i sądy swoje odnosi do wyższych pojęć obywatelskich i do głębszych prawd sumienia. Kto mógł napisać tę historyę? — odgadywać trudno — lecz to pewna, że rękopis niniejszy pisany, czy przepisany był w Lublinie jak to stwierdza znajdujący się na początku jakiś nieznaczący wiersz Rutkowskiego z Lublina. Podajemy umyślnie tę wzmiankę, aby tem łatwiéj na ślad naprowadzić można. P. R.

był przy Stanisławie Poniatowskim Kasztelanie Krakowskim Ojcu królewskim.

Sapieha przez całe życie swoje pamiętał o losie tego swego Ekonoma, Syna zaś jego Stanisława wiele dowcipu i zdatności za młodu ukazującego, wziął do siebie na edukacyę. Wyedukowany był u niego zrazu Paziem, a z czasem widząc w nim znaczną przezorność, i spryt do interesów, do różnych go Poselstw używał. Posłany od Sapiehy do Karola XII króla Szwedzkiego Augusta II z Tronu spychającego, umiał mu się zupełnie podobać, i za rekomendacyą swojego Dobrodzieja Sapiehy do usług Karola XII przywiązał się. Służył Poniatowski poczciwie i wiernie Karolowi XII aż do końca jego życia, i w wielu go niebespieczeństwach ratował.

Po zabiciu Karola XII pod Fryderykshal wyprosiwszy u Siostry jego, jako Regentki po Bracie papier jeden w Dyplomatyce Szwedzkiéj będący, którego ona ceny nieznała, a to było zrzeczenie się na piśmie dane Tronu Polskiego przez Augusta II, natychmiast z tem pismem oryginalnym udał się do Drezna, i one Augustowi II oddał. Przez co tak sobie Augusta ujął, ze z stopnia na stopień urzędów przechodząc, Kasztelanii w czasie krakowskiéj krzesłem został zaszczycony.

Wszedłszy w związki małżeńskie z księżniczką Czartoryską Siostrą rodzoną książąt Augusta Wojewody Ruskiego i Michała kanclerza Wgo Lit. Czartoryskich, Damą wysokiego wprawdzie rozumu, lecz i ambicy pełną, miał z niéj kilkoro dzieci, z których prócz dwojga w młodym wieku pomarłych zostali się następujący Kazimierz Podkomorzy koronny, Stanisław król, Andrzéj Generał Austryacki, Michał Prymas, i dwie córki: Branicka Kasztelanowa krakowska, Hetmanowa W. kor. i Zamoyska Wojewodzina Podolska Ordynatowa. Niewspominając anegdotów życia innych dzieci, jako niewpły-

wających do tego opisu, szczególnie opisem życia Stanisława trudnić się przedsięwzięliśmy. Ten, gdy się urodził, Formika Włoch nadworny i poufały Doktor Ojca jego, czy wieszczym duchem, czy przez podchlebstwo wyrzekł: *że to dziecko nowonarodzone będzie królem.* Wielu słyszących w żart tę powieść obróciło. Matka atoli tego dziecka podchlebnie wziąwszy sobie to Formiki przepowiedzenie zaczęła się sama tak trudnić edukacyą jego, jakoby już aktualnie przeznaczonego na króla, i dodała mu do imienia na Chrzcie wziętego Stanisław, imie Augusta. Książęta Czartoryscy, to jest: Wojewoda Ruski, i kanclerz Lit. acz Wujowie rodzeni tego nowonarodzonego dziecka, niekontenci będąc z tego niby proroctwa, często podrastającemu Poniatowskiemu tak przez siebie, jako i swoje dzieci uszczypliwe czynili przegryzki, co mu częstokroć łzy wyciskało. Oddany potem na edukacyę do Teatynów Warszawskich przyjął ją z znaczną korzyścią, i już Wujów swoich potrafił tak zobowiązać dla siebie serce, iż ci poróżniwszy się z królem, jako na stronie Francuzkiéj będącym, wysłali sekretnie Poniatowskiego do Petersburga na promowowanie w tamtym kraju interesów swoich przeciw królowi. Wysokie talenta rozumu, lecz nadewszystko nadzwyczajna uroda ciała, i zręczność ujmowania sobie serc kobiecych zajęła serce i umysł całkowie ku niemu Elżbiety Carowéj, za któréj intrygi pomocą miał łatwą sposobność kierowania interesów Wujowskich w Petersburgu.

Za powrotem jego do kraju, gdy kawaler Williams będący w Polszcze w charakterze Posła Angielskiego złączył się ściśle z książętami Czartoryskiemi, Poniatowski jako młodzieniec podobnych mu sentymentów co do rozpusty, i sztuki bałamucenia kobiet, zaprzyjaźnił się z nim tak, iż tenże Williams jadący z Poselstwa Polskiego na Petersburskie wziął z sobą Poniatowskiego 23 lat wieku podówczas mającego za Sekretarza swojej

legacyi. Znajdując się przy téj Ambasadzie Poniatowski wpadł w oko Wielkiéj Księżnie Rossyjskiéj. Co postrzegłszy Williams, jako nie odstępny intryg miłośnych Poniatowskiego towarzysz i pomocnik, sam go do skrytych pokojów W. Księżny doprowadzał, i najusilniejsze do niéj zaniósł prożby, aby ona raczyła sama bez świadków Pałac jego odwiedzać. Ośmielona W. Księżna tą grzeczną prożbą, a zapędzona najgwałtowniej w intrydze, pod grubą długiéj nocy zimowéj zasłoną, zwykła była wymykać się z Pałacu swego, i sama pieszo do domu Ministra Angielskiego uczęszczać, gdzie ledwie nie zawsze samego Poniatowskiego zastawała. Wszakże gdy i miłostki Poniatowskiego z Wielką Księżną, zaczęły się tak rozgłaszać, że już nieco do uszów Wielkiego Księcia dochodziły, i za odmianą przymierza Williams zapowiedzianą miał od dworu swego rewokacyę, Poniatowski niemniéj odwołania siebie do Polski spodziewał się. Więc uprzedzając nakaz przybył do Warszawy wszystkich używać sposobów, aby jako Minister króla Polskiego mógł bydź przy dworze Rossyjskim umieszczony. Znalazł atoli dużo przeszkód od Rządu, a od Matki swojej wiele przestróg jego układom i zapędzeniu się niepodobających się. Gdyż Matka nieprzestawała wystawiać mu przed oczy: *że nie kabałą, zalotnictwa, ale talentami i cnotą powinien się wynieść do przepowiedzianéj wielkości. Przekładała mu, że ta namiętność sprowadzi go nieochybnie z drogi dobréj, a może i nakłoni kiedyś do poświęcenia honoru i Ojczyzny dla swéj kochanki.* Ślepy zapęd miłości nieuważał na te zbawienne macierzyńskie uwagi, i wziąwszy z sobą w kompanii Xawerego Braneckiego Kasztelanica Bracławskiego należącego krwią do sławnego owego zdrajcy Wyhowskiego, kompana rozpusty wszelkiéj, pojechał z nim do Petersburga.

Wkrótce za jego przybyciem Wielka Księżna na wiejskiéj wieczerzy, na któréj kilku Polaków interesu domu Saskiego pilnujących znajdowało się, głośno oświadczyła: *że im da swego kochanka za króla.* Te wiadomości skoro doszły do Augusta III nakazany Poniatowskiemu natychmiast powrót do Polski. Lecz audyencya jego pożegnania będąc odwlekana, nakoniec gdy wojsko Francuzkie pod Rosbach było pobite, nie była mu pozwolona, Poniatowski na ulubionym został miejscu. Passya dwóch kochanków tym się mocniejszą stawała, im więcéj doznawała przeszkód i przerwów, zwłaszcza, że przez kilka miesięcy czuli codziennie przy rozstaniu się bojaźń więcéj się z sobą nie zobaczenia. Jakoż po wysłaniu na wygnanie Ministra Bestuszowa jedynego protektora tych kochanków, i po zaszłym usilnym naleganiu W. Księcia rosyjskiego do Księcia Saskiego Karola w Petersburgu pod ów czas będącego, aby on pisał do swego Ojca Augusta III o niezwłoczne odwołanie Poniatowskiego, odwołany został.

Dwaj kochankowie rozłączeni w pierwszym ogniu swéj passyi wydali głośno na jaw swój żal. Poniatowski łzami zalany padł na kolana przed Księciem Saskim, a W. Księżna do nóg Carowy rzuciła się, lecz błagania ich zapóżno nie były już wysłuchane. Poniatowski z rozpaczą wyjechawszy z Petersburga przywiózł Ojcu swemu list Wielkiéj Księżnéj te słowa zawierający: *Karol XII nadgradzał hojnie twe zasługi. Ja potrafię nadgrodzić zasługi twego Syna, i wynieść go może nad samegoż Karola XII.* Stary Hrabia Poniatowski odebrawszy ten list zachował go zaszywszy w Szkaplerzu, i nosił go na piersiach przez resztę dni życia swojego. Wielka Księżna urażona w najwyższym sposobie na Księcia Saskiego Karola o list pisany do Ojca, by Poniatowskiego odwołał, pogroziła mu, *że będzie tego w czasie żałował.*

W tym August III Synowi swemu Karolowi na fundamencie konstytucyi 1736 roku pozwalającéj Królowi wybór nowego Księcia Kurlandyi (zwłaszcza, gdy Elżbieta Carowa posłała Birona Księcia kurlandzkiego bez nadziei powrotu na Syberyę) dał Dyploma, i Inwestyturę na to księstwo.

Po zaszłéj śmierci Elżbiety wstąpiwszy na Tron Piotr III Siostrzeniec jéj roku 1761 nieprzyjaciel Polaków i domu oraz saskiego powrócił z Syberyi Birona, a do Kurlanczyków rządzonych przez Księcia Karola Saskiego wskazał, *że ponieważ Kurlandya wyznaje religię Luterską, nie może być rządzona od Księcia katolickiego, jakim jest książe Karol.* Nadto wysłanego do siebie od księcia Karola Szlachcica kurlandzkiego w Poselstwie nietylko nie przyjął na audiencyę Piotr, lecz gdzie go tylko na drodze spotkał, wzgardę mu okazował. Co znagliło księcia Karola, że dawszy pozór udania się do wód dla poratowania zdrowia, powrócił z Kurlandyi do Warszawy. Czym ojca swego Augusta III zainformowanego dostatecznie o postępku z nim Cara niezmiernie zmartwił.

Nowo obrany Car wszedłszy w Traktat z królem Pruskim trzy konwencye względem Polski ustanowił: Pierwsza była: obowiązanie się wzajemne z Królem Pruskim zjednoczonemi siłami starać się, aby po śmierci Augusta postawić Polaka na Tronie. Co podobno było zrobionym na złość domowi Saskiemu, aby on Tronu nienapierał się, i na złamanie Sankcyi Pragmatycznéj, przez którą Tron polski za ustąpienie Cesarzowi Niemieckiemu przez Augusta III Królestwa Czeskiego miał być następnym dla domu Saskiego. Obowiązek ten i projekt postawienia Polaka na Tronie polskim był dogodny prawdziwemu interesowi króla Pruskiego, a był podyktowany w Moskwie przez młodą Intrygantkę i faworytę Hrabinę Bruce zaprzątnioną wyjednaniem téj

korony dla księcia Adama Czartoryskiego Syna Wojewody ruskiego, którego taż Hrabina jeszcze za kochanka uznawała, pomimo licznych wzajemnych niewierności. Gdyż ta zręczna w intryg prowadzeniu kobieta umiała sobie często przybierać za nowego kochanka brata, przyjaciela albo konfidenta swojego Fawor, ta. Umiała dostąpić zupełnéj ufności Carowy wszedłszy w związki miłosne z młodym tym Polakiem krewnym Poniatowskiego. Z Królem nawet pruskim zabrawszy znajomość wpadła u niego w kredyta, i byłaby dokazała projektu swego promowowania na tron Księcia Adama Czartoryskiego, gdyby był stały w przywiązaniu do niéj. Więc kredyt tego Amanta posłużył tylko zręcznie i pomyślnie do dania korony drugiemu. Drugą konwencyą było obowiązanie się także wzajemne protegowania w Polsce dyssydentów i Greków. Do czego dał pochop młody Baron Goltz z dyssydentów Polskich pochodzący, a będący Ministrem u Cara. Ta konwencya przy obraniu Poniatowskiego silnie od Moskwy i Prus popierana żądany swój tymczasowo odebrała skutek, ale konfederacyów: Toruńskiéj, Słuckiéj, Radomskiéj i Barskiéj była okazyą. Trzecia konwencya ściągała się do Kurlandyi, którą Car chciał dać jednemu z swoich Stryjów, acz żadnego do tego dawania nie miał prawa, i Książę Saski miał legalną na to Księstwo inwestyturę. Wszakże przemoc wszystkiego dokazała.

Kiedy interesa Europy różnym unosiły się zamiarem, Andrzéj Mokronowski Generał, a w czasie Wojewoda Mazowiecki przyjaciel Jana Klemensa na Białym Stoku Tykocinie etc. Branickiego Hetmana wgo Kor. oraz kasztelana krakowskiego, wnuka z córki Wielkiego owego Stefana Czarnieckiego, a jedynego i ostatniego z familii Branickich potomka, chcąc obowiązać wdzięcznością żonę, tego szanownego starca, i posadzić ją na tronie, a nie mając nigdy w myśli, aby Stanisław Poniatowski Stol-

nik Lit. brat jej rodzony był najniebezpieczniejszym Rywalem korony, udał się umyślnie w tym interesie do Wersalu, równie jak strona przeciwna wysłała Poniatowskiego do Petersburga. Wtym, gdy Poniatowski pomyślnie w Petersburgu knuje intrygi z Carową, Mokranowski doświadcza wcale przeciwnego losu we Francyi, prześladowany zwłaszcza od Delfinowéj z domu Saskiego idącéj. Poniatowski zajęty całkiem miłością ku Carowéj przebrał się razu jednego dla ukrycia się przed Carem za Norymberczyka i wszedł z galanteryami do pokoju Carowéj, co go o mały włos o śmierć nieprzyprawiło, gdyby Ksawery Branecki jego konfident nie uratował go. Bo gdy niespodziewanie wszedł Car do pokojów Carowéj, począł mieć poro umienie o tym Norymberczyku, i kazał go wziąść w areszt. Ale Braneck podchmieliwszy sobie z Carem trunki lubiącym, i w najlepszy go jowialnością swoją wprawiwszy humor, wyjednał u Cara pijanego uwolnienie z aresztu tego Norymberczyka, który lękając się nieszczęścia po wytrzyżwieniu się Cara nastąpić mogącego pocztą z Petersburga z Braneckim do Warszawy ujechał.

W kilka miesięcy po odjeździe Poniatowskiego z Petersburga w dzień Ś. Piotra w uroczystość narodzin Cara roku 1762 gdy dwór Warszawski obchodził ją z jak największą wspaniałością, w Petersburgu cztery Rejmenta Gwardyi pod rządem Orłowa będące, a przez Carowę do buntu przywiedzione strąciły z Tronu Piotra III i uwiozły go do fortecy, w któréj na gwałtowne hemoroidy i konwulsye życie skończył, a żona jego uznana Monarchinią pod imieniem Katarzyny II.

Za odebraniem wiadomości o śmierci Piotra Cara, Hrabia Brühl minister Augusta III doniósł o tem zdarzeniu hrabiemu Poniatowskiemu. Oddalony z Petersburga Poniatowski utrzymywał z Carową sekretną korespondencyę, lecz zawsze smutny i melancholiczny

w kompaniach pokazywał się. — Od sześciu miesięcy nie miał żadnego listu od Carowy, ani wiadomości dokładnéj, aż gdy przybiegł do niego goniec od hrabiego Brühla z doniesieniem o zaszłéj w Petersburgu rewolucyi. Posłaniec ten zastał Poniatowskiego w łóżku, który na tę nowinę w zachwyceniu wyskoczył z łóżka, i upojony radością padł na kolana. Chciał potym nagle jechać do Petersburga, ale obydwa Wujowie radzili mu wstrzymanie się z wyjazdem do jakiego czasu, w którymby pewniéj o wszystkim wywiedział się. Został on tedy w kraju przeszło miesiąc bez najmniejszéj wiadomości od Carowy, nieodbierając ni listu, ni żadnéj grzeczności. Posłyszał nadto, że Orłów, któremu zbuntowanie Rejmentów Gwardyi na stronę Carowy winna była Carowa, daje się widzieć często na pokojach Carskich. Co jak Poniatowskiego ugryzło, tak wprawiało go w zastanowienie, aby z tak małym człekiem nie wchodził w zawody. Wysłał więc tylko do Petersburga zaufanego sobie kanonika Polskiego, któryby wyśledził, i rozpoznał, czy może jeszcze w Petersburgu jak od dawna poufały kochanek pokazać się.

W tym 15 tysięcy wojska rosyjskiego z rozkazu Carowy weszło do Kurlandyi na odebranie zupełne księciu Karolowi Saskiemu tego Księstwa, a to na spełnienie pogróżek dawniéj mu uczynionych.

Wyznaczyła Carowa natychmiast hrabiego Kejserlinga Posłem pełnomocnym w Warszawie, a pierwszy list, który Carowa pisała do Poniatowskiego zaczynał się od tych słów: *Posyłam Kajserlinga do Polski, z rozkazem, aby Cię uczynił królem, Ciebie albo księcia Adama Czartoryskiego, twego krewnego. Donosiła mu daléj Carowa w tym liście o Graffie Orłowie, i o jego zapędach miłosnych ku niéj, które ona menażować musi dla utwierdzenia się, na tronie.*

Odebrawszy ten list Poniatowski nie ukrywał go przed familią swoją. Książe August Czartoryski wuj Poniatowskiego, a ojciec księcia Adama Czartoryskiego, pomyśliwszy nieco rzekł z ułożoną flegmą: Gdybym był nie tak stary, starałbym się sam dla siebie o tron Polski. Książe Adam nic na to nie rzekł, niechcąc ojcu sprzeciwiać się; Poniatowski zaś nietylko tego nie ganił projektu, lecz przyrzekł sam do Carowy wstawiać się za jego utrzymaniem, prosił tylko, aby mógł któregokolwiek z nich być Ambassadorem przy Carowy. Zdawał się bowiem, że poświęcić gotów koronę, miłości, wdzięczności i dobru swojéj Ojczyzny. Oświadczał się nawet wyraźnie, że w Petersburgu będąc, lepiéj może kierować interesa swego kraju, niż gdyby był Królem. W responsie danym Carowy uczynił wyrazy kochanka niechcącego się nigdy rozłączyć.

W krótce wyjechał z Warszawy ku granicom Moskiewskim. Po drodze wstąpił do Białegostoku do szwagra swego Jana Klemensa Branickiego hetmana W. Kor. Tam uniesiony radością i miłością powtarzał często te słowa: Że lepiéj jest myśleć o swoim szczęściu, niż o cudzym, i że nie trzeba starać się być niesionym przez kogo, gdy kto może za swoich nóg pomocą dójść zamiaru. Poseł francuzki będący pod ówczas w Białymstoku, i słyszący na swoje uszy te Poniatowskiego wyrazy, przekonał się zupełnie, że korespondencya Poniatowskiego z Petersburgiem niezmierzała do interesów jego familii, lecz do promowowania siebie samego na tron. Książe Michał Czartoryski Kancl. W. Lit. niezważając na to, kogo się z projektowanych Kandydatów będzie podobało Carowy po śmierci Augusta III wybrać na tron, o tym tylko szczególnie myślał, aby pod jakim bądź królem pełnomocnym był Ministrem, ułatwiał wszelkie Carowy w tym punkcie zamiary. Wyjednał z Bratem Augustem, aby wojska rosyjskie roz-

lokowały się po kraju, żądając albo jak najprędzéj śmierci Augusta, lub jego detronizacyi. A Poniatowski szczególniéj tego pragnął i wyglądał.

Nareszcie król zgryziony zrujnowaniem swojéj Saxonii przez wojnę siedmioletnią, między Prusakiem i Cesarzową Niemiecką Maryą Teresę, prowadzoną kopaniem pod nim dołków przez Czartoryskich z swoją bandą i świeżym a haniebnym odpadnieniem od Kurlandyi Najukochańszego Syna swego Karola, wyjechał z Warszawy do Drezna, i tam z światem pożegnał się.

Po rozgłoszeniu téj śmierci po Warszawie, Graf Keyserling Ambassador Rossyjski po wszystkich kompaniach oświadczał, *że Rossya chce widzieć Polaka na tronie. Iż czas już jest*, mówił on *przerwać następstwo, które stałoby się szkodliwym wolności, jeśliby choć raz jeszcze w jednéj familii utrzymało się, i że nakoniec nic nie jest bardziéj z honorem dla Polaków nad ten dawny zaszczyt, który Carowa chce w Polszcze utrzymać, że każdy Polak rodzi się do korony.* Największa zaraz część Narodu Polskiego pisała się na ten podchlebny projekt, aby Polak był królem.

W pierwszym rzucie oka zdawał się być naizdolniejszym do tronu Hrabia Jan Klemens Branicki w Białymstoku tak wspaniale żyjący, iż mu tytułu tylko króla nie dostawało. Zkolligowany przez żonę z najpierwszemi familiami Czartoryskich i Poniatowskich, a ostatni z swojéj familii, i bezdzietny, mógłby przy śmierci swojéj wszystkie dobra swoje Rzeczypospolitéj darować. — Męstwo też jego i odwaga dzielnie dopomogła do uwolnienia Oyczyzny od tyranii Sasów za panowania Augusta II. Przyjechał on do Warszawy otoczony Senatorami i wielką liczbą przyjaciół dnia I. Listopada 1763. Wszakże za przybyciem swoim do Warszawy, począł dużo powątpiewać o skutku swoich układów, skoro postrzegł że Rossya nieprzyjaciołką jest Francyi jego

protektorki. Graf Keyserling pomimo determinowania się wielkiéj liczby Polaków na stronę Branickiego, zapowiedział poufnym sobie i Dworowi swemu Polakom, że Poniatowski koniecznie królem być musi, i chociaż on młody, pójdzie za radami starszych, nawet skoro zostanie królem, i ja radami go wspierać przyrzekam.

Jak tylko wieść rozeszła się o Poniatowskim, możni na nią gniewać się, a publicum jéj dziwić się poczęło. Mówili bowiem, *jak może tak daleko posuwać swoje żądania człowiek młody, bez majątku, bez doświadczenia, bez umiejętności sztuki wojennéj, którego dziad był nieprawego łoża; Ojciec wyniósł się intrygą Szwedzką, i który z siebie samego nie miał nawet nazwiska, tylko przez awanturę miłosną.* Trwożono się najbardziéj, i nie bez wieszczego ducha, że Poniatowski całkowicie Moskwie przychylny, gdy zostanie jej jeszcze obowiązanym za koronę, zgubą będzie niezawodną Ojczyzny. Poniatowski nic na te mowy niezważając, gdy już nie obawiał się rywalostwa do korony Branickiego, o niczem bardziéj nie myślał, jako żeby najgrzeczniejszym sposobem mógł się pozbyć rywala do korony, a swego bliskiego krewnego Xcia Adama Czartoryskiego. Ustawicznie przeto z nim rozmawiając, gadał obłudnie na ciężkość Rządu i korony, i twierdził: *że kto inny zbiera róże, panujący zaś same głogi ma w udziale.* Xiąże Adam czyli rozmowami temi skłoniony, czyli nie wiele mający skłonności do tronu, napisał list do Carowy z podziękowaniem za ofiarowaną koronę, a z rekomendacyą dla Poniatowskiego, który ten list sam ułożył. Napisawszy Xiąże Adam ten list, z taką go rozgłosił determinacyą: *iż gdyby był przymuszony do korony, usunąłby się jak najdaléj z królestwa.*

W ciągu tych interesów znalazł Poniatowski w Litwie nowego rywala do korony, Hrabiego Ogińskiego, zięcia Xięcia Kanclerza Czartoryskiego, magnata bogatego,

wysokością familii znacznego, będącego na wysokim urzędzie Litwy, pełnego talentów i rozumu, a gospodarnego w najwyższym stopniu, wsławionego także przychylnością ku dobru publicznemu, kiedy w Litwie kosztem swoim niezmiernym wybić kazał kanał, dla ułatwienia obywatelom prowadzenia handlu. Magnat ten chociaż przez żonę krwią złączony z Poniatowskim, od początku wieku swego z nim emulował. Jakoż talentami swemi i biegłością w poezyi, muzyce i malarstwie, daleko przewyższał Poniatowskiego, a przyjaciół zawsze niezliczonym otaczał się gronem. Popierał Ogińskiego interesa silnie Baron Osten, Minister Duński, i doradził mu aby jak najskwapliwiéj do Petersburga udał się. Gdy różni o koronę ubiegali się, Hrabia Wessel Podskarbi W. Koronny radził znajdując się na kompaniach, *aby nieobierać króla, lecz rząd arystokracki ustanowić.* Rozumiał on, że przez ten swój projekt ujmie pospólstwo, i niższą klassę ludzi, a przez to siebie wyniesie. Lecz i tego nie dokazał, i Graff Keyserling Imieniem Carowy zgromił go i pogroził mu surowo, jeżli nie poprzestanie tych mów.

Prymas koronny Łubieński, jako pełnomocny Rządca w czasie Interregnum, niechcąc daremnie przeciągać czasu, powysyłał posłów do dworów cudzoziemskich z doniesieniem o śmierci króla w Grudniu r. 1763. Wydał potem uniwersały do Województw, naznaczając dzień 16 lutego 1764 na sejmiki dla obrania posłów na sejm konwokacyi, a dzień 7 maja na sejm konwokacyi. — Graff Keyserling Ambassador Rossyjski, miał u Xięcia Prymasa publiczną audyencyą, gdzie oddawszy listy kredencyonalne zabrał głos po łacinie *ubolewając nad śmiercią Augusta III. a oświadczając w jak najżywszych wyrazach przychylność Pryncypałki swojéj Katarzyny II ku narodowi polskiemu.*

W czasie tym Wielki Xiąże Rossyjski Paweł nie miał więcej nad lat 9, z którym gdy się ustawicznie i jowialnie bawił niejaki Gurowski Polak awanturnik i wielki buffon, Wielki Xiąże Rossyjski rzekł: że chciałby aby Gurowski był królem.

Carowa zainformowana o zwoływaniu przez Prymasa Sejmu, wysłała szpiegów po Polszcze, którzyby dowiadywali się, co téż Polacy myślą o mającym być obranym na króla Poniatowskim. Ci za powrotem jéj donieśli, *że wielka część Polaków gniewa się za projekt posunięcia do korony wnuka podle urodzonego, bo naturalnego syna Sapiehów, a podstarościego czyli ekonoma wsi jednéj w dobrach tychże Sapiehów.* Na te słowa zawstydziła się zrazu Carowa, lecz potem odezwała się: *niech i tak będzie, ja chcę aby był królem, i nim będzie koniecznie.*

Za przybyciem Ogińskiego do Petersburga, i pokazaniem się w najwyższym stopniu okazałości, grzeczności, i zabaw takich, jakich mało widział Petersburg, Graff Orłów otwarty nieprzyjaciel Poniatowskiego, częścią przez zelotypią, częścią przez bojaźń być wyrugowanym z łaski Carowy, rzekł publicznie na pokojach o Ogińskim: *Oto jest człowiek wart Tronu, a nie Poniatowski, który nawet złego komedyanta mizernie gra rolę.* Osten także zprzyjaźniony z Orłowem, i często przypuszczany do rozmowy z Carową, mocno interesa Ogińskiego popierał. Ale Ogiński, którego sposób myślenia był prosty, szczery, niezapędzający się za lada blaskiem, i okazałością, niepotrafił całkiem ująć sobie serca Carowy.

Około tych czasów weszło 60 tysięcy wojska rossyjskiego do Polski, i rozlokowało się po kraju. Poniatowskiemu przysłano sto tysięcy dukatów. A do pomocy zestarzałemu Keyserlingowi, którego Poniatowski w listach swych do Carowy zbyt powolnym w robieniu interesów nazwał, przysłany młody, płochy, i zuchwały Moskal Xiąże Repnin.

Za przybyciem Xięcia Repnina do Warszawy, Graff Keyserling i Xiąże Repnin imieniem Carowy, a Baron Schonach imieniem króla pruskiego rekomendowali na audyencyi Xięciu Prymasowi do kor ny Stanisława Poniatowskiego, Stolnika Litewskiego.

Nadszedł Sejm konwokacyi na dzień 7 maja od Prymasa wyznaczony. Sejm ten był wojskiem otoczony, nawet Poniatowski eskortą kilkuset ludzi pałac miał dla bezpieczeństwa opasany. Gdy już sejm miał zagajać Małachowski, legalnie obrany Marszałkiem Sejmu, Mokranowski poseł stanął z manifestem niepozwalającym Sejmu zaczęcia, ponieważ wojska rossyjskie nas otaczają. Toż gdy wojsko to rzuciło się do broni na Mokranowskiego, wszyscy przytomni na sejmie wzięli się ku obronie jego, a gdy wieść gruchnęła, że Mokranowski zabity, lub w ostatniem jest niebezpieczeństwie, Karol Xiąże Radziwiłł z całą swoją milicyą skoczył na ratunek Mokranowskiego. Lecz znalazłszy go żywego, odebrał od niego na klęczkach za tę jego dobroć podziękowanie, i przestrogę, że już wszystkie bramy i ulice są obsadzone żołnierzem. Jakoż wszystkie cztery bramy Izby Sejmowéj były zajęte ułanami, częścią by niedopuścić sukkursu Mokranowskiemu, częścią aby posłowie nie rozjechali się, i Sejm nie spełzł. Wszyscy partyi Mokranowskiego utrzymujący się, otoczyli go w koło, strzegąc od niebezpieczeństwa. Lecz Mokranowski uspokoił ten tumult schowawszy do pochew pałasz. Po przywróconéj spokojności Małachowski Marszałek sejmu rzekł: *Ponieważ Mości Panowie wolność nam odebrana, chowam laskę Marszałkowską.* Wielu krzyczało o podniesienie laski, ale Mokranowski donośniejszym zawołał głosem, *iż póty nie można otwierać Sejmu, póki wojska rossyjskie z sali i od sali Sejmowéj nie odstąpią.* Na te słowa wojsko rossyjskie znowu pałaszów dobywa przeciw Mokranowskiemu. Tu w wielkiém u-

traty życia niebezpieczeństwie był Mokranowski. Widząc jego znaczne niebezpieczeństwo, sami nawet jego partyi naczelnicy wołali na niego: *Odwołaj, bo zginiesz.* Mokranowski nieustraszony ułożywszy na krzyż ramiona, odezwał się: *Uderzajcie na mnie, umrę wolny i za wolność.* Gdy widział oprawców zastanowienie się nad tą jego determinacyą, zawołał: *Czyńcież prędko, kończcie swój zamysł.* Ale acz gwałtownością największą unoszący się, nie śmieli tak gorliwemu Republikanowi wydzierać życia, gdyż ten postępek całéj Europie nie podobał by się.

Gdy nic z Mokranowskim dokazać nie mogli ci napastnicy, udali się do Małachowskiego Marszałka, aby gdy laski podnieść niechce, oddał ją. Cnotliwy ośmdziesiątoletni starzec niewzruszony tym gwałtem rzekł: *Pierwéj mi ręce utniecie lub wydrzecie życie, niż doczekacie się, abym wam laskę oddał. Jestem Marszałkiem obranym przez naród wolny; nie mogę laski nikomu oddać, tylko temuż wolnemu narodowi. Proszę mię wypuścić* (chce wychodzić) otaczają go przeciwnicy i niedozwalają mu wynijść. Mokranowski to widząc głośno zawołał: *Mości Panowie szanujcie szanownego starca i pozwólcie mu wynijść. Jeśli chcecie ofiary, oto ze mnie ją sobie uczyńcie, lecz czcijcie starość i cnotę,* i odpychając mocą tych, którzy mu wyjścia bronili, udał się z Marszałkiem ku drzwiom sali. Żołnierze, którzy ją trzymali zamkniętą, odmawiali z początku przejścia, lecz za daniem od Oficerów znaku otworzyli tej sali drzwi. Mokranowski zatrzymawszy się na progu rzekł do zgromadzonych: *Ludzie wasi którzy widzą unoszącego Marszałka laskę, chcą go zabić.* Wyszedł potem Mokranowski z sali, a ledwo postąpił ku środkowi wojska pilnującego sali Sejmowey, wielu szemrzących na około nich pokazało się, którzy niezmierny hałas czynić poczęli. W tem młody jakiś człowiek, którego nazwiska przepomniano, stanąwszy

przy generale Mokranowskim zawołał: *Mości Panowie! to jest generał Gadomski, pozwólcie mu przejścia.* Pospólstwo, któremu twarz Mokranowskiego, znajomą nie była, pozwoliło mu wolnego przechodu. Tak tedy wraz z Małachowskim Marszałkiem przez wiele szeregów wojsk Moskiewskich przeszedłszy, udali się do pałacu Hetmana W. Kor. Branickiego. Miasto zaś całe widząc Małachowskiego laskę niosącego, osądziło Sejm za zerwany. Izba poselska została w podziwieniu i milczeniu. Aliżci Poniatowski odezwał się do Posłów, których mała była liczba, *aby przystąpili do obrania innego Marszałka*, zgodzili się zatem na Xcia Adama Czartoryskiego, i do tego go urzędu wezwali.

Nazajutrz Republikanie do 3,000 zebrani, na czele których byli Hetmani koronni Jan Klemens Branicki i Wacław Rzewuski, Salezy Potocki wojewoda Kijowski, i Karol Xiąże Radziwiłł, uprosiwszy wprzód generała Mokranowskiego, aby sam poszedł do posła rossyjskiego o niebronienie im wyjścia z miasta, z dodatkiem, iż gdyby im to poseł odmówił, gotowi pójść na przebój. Przystał na wyjście poseł, więc we wszelkiéj spokojności wymaszerowali z Warszawy do Piaseczny. Poniatowski acz między szeregami wojsk rossyjskich stojących pod bronią przy wyjściu Polaków, znajdujący się, nie mógł się od łez wstrzymać widząc Siostrę swoją rodzoną Hetmanowę Branicką z mężem i innemi Republikanami z Warszawy wyjeżdżającą, która niechciała odstąpić męża tego odważnego Obrońcy praw wolności.

Niektórzy znaczni obywatele z początku niewiązali się do żadnéj partyi, spodziewając się, że same partye między sobą ugodzą się, ale gdy widzieli oczywisty gwałt ich prawom, do partyi Republikanów przystąpili, i niedaleko od Warszawy założyli obóz. Obywatele pozostali w Warszawie częścią tchórze, częścią przekupieni, częścią oszukani utworzyli konfederacyę, a do

Hetmana W. Kor. posłali do obozu list króla pruskiego *radzący mu spokojność i zgodę.* Hetman skromnie królowi pruskiemu odpisał, *że gwałtom i uciskom opierać się musi.*

Nazajutrz o świcie Xiąże Karol Radziwiłł z swoim wojskiem udał się z obozu z pod Warszawy do Litwy, aby ją skonfederował, gdy tymczasem Hetman W. Kor. zbierał szlachtę Królestwa. Z Warszawy też posłowie Sejmu tego co raz bardziéj do Obozu przenosili się, tak dalece, że z 300 blisko posłów niezostało więcéj w Warszawie nad 80. Pomimo tego zaniesiono liczne przeciw Hetmanowi W. Kor. skargi, jako przeciw burzycielowi spokojności, i odebrano mu komendę, a na jego miejsce uczyniono Reymentarzem Xcia Augusta Czartoryskiego Ojca Xcia Adama, któremu pozwolone nietylko użycie wojsk krajowych, lecz i obcych. — Po nastąpionym tym wybiorze pozostałe w Warszawie wojska Polskie wyszły pod rządem Xawerego Braneckiego wiernka i zausznika Poniatowskiego scigać Republikanów, równie jak i rossyjskie pod kommendą Xcia Repnina będące. Zaprzyjaźnienie się Braneckiego od młodości z Poniatowskim poufnym go zrobiło Xciu Repninowi. Odebrali oni od Keyserlinga i Xięcia Reymentarza ordynanse umiarkowania pełne, ale te u płochych młodzików mało impressyi czyniły.

Sejm ten gwałtowny postąpiwszy nadto surowo z Hetmanem W. Kor. posunął swoją zawziętość przeciw Xciu Radziwiłłowi i nakłonił konfederacyę Litewską już pod bronią będącą do obdarcia Radziwiłła z majątków. Poniatowski w obłudnéj swojéj mowie zdawał się ubolewać nad uciemiężeniami przez niektórych obywatelów od wójsk obcych ponoszonemi, ale zaraz dodawał, że wielkomyślna Rossyi Monarchini przysłała wojska swoje do kraju naszego dla zabezpieczenia Obywatelów od drugich niespokojności, i radził Sejmowi, aby uroczy-

ste Imperatorowy za tę Jéj opiekę złożył podziękowanie. Co i uskutecznionem zostało.

Hetman W. Kor. który był z obozu wyjechał dla zbierania Szlachty, za powrotem swoim na miejsce, gdzie wojsko podług ordynansu jego znajdować się było powinno, nie zastał ani jednego żołnierza. Potocki Wojewoda Kijowski, który miał się tem trudnić, nie wiedział, jak sobie postąpić, nie mając do tego ani głowy ani determinacyi. W tém położeniu zostawszy Hetman W. Kor. udał się do najbliższéj swojéj majętności, zkąd pisał listy oświadczające, iż nakłania się do podpisu konfederacyi; ale Wojewoda Kijowski radził mu wstrzymanie się z podpisem.

Przy Hetmanie W. Kor. została się garstka wojska determinowanego, z tem on uchodził ku Węgrom ścigany od nieprzyjaciół. Te acz małe utarczki, że były przeciw rozkazom Imperatorowy, posłano do Petersburga exkuzując się z nich. Chciał się Hetman W. Koronny przedrzeć ku Samborowi krajowi obfitemu, ale Branecki przerżnął mu pasy. Wtem pisał brat Poniatowskiego do Hetmana W. Kor. i siostry swéj, aby szukać środków do nieprzelewania krwi ludzkiéj, i uchronienia się domowéj wojny. Hetman W. Kor. niespodziewając się łatwéj ugody, czy za poradą innych idący, udał się z swojemi do Starostwa Spizkiego.

Radziwiłł tymczasem udał się do dóbr swoich Biała zwanych na Podlasiu, mając przy sobie 3000 ludz zbrojnych, i znaczną liczbę artyleryi Ztamtąd uczynił propozycyę pojednania się. Ale zawzięta nienawiść Czartoryskich ku Radziwiłłowi, pragnęła koniecznie go poniżyć i zubożyć. Konfederacya Litewska wydała przeciw niemu wyrok zapalczywy, ogołacający go z jego godności i skazujący go na wieczne więzienie, a jego dobra za podpadłe konfiskacie uznała. Nadto, przyja-

ciele jego uznani za infamisów, i jedni równie z nim potępieni, drudzy na wygnanie skazani.

Radziwiłł posłał do króla Pruskiego jako swego krewnego prosząc o pomoc. Król ten radził mu pogodzenie się; atoli partya mu przeciwna nieubłagana, żadnego w téj mierze projektu przyjąć niechciała. Więc Radziwiłł zdeterminował się ująć się oręża poszedł z wojskiem swym ku Nieświżowi najobronniejszemu miastu w swoich państwach, gdzie wojska Rosyjskie konsystowały, śmierć z honorem, nad życie przekładając. Wydał on solenne oświadczenie się, ze niesłusznie od obywatelów osądzony, i ciemiężony od nieprzyjaciół bierze się do broni dla swego bezpieczeństwa. Po drodze u sąsiadów nadworne pozabierał milicye, i poszedł z niemi ku Nieświeżowi. Stoczona bitwa z Moskalami przy Radziwille zostało zwycięztwo, do 500 Moskalów w brańcach i zabitych rachowano. Lecz gdy dowiedział się, że trzema kolumnami maszerują na jego otoczenie, to jest od Żmudzi książe Dołgoruki, od Warszawy książe d'Aschekoff, nakoniec Branecki w oczy Radziwiłłowi idący, Radziwiłł zostawiwszy wojsko, i pozwoliwszy mu kapitulować się, sam w eskorcie 500 koni przybliżył się ku granicy Tureckiéj, przeszedł w pław Dniestr, i pod protekcyą Turków udał się. Na téj batalii popisywał się dzielnie z strony Radziwiłłowskiéj niejaki Morawski młody i urodziwy bardzo, ale ubogi oficer, za którego w ośm dni po batalii szalenie zakochawszy się siostra Radziwiłła poszła.

Tymczasem Sejm ciągnął się rządzony w części największéj przez Starych Czartoryskich. Bo starego Keyserlinga chorującego na kamień, i niewychodzącego z domu, bawiono to pięknemi końmi, to meblami przepysznemi, to ciekawemi książkami, to wyborną nakoniec muzyką. Repnin zaś jako młody rozpustnik zabrawszy z podobnemi sobie co do swawoli polakami zna-

jomość, a nieznający ani praw, ani zwyczajów kraju, za rozpustą w części największéj ubiegał się i to tylko co mu podyktowano czynił. Że Sejm ten wiele rzeczy bez uwagi robił, wiele szkodliwych rzeczy na nim ustanowiono, a Prymas jako pensyą ujęty bez odczytania podpisywał. Władza rządu podzielona na 4 departamenta: Sprawiedliwości, wojny, skarbu i policyi. Pokazały się na Sejmie tym drukowane przez dyssydentów przedstawienia, aby mogli oni tak jak dawniéj (co nieprawda) na wszystkich umieszczać się urzędach, do którego przywileju chciała imperatorowa, by i grecy Polacy należeli. Ale ponieważ szlachta polska grecką religię wyznająca złączyła się z kościołem rzymskim, na wszystkich już urzędach, jako już katolicy, umieszczała się. Więc tolerancya powszechna dla dyssydentów ogłoszona, niepoznawszy się na tem z początku Sejm, że dyssydenci, takiéj chcą tolerancyi, aby do wszystkich piastowania dostojeństw wolny wstęp mieli. Ale gdy Keyserling odezwał się, *że pryncypalny teraz interes obrania króla*, odłożono to żądanie dyssydentów do dalszego czasu.

Gdy czas przeznaczony sejmowi upływał, który od gwałtu miał swój początek, ustanowiona została konfederacya, i książe August Czartoryski wojewoda ruski marszałkiem jéj obrany (co było wyraźnie przeciw prawom krajowym, aby senator marszałka urząd piastował). Wtenczas Poniatowski płochością uwiedziony malować się kazał we wszystkich ozdobach królewskich, czem najbardziéj kobiety zapędzał w intrygi miłośne z sobą, zwłaszcza jeszcze, gdy i bilecikami najsłodszemi je uwodził, jakoż w jednym bilecie do pewnéj księżnéj polskiéj wyraził: *że więcéj waży sobie jéj jeden rzut oka, niż wszystkie łaski głów ukoronowanych.* Które wyrazy i wiele innych wbrew zdawały się być przeciw carowéj i niewdzięcznikiem być go pokazywały, w tym nawet

czasie, gdy posłowie rosyjski i pruski Poniatowskiego do tronu prymasowi rekomendowali.

W tym rozgłoszona była płonna wieść że carowa obrawszy królem Poniatowskiego ma go sobie przybrać za męża. Wieści téj ten był powód, że carowa oczekiwana była w Rydze, a Poniatowski z okazałością prawie królewską do niéj wybierał się. Wszystko nakoniec uledz musiało téj gwałtownéj Warszawskiéj Konfederacyi, gdyż i konfederacya w prowincyach południowych od czterech młodych Potockich uformowana rozpędzona została przez wojska rosyjskie, i wodzowie jéj pobrani w niewolę. Naród Polski fałszywą uprzedzony maxymą: że nierządem utrzymać się może, mało przenikał swoją zgubę.

Tymczasem interesa Francuskie utrzymujący udał się prywatnie do Poniatowskiego i oświadczył mu: *że Dwór Francuzki i Austryacki uzna go za króla, jeżeli on postara się o powrócenie do kraju uciemiężonych, i wygnanych obywateli, oraz o wyprowadzenie wojsk obcych.* Poniatowski naradziwszy się z wujami swemi odpowiedział: *że wojskom Polskim, jako po części zbuntowanym nie może ufać, więc musi przytrzymać dla swego bezpieczeństwa, i kraju spokojności wojska rosyjskie.* Co się tycze wygnanych obywateli: *Hetman W. koronny jest to starzec popsuty podchlebstwem*, a Radziwiłł jest to *Zwierz dziki*, tych powrót burzyłby kraj coraz bardziéj.

Widząc poseł francuzki rozszerzanie się coraz bardziéj Rosyi, i wpływ jéj w interesa Polskie, żądał audyencyi u prymasa żegnającéj go, i na téj oświadczył prymasowi, że widząc obywatelów Polskich umysły podzielone, nie ma co robić w Polsce. Urażony prymas i nieuważnie prędki rzekł do niego: *adieu Monsieur le Marquis de Paulmi.* Poseł francuzki tym samym tonem odpowiedział: *adieu Monsieur l' Archeveque de Gnesne* i wyszedł z audyencyi bez otrzymania przyzwoitych sobie, i należnych honorów. Za wyjściem posła francuz-

kiego z sali audyencyonalnéj z taką zniewagą, oświadczyli się posłowie wszyscy dworów z Francyą sprzymierzonych, iż zniewagę posłowi francuzkiemu wyrządzoną biorą za krzywdę i swoim dworom uczynioną, przeto pisać natychmiast będą do swych monarchów o odwołanie siebie z poselstw. Jakoż wkrótce wyjechali bez pożegnania się z prymasem. Zmartwiony tym nagłym i niespodzianym wyjazdem posłów cudzoziemskich prymas, i lękając się jakich złych skutków dla kraju, żałował swojéj porywczości, i załamawszy ręce zawołał: *Ah Francyo! Francyo!*

Gdy w tych nieszczęściach kraj Polski nurza się, Mokranowski udał się do Berlina prosząc króla Pruskiego, *aby ratował Polaków przy wolności swéj obstających!* Król odpowiedział mu: *że oni przyzwyczajeni odbierać królów z rąk rosyjskich, i że on będąc w aliansie z Rosyą, nic przeciw niéj postąpić nie może, napisze jednak do swego posła w Warszawie, aby ile może Polakom sprzyjał, i ich dobro promowowował.* Mokranowski proponował królowi, *aby dał Polakom za króla brata swego Henryka*, na co król pruski odpowiedział: *że on niezechce zostać katolikiem*, Mokranowski gdy na to uśmiechnął się, król rzekł: *że Henryk ma już pewne dla siebie przeznaczenie.* Pytał się daléj Mokranowskiego król pruski: *czy prawdziwą jest rzeczą, że carowa ma iść za Poniatowskiego.* Mokranowski *wieścią to głośną nazwał, ale bez fundamentu.* Na co rzekł król twarzą surową: *ja nie radzę tego, ani jednéj, ani drugiemu, jakoż w krótce napiszę do obojga, by nie czynili tego głupstwa.* Rozmowę król z Mokranowskim temi zakończył słowy: *Ponieważ kraj twój w zaburzeniu, lepiejbyś zrobił oddalając się z niego a udając się w moją służbę.* Podziękował Mokranowski najgrzeczniéj królowi za tę ofiarę dodając, że *on wtenczas o spokojnym dla siebie pomyśli schronieniu, gdy będzie widział Ojczyznę swoją wolną.*

Do intryg w kraju snujących się, dodał nową X. Podowski Referendarz koronny gorliwy stronnik Domu Saskiego, a śmiały i bezczelny intrygant. Ten udawszy się do Drezna perswadował Dworowi temu, *że łatwo tronu polskiego dostąpić może, skoro tylko w kilkanaście tysięcy ks. Saski pod Warszawą pokaże się.* Bo Polacy całemi województwami ogólnie na koniach stawający dadzą się nakłonić na stronę ulubionego sobie, a niedawno panującego Domu. Pomimo tych jego uwag, i zapewnień Dwór Saski rządzony od rostropnego ministra odpowiedział: *że nie może przeszkadzać elekcyi Poniatowskiego. Trzeba mu pozwolić niech tron obejmuje; a w krótkim może czasie ujrzemy, jak z niego ustąpić będzie musiał. W tenczas prosimy X. Referendarza, aby z swoją dla nas gorliwością stanął.*

Sułtan turecki dowiedziawszy się o mającym się gwałtownie wynieść do tronu Poniatowskim przez Rossyą (*która dała mu była wprzód uroczyste przyrzeczenia nikogo nierekomendowania nawet, nietylko nieobierania do wzmiankowanego tronu*) tak rozgniewał się iż do wojny czyniąc przygotowania, 15 tysięcy janczarów, i 10 tysięcy Szpachów wysłał na granicę, gdzie się z Tatarami łącząc mieli składać korpus stotysięczny.

W czasie tym carowa objeżdżała swoje granice od Polski. Objeżdżanie to zapowiedziane jeszcze z początku interregnum Polskiego stało się celem uwag naważniejszych. Poniatowski tam także lada dzień był spodziewany, i uczynił do tego najokazalsze przygotowanie. O czem dowiedziawszy się Orłów oświadczył: *iż skoro się znajdzie z Poniatowskim, bodajby on był królem, przebije go, pomimo najpilniejszej jego ostrożności.*

W tem gdy doszły do uszu carowéj wiadomości o bilecikach Poniatowskiego niewdzięczność dla niéj okazujących; Turków składanie się do wojny, zapromowowanie do tronu Poniatowskiego; najusilniejsze Polaków sprze-

ciwianie się obraniu Poniatowskiego; to wszystko znagliło carowę do napisania listu do Keyserlinga, *aby on zostawił Polakom wolność kogo chcieć obrania królem*. Więc księciu Adamowi Czartoryskiemu i Ogińskiemu zabłysnęła nadzieja. Ale Poniatowski udawszy się do Keyserlinga już na schyłku życia będącego, padł mu do nóg, i ze łzami prosił, *aby mu dopomógł do osiągnienia tronu przysięgając że za jego radami zawsze pójdzie, owszem że on nazwisko króla tylko przy sobie zostawi, a wszystkim Keyserling rządzić będzie*. Ministrowie przeto poradzili rosyjscy, że dosyć będzie do uspokojenia Turków zapewnić ich, *iż Poniatowski z polką ożeni się*. Na tym sejmie 4 rejmenta gwardyi oddane prosto pod rząd króla, tudzież poczty bióro, i mennica. W tym też czasie minister króla pruskiego domówił się urzędownie, *aby nowy król koniecznie z polką żenił się*.

Sejm elekcyi w dniu 27 sierpnia przeznaczonym od prymasa podług zwyczajnych ceremonij i obrządków odprawił się. Obrany na nim królem pod laską Józefa Sosnowskiego Pis. W. Lit. a posła Brześciańskiego Stanisław Poniatowski Stolnik Litewski. Dnia 4 września Sejmiki przedkoronacyjne na dzień 29 8bris dzień koronacyi na dzień 25 9bris, a Sejm dwuniedzielny koronacyjny na dzień 3 Xbris wyznaczone. Dnia 13 września w kollegiacie Ś. Jana w Warszawie pod czas mszy mianéj przez JW. Załuskiego biskupa kijowskiego król obrany zaprzysiągł przed prymasem Pacta Konwenta Carowa dowiedziawszy się o téj elekcyi, ozięble bardzo tę wiadomość przyjęła. A sułtan Turecki wściekał się prawie od złości. Keyserling tegoż dnia po elekcyi króla umarł. Repnin starał się najusilniéj, aby na miejscu zmarłego Keyserlinga został ambasadorem, czemu że przeszkadzali Czartoryscy, poróżnił się z niemi znacznie, a swego dopiął przez wsparcie ministra Panina krewnego swego.

Koronacya króla dnia 25 9bris podług zwykłego ceremoniału przez prymasa odprawiona, a 26 9bris król od miast: Warszawy, Krakowa, Wilna, Lwowa i Lublina na środku rynku warszawskiego ofiarowane klucze na znak hołdu, i przysięgę wierności odebrał. Dnia 27 9bris gdy jechał król przez przedmieście krakowskie do kościoła ś. Krzyża podskarbi W. kor. na wszystkie strony pieniądze pospólstwu rozrzucał.

Sejm koronacyi dwuniedzielny dnia 3 Xbris pod laską Małachowskiego Starosty Piotrkowskiego odbyty został. Na tym sejmie król wakujące pieczęcie porozdawał, to jest: pieczęć W. kor. Jędrzejowi Zamojskiemu, mniejszą koronną JX. Młodziejowskiemu kanclerzowi Gnieźnieńskiemu, a czynnemu podczas elekcyi króla prymasa audytorowi, Litewską zaś mniejszą Przeździeckiemu referendarzowi Litewskiemu. Dnia 14 Xbris Bruhtowie do nobilitacyi przypuszczeni. Dnia 18 Xbris Poniatowscy bracia królewscy z swemi potomkami za książąt krwi uznani. Na tymże sejmie król świeżo ukoronowany zapomniawszy o przysiędze na pacta konwenta, że avulsa recuperabit, przez siebie uroczyście wykonanéj, ratyfikował na wieczność traktat Moskwie sprzyjający Andruszowski. Ten traktat r. 1667 za panowania w Polsce Jana Kazimierza z Moskwą w Andruszowie między Smoleńskiem i Mścisławiem był zawarty. Przezeń Moskwie Smoleńsk, Siewierz, Czernichów i Ukraina z tamtéj strony Dniepru na lat 15, a Kijów miasto na dwa lata tylko puszczone były od Rzeczypospolitéj. Za panowania Jana Sobieskiego Krzysztof Grzymułtowski wojewoda Poznański wyznaczony do odnowienia, nie do odmienienia tego traktatu, dawszy się przekupić Moskwie stem tysięcy rubli odmienił traktat tym czasowy na wieczny. Lecz gdy Rzeczpospolita téj Grzymułtowskiego arbitralnéj nie przyjęła umowy, Grzymułtowski

w łeb sobie strzelił, a pretensya Polaków do kraju nieprawnie przez Moskwę posiadanego wisiała bez decyzyi przez dwa panowania Saskie. Dopiero Polak zostawszy królem (na co Sasi nieodważyli się) zaaprobował haniebny podpis Grzymułtowskiego. I to się nazywa pierwszym przez Poniatowskiego uczynionym kraju Polskiego podziałem.

Na tymże sejmie gdy wniesiono, aby dwom starym Czartoryskim statuy postawić, jednę kancl. W. Lit. w Litwie, a drugą w koronie wojewodzie, rozrzucono po Warszawie decyzyę publiczności: Dwie szubienice są dwa nagrobki prawdziwie należne dla tych, którzy Moskwę do Polski sprowadzili, i ją rozlokowali.

Dwoiste także wyszły wierszyki:

*Wielkież to dzieło Boskiej Wszechmocności*
*Syn w koronie, Ojciec w krześle, a Dziad Podstarości;*
*Gdyby cię też z odważnych mógł się spytać który,*
*Czemuś ni August czwarty, ni Stanisław wtóry.*
*Stanisław pierwszy nie był od wszystkich uznany,*
*August zaś nierychło ci aż po chrzcie przydany.*
*Gdyś więc w Polszcze mój Ciołku ni wtóry, ni czwarty.*
*Zdaje mi się żeś królem obrany na żarty.*

Król z Sejmu tego pisał do Carowéj wtenczas: *Protekcya, która W. Ces. Mość dajesz dyssydentom jest godna Jej ludzkości, i filozofii. Tolerancya ustanowiona w mojem królestwie będzie najpiękniejszą, a wieczną pamiątką Jej panowania. Polska nawet wiele na tem zyska, gdy wchodzić do niej będą ludzie w rękodziełach wydoskonaleni. Pragnę, nawet z Waszą Imperatorską Mością umówić się względem ustanowienia Synodu katolickiego, którýby mógł w Polszcze utrzymywać tę powagę, którą*

*sobie przywłaszczają Nuncyusze Papiezcy, i usunąć moich poddanych od panowania obcego.*

Pokazało się w Warszawie Anagramma uformowane z przemiany liter tego słowa: Poniatowski: *on okpi świat* Przytomny Moskal drugie zrobił: *Okpił on i was.*

Pierwsze Anagramma w najmniejszym punkcie niesprawdziło się, drugie zupełnie. Bo Polaków siebie na tron wynoszących okpił, kraj ich rozdawszy. Ale i siebie bez prognostyku Anagrammatycznego okpił, gdy nędznie w Petersburgu niby to na pensyi życie skończył.

Po skończonym sejmie koronacyi Branicki Jan Klemens Hetman w. kor. stały i niewzruszony w swoim przedsięwzięciu utracić raczéj wszystek majątek, i udać się gdzie za granicę, niż niemieć powróconéj sobie buławy W. kor. pisał list do króla, ale jak do brata *żądając od niego pokoju*, i w eskorcie trzechset najwierniejszych sobie ludzi przebrał się z Węgier do Białego Stoku, gdzie mieszkał pod strażą i bezpieczeństwem najprzychylniejszéj sobie gwardyi.

Skoro wiadomość rozeszła się o przybyciu Branickiego do Białego Stoku, niezmierna liczba obywatelów do niego zjechała się, żądając: *aby robił Konfederacyą.* Ale on wolał w cichości zostać, niż wystawiać królestwo na burze, i rozlew krwi. Wielu też Generałów rosyjskich radzili mu, *aby udał się do Imperatorowy po instancyę do króla.* Za którą radę on podziękował.

Jak tylko Mokranowski nieodstępny przyjaciel hetmana przybył za nim do Białego Stoku, przysłany był Minister polski do niego, który mu zapowiedział, *że jeźli nie stawi się do Warszawy dla złożenia homagium, będzie mu formowany proces kryminalny za podniesienie broni przeciwko Rzeczypospolitéj.* Przymuszony tedy został być posłusznym. Gdy przybywszy do Warszawy przechodził przez sale pałacowe na audyencyą do króla, ktoś w tłumie zawołał: *Przybywasz WMPan nadto pó-*

*żno.* Ale mu zaraz głośno z boku odpowiedziano: *Nie przychodzi się późno, kiedy nie ma się intencyi o co prosić.* Król przeciw zwyczajowi ordynaryjnemu kroku przeciw niemu z swego pokoju nieuczynił. Mokranowski zbliżając się rzekł: *Najjaśniejszy panie! ponieważ Opatrzność postawiła W. K. Mość na czele Rzeczypospolitéj, ja będąc zawsze jéj Obywatelem, powinienem W. K. Mości złożyć moje homagium. Przywiązanie do mojéj ojczyzny nieodmieni się nigdy we mnie. A jeżli ta przyczyna może zasłużyć na W. K. Mości dobroć, spodziewam się ją otrzymać z tego względu.* Król mu odpowiedział: *moje intencye równają się Wacpanowym, też same czucia nas łączą; podchlebiam sobie, że w krótce będąc świadkiem wszystkiego, przywiążesz się do mego panowania.* Potem ścisnął go król z płaczem i dodał: *Mokranowski nieoddalaj się odemnie. Widzisz wiele sposobów używałem dla oszukania Moskwy.* Mokranowski pytał się, *czy może być zapewniony, że ją oszukał.* Bawił się on nieco w Warszawie, dobrze widziany u dworu, przymilenia odbierający nawet od swych nieprzyjacioł, lecz nazajutrz gdy czy coś wymówił przeciw despotyzmowi, który się robił w Rzeczypospolitej, czy też udano go tylko odebrany mu rząd nad pocztą, który miał od początku Bezkrólewia, pogrożono mu nawet, że go ogołocą z innych urzędów, co on spokojnie przyjąwszy wyjechał z Warszawy dnia, którego przyobiecał wyjechać z początku przyjazdu.

Książe Radziwiłł udał się do Drezna; nie mógł mu odmówić ten Dwór swego schronienia. Dwory: Wiedeński, Francuzki, Madrycki, Neapolitański i Drezdeński zanosili żądania swe do króla, aby ani hetman W. kor. ani Radziwiłł nie byli prześladowani jak buntowniki o czem Francya hetmana, a Wiédeń Radziwiłła sekrenie zainformowały.

W czasie tym młody jeden Francuz umocowany, aby jechał do Warszawy powitać króla, miał zlecenie, aby wstąpił do Białegostoku i zrobił imieniem dworu swego szanownemu temu Staruszkowi pozdrowienie.

Przyjechał wkrótce za nim do Białegostoku szlachcic hiszpański posłany od króla do hetmana W. kor. z orderem złotego runa. Na którego włożenie niezmierna liczba ze wszystkich Województw Senatorów, książąt i Panów najznaczniejszych do Białegostoku zjechało się. A tak przez te względy, które odbierał od Monarchów Europy, miał nadgrodzone swoje umartwienia tak daleko, że głośniejszéj doszedł powagi, niż ta była, z któréj był ogołocony.

Ustanowiono w kraju cztery kommissye najwyższe i te w ręce samego króla oddano, co uczyniło go tym śmielszym i możniejszym do powstawania na wolność, kiedy wojsko, skarb, poczty, sprawiedliwość miał w swoim absolutnym rządzie. Zaczęto podchlebiać chłopom obiecując im ustanowienie sądu między Panem i chłopem — Książęta Czartoryscy posiadacze wszystkich względów, i zdania królewskiego, promowowali na różne stopnie ludzi bardzo miernego urodzenia, i majątku aby ich na nogach stawiać naprzeciw okazałości, i dumie magnatów, chociaż sami w najwyższym stopniu niemi byli.

Przedsięwziął król Poniatowski bić monetę polską, a że srebra na to nie było, ani złota, ułudził wielorakiemi najpodchlebniejszemi obietnicami księdza Wargawskiego Prowincyała Paulinskiego na Jasnéj Górze, to jest, w Częstochowie mieszkającego, iż mu kilka bryk srebra i złota, ktore wierni Matce Boskiéj na ofiarę od tylu wieków składali, wydał. Ale sprawdziło się na nim dawne i powszechnie wzięte przysłowie: że zdradę na świecie lubią, ale zdrajcy nienawidzą. Gdyż X. Wargawski za ten swój postępek wielą nadgrodami zarę-

czony od króla, ledwie to otrzymał, że kapelanem królewskim został. Więc tym nie dotrzymanem przyrzeczeniem zgryziony nędznie umarł. A z tych skarbów cudownemu obrazowi Matki Boskiéj wydartych przewożący je do Warszawy elegancko edukowane urwisy wiele pokradli, i pomarnotrawili.

Że Stanisław August chciał dostąpić chwały z przywiązania do stanu żołnierskiego ustanowił kilka nowych Reymentów, nad któremi poczynił Officerami Prusaków tak, iż wszystko było po prusku aż do odzienia nawet, okazałego wprawdzie, lecz nie ze wszystkim wygodnego. Znajdował się król często na musztrach tych nowych żołnierzy. Pomimo tych królewskich usilności zdających się do porządku zmierzać, wielu z dawnych Obywateli Sasom obowiązanych i przychylnych tak lekce ważyli u siebie Poniatowskiego, że prócz podchlebców, zauszników, i nowych kreatur nikt go w ręce nie całował.

Król, który przed wstąpieniem na tron wielki czynił wybor w kobietach do swych zabaw, zostawszy królem z najpodlejszemi wdawał się kokietami. Nigdzie kobietom nie dał pokoju, ni na teatrze, ni w mieście, ni na wsiach mieszkającym, o których jakiejkolwiek urodzie dowiedział się, a kobiety spodziewając się przez intrygi miłosne z królem, i siebie i swoich krewnych promowować, lub dobrze być zapłacone, z największą ochotą poddawały się żądaniom króla. Jakoż widzieć to można z odpowiedzi jednéj tanczarki namawianéj od króla do dogodzenia jego namiętności: Gdy bowiem król rzekł do opierającéj mu się, że jest okrutną, ona mu odpowiedziała: Najjaśniejszy Panie nie jestem okrutną, ale bardzo drogą. Domyśleć się można, że musiała być dobrze zapłaconą.

Takie króla podłe postępowania niepodobały się jego wujom. Co postrzegłszy młodzi podchlebcy królewscy

Branecki, pierwszy jego konfident, tudzież familiana jego Poniatowscy wyniesieni do godności książąt, a pragnący jak najprędszego swojego wzrostu, radzili królowi wybicie się z opieki wujów. Zaczął tedy król rozdawać łaski bez ich dołożenia się. W takowem poróżnieniu się Króla z wujami widząc Książe Repnin, ile bardzo często będąc królowi rywalem w umizgach i rozpuście, opisywał ich brudnemi wyrazami do Petersburga, zwłaszcza króla, któremu raz nawet pogroził, że pozwoli zrobić konfederacyę przeciw niemu wszystkim nieukontentowanym, i zostawi go na nienawiść powszechną.

Nieszczęścia coraz nowe Polszcze przybywały. Król pruski nieuważając na niepodległość wzajemną między dwoma państwmi, a szukając w sąsiedztwie nawet gwałtownie swoich zysków, kazał wystawić na środku Wisły na jednéj wyspie bateryę opatrzoną armatami, którąby mocą przymuszała statki polskie z produktami do Gdańska idące do opłaty cła.

Po niedługim czasie pokazała się osobista nienawiść między królem Polskim i Pruskim. Minister austryacki w Warszawie mieszkający napomknął królowi naszemu, iż może mieć nadzieję arcyksiężniczki Austryackiéj w małżeństwo. Poczem [illegible]ą król nasz ustawicznie pisywać do Carowéj zachęcając ją do dawnego systematu zawarcia między Carową, a Polską alliansu. Król Pruski wyszpiegowawszy te Poniatowskiego żądania w tak gwałtowny wpadł gniew, iż wyrzekł to słowa! *Ja mu potrzaskam głowę z jego koroną.* Minister Pruski w Warszawie dopominał się nowego rozgraniczenia krajów Polskich od Pruskich, postawienia Dyssydentów we wszystkich prerogatywach szlachty Polskiéj; pozwolenia Prusakom rekrutowania w Polszcze; urządzenia mennic polskich stósownie do pruskich; ministrowie polscy na te wszystkie niesprawiedliwe żądania zastawiali się prawem na-

tury, ale król mając nadzieję w Carowéj wzywał jéj opieki. Posłany przeto od Carowéj do Warszawy był Saldern minister, któryby był medyatorem stron wszystkich dwór różniących, któryby examinował postępki Repnina, konfrontował jego relacye z stanem rzeczywistym narodu, któryby uczynił koniec kłótni z królem pruskim, i odkrył prawdziwe sposoby do uczynienia zgody. Trzy punkta najszczególniéj Carowę interesujące polecone Saldernowi, to jest: interes Dyssydentów, Allians zaczepny i rozgraniczenie.

Stanąwszy w Warszawie Saldern, miał naprzód zaniesione do siebie skargi króla na wujów, na Repnina znowu wujów, i Ministrów polskich na króla Pruskiego. Chciał on z początku pokazać się we wszystkich tych skargach bezstronnym, i w ułożeniu ich protokułu czynnym, ale daléj gwałtowna jego deklaracya popsuła robotę. Oświadczył się bowiem, że Carowa wszystkich tych ziemię niszczyć będzie, którzy niezechcą z nią wnijść w porozumienie się.

Nadszedł sejm roku R. 1766, równie pod konfederacyą, i bronią Rossyjską. Posłowie na dwie partye podzielili się, na partyę królewską i jego braci, i na partyę Czartoryskich. Ośmiu tylko posłów na tym sejmie nie należało do żadnéj partyi, to jest: Małachowski marszałek tylu sejmów, syn jego godny ojca, hrabia Wielohórski, hrabia Czacki i czterech posłów pruskich, których światło i cnota niepozwoliły się przywiązywać do żadnych partyi, ani nadzieja żadna nie mogła ich uwieść ani żaden postrach ustraszyć.

W tem położeniu narodu obrócone najbardziéj były wszystkich oczy na Biskupów. Ale widziano z żalem słabość sentymentów prymasa Łubieńskiego, a starość zgrzybiałą Sierakowskiego arcybiskupa lwowskiego. Kajetan Sołtyk Biskup krakowski książę Siewierski wysokiego urodzenia, a nieposzlakowanéj i nieustraszonéj

cnoty mąż, dał się szlachetnie, poznać na tym sejmie. Trochę nieco ambicyi szkodziło jego sławie, ale z drugiéj strony wzniecało w nim stałość nieprzełamaną. W czasie bezkrólewia nie mieszał się, ani wiązał się do żadnéj partyi, ale skoro postrzegł z czasem, że prawa były połamane, a ojczyzna uciśniona, deklarował się za jéj stroną. Czartoryscy lękając się jego wziętości w narodzie, spokrewnienia z największemi domami i bogactw, wyperswadowali mu, aby spokojnie siedział w swojej dyecezyi i nie łączył się z hetmanem w. kor. Wszakże mając jechać do Warszawy na sejm, pisał do hetmana w. kor. radząc i jemu jechanie do Warszawy. Hetman W. kor. mu odpisał: że mając wzgląd na swoje podeszłe lata, przedsięwziął przepędzić resztę dni swoich w oddaleniu się od interesów, lecz natomiast ofiaruje cały swoj majątek na dźwiganie praw, nakoniec, że posyła zupełną moc obrócenia wszystkich panów katolickich, od których podchlebne odbierał odpowiedzie, lecz na nieszczęście żaden z tych dworów, prócz Saskiego, nie miał w Warszawie swego posła. Więc Polska cała zostawiona pod absolutną władzą Moskwy i intryg króla pruskiego. Posłał nadto Sołtyk godnego i światłego męża do Petersburga, któryby Carową doskonale zainformował o prawdziwéj rzeczy w Polszcze postaci, i o układach narodu. Repnin posłał do Sołtyka w Krakowie jeszcze przed wyjazdem na sejm bawiącego żądając by mu przysłał jakiego zaaffidowanego swego przyjaciela. Przybyłemu temu od biskupa przyjacielowi rzekł w przytomności wielu senatorów Repnin: że Carowa Jmość względy swoje biskupowi krakowskiemu przyrzeka, lecz że widzi, iż jego całe postępowanie nie zgadza się z interesami Rossyi, oświadcza mu, że w przypadku jego dalszego sprzeciwiania się, wsie jego będą pustoszone, dochody sekwestrowane, osoba jego smutnym wypadkom podpadnie, krewni nawet jego za niego

odpowiadać będą. Biskup nie ulękniony bynajmniéj temi postrachami pisał do króla żaląc się na tyrańskie wyrazy ministra obcej potencyi. Protestował się *że nim ani prywata, ani partykularne względy, ale żądanie powszechne narodu, i powinność jego stanu powodują*, nakoniec ogłosiwszy publicznie w Krakowie groźby Ministra zachęcił swoje owieczki do postów i modlitw, i sam wyjechał do Warszawy.

W tym dwóch półkowników szulerów i deboszników przybyło z Petersburga do Warszawy ku pomocy Repninowi. Ich najpierwsze zlecenie było jeździć po województwach i przestrzegać biskupów, aby nie ważyli się mówić na sejmie przeciw dyssydentom, o wyprowadzeniu wojsk z Polski, o rozgraniczeniu i o zawarciu traktatu. Grozili im te dwa łotry, że gdyby się odważyli mówić przeciw któremukolwiek z tych artykułów, będą ich wioski zniszczone. Wszyscy biskupi z stałością powinną odpowiadali, *że ich stan biskupi i senatorski nie pozwala im milczeć w tak ważnych materyach;* A ponieważ był zwyczaj chwalebny wydawania listów pasterskich do swoich owieczek zachęcając ich do modlitw za szczęśliwe powodzenie sejmu, w wielu tych *dodane było zagrzewanie wiernych obywatelów do obrony religii i wolności.* Dwaj ci pułkowniki rossyjscy obiegłszy biskupów po województwach powrócili do Warszawy zapowiadając toż samo biskupom w Warszawie znajdującym się. Nieukontentowanie tak wielkie ztąd w Warszawie pokazało się, że Repnin wydał ordynans, aby 40 tysięcy Moskwy, które były po nad granicą, zbliżyły się ku Warszawie. Na téj wsparty obronie Repnin wydał deklaracyę, *którą zacząwszy od wielkich pożytków przez Carowę Polsce uczynionych dodawał; że dla ustalenia spokojności publicznéj chce ona jeszcze powrócić wielkiéj liczbie Szlachty Polskiéj uciśnionéj, ich przywileje, że żąda, aby wszyscy Dyssydenci: Grecy, Lutrzy, i Kalwini*

*mieli wolne wyznanie swojéj Religii, z uczestnictwem wszystkich łask, żeby wchodzili we wszystkie Magistratury. i byli przypuszczeni do Senatu*, oświadczając: *iż jeźliby kto się znalazł temu przeciwny, użyje się z nim wszelkiéj mocy, i ukarania.*

Król na publicznej audyencyi, którą dał księciu Repninowi tak mówił: *Niezapieram mojéj wdzięczności, którą winienem Carowy Imci za wyniesienie mię do tronu, ale wstępując nań przysiągłem, że zachowywać będę religię katolicką, w całéj swojéj rozciągłości w mojem królestwie. Gdybym ją opuścił, życie moje i tron byłby wystawiony sprawiedliwym nieukontentowaniom narodu!* Z drugiéj strony wy mnie grozicie, *że użyjecie mocy do wykonania swoich projektów. Są to dwie ostateczności równie dla mnie fatalne, w obydwóch rezolucyach jest dla mnie niebezpieczeństwo, ale wolę wystawić się na to, które z dopełnienia mego honoru, i powinności wypada, i od tego momentu łączę się z moim narodem na obronę naszéj religii.* A wszakże chociaż oświadczał się król z tą rezolucyą na stronę religii, dostrzegano nieomylnie, że słowa jego nie zgadzały się z jego myślami.

Przy zaczęciu sejmu zaraz na pierwszéj sessyi wniósł biskup krakowski *utrzymanie w swojéj całości religii katolickiéj*, a oskarżał dyssydentów, iż oni ważyli przeciwko zakazom praw krajowych szukać protekcyi u obcych dworów. Radził przeto nigdy nieprzypuszczać do przywilejów polskich tych, którzy tak kryminalnie o nie dopominali się, radził zostawić ich przy saméj prostéj tolerancyi, radził nakoniec, aby śmiercią byli karani przekonani o udawanie się do panów obcych po pomoc i rekomendacyę. Całe zgromadzenie biskupów nalegało na stany, aby natychmiast to prawo było uchwalone. Sejm cały na to odpowiedział publicznym oklaskiem. Prawo to natychmiast byłoby podpisane, gdyby był król swoją obłudą niezwlokł tego podpisu *dla roz-*

*mowienia się niby dokładniejszego z biskupami,* nietylko swoje słowo, ale swoją koronę i życie dając w zakład że będzie silnym obrońcą w tej sprawie mówił: *że będąc wychowany w téj religii rezolwuje się w niéj umierać.* Ale dodał, *że teraz nie jest czas stanowienia tego prawa.*

Przestawszy cnotliwy biskup krakowski na tych oświadczeniach króla, prosił go w imieniu całéj Rzeczypospolitéj, aby u Carowéj wyjednał *ustąpienie z kraju wojsk rosyjskich.* Żądał *skasowania konfederacyi Generalnéj,* twierdząc: *że ta dyktatura wszechmocna zapowiada nam zgubę wolności.* Prosił idąc za dawnemi zwyczajami kommunikowania Stanom Zgromadzonym instrukcyi, które król dał swoim ministrom przy dworach cudzoziemskich będącym, a szczególniéj w Petersburgu i Wiedniu. Wszakże nad całą tą najwyborniejszą biskupa krakowskiego wymową przemogły układy króla na tym sejmie. A naprzód co się tyczy religii, ustanowiona komissya z biskupów do roztrząśnienia pretensyi Dyssydentów. Układy senatu od początku panowania bez arbitrów czynione, czytane teraz były podobnie pomimo mruczenia, i narzekania obywatelów przybyłych na sejm i chcących wiedzieć o swoim losie. Gdy wniesiona materya skarbu, aż nadto krzywo prowadzona była, odezwało się dwóch posłów wołyńskich: *Czacki i Wielohorski* w te słowa: *Raczcie wacpanowie nas nauczyć jaki jest nasz dzisiejszy rząd? Rzeczpospolita nasza straciła dawną swoją formę tak dalece, że nawet na zgromadzeniu narodu napróżno szukamy jej śladów. Trzeba być ślepym, chcąc ich uznawać w gatunku téj konfederacyi, która w pośrodku nas uformowała się, bezporządna co do swego początku sposobów i trwałości. Dwie nowe powagi wskrzeszają się przy tronie, to jest: komissya najwyższa wojska i skarbu. Któż nas zechce zapewnić, że z pomiędzy tych komissyj członków nieuformuje się kiedy na obalenie wol-*

*ności decemwirat rzymski. Potrzebą konieczną jest ograniczyć te magistratury nowe, a najbardziéj, by do nich nie królowie, lecz obywatele wybierali osoby. Jesteśmy otoczeni niebezpieczeństwami to prawda, ale król nadto mocny, jest dla nas najniebezpieczniejszy. Ostatnie konstytucye są bardzo ciemne w wielu punktach, chciéj najjaśniejszy Panie je objaśnić.*

Za przystąpieniem do dalszych czynności sejmu, wniesiony projekt w konstytucye zamieniony został, aby tak przy obieraniu posłów na sejm, deputatów na trybunał jako też na sejmie samym większość głosów stanowiła zupełną ważność, nieoczekując koniecznie jednomyślności.

Figlarny i wykrętny Repnin począł niby formować partyę, przeciwną królowi. Zaczął się wiązać z temi którzy na tym sejmie sprzeciwiali się zamiarom króla *Chwalił ich gorliwość i patryotyzm. Zapewniał ich, że najchlubniejsze dla nich podał do swojéj monarchini raporta, i obiecywał im téj monarchini opiekę. Zachęcał ich do mówienia więcéj. Przestawał nazywać buntownikami tych którzy niechcieli podpisać projektów Rosyjskich. Interes religii przestał promowować.* Przez co w umysłach Polaków wielkie porobił rewolucye. Jakoż poseł ten, i minister Pruski poczęli być poczytywani za obrońców wolności Polskiéj. Utrzymywali oni we wszystkich posiedzeniach, *że czas przyszedł, aby naród powrócił się do swoich praw. Wyszukiwali przyjaciół księcia Radziwiłła, stronników Domu Saskiego, kobiet które miały kredyt u dawnego dworu, a najbardziéj osobistych nieprzyjaciół króla.*

Znajdował się pod ów czas w Warszawie duchowny jeden nazwiskiem Podoski referendarz koronny przybyły do tego miasta z układem głośno przez siebie ogłaszanym bez względu na swój duchowny stan, i przywiązanie do Ojczyzny, które jéj był winien, że chce pomagać dyssydentom a sprzeciwiać się królowi. Był to

człowiek na wszystko złe rozpasany, i determinowany, którego przywiązanie się sromotne do jednéj luterki wdowy po jednym kupcu pozostałéj Emchinowy nazwiskiem, skłoniło go do popierania interesów luterskich, i innych dyssydentow. Ponieważ on z młodych lat swoich przywiązał się był do partyi księcia Karola Saskiego, jako księcia Kurlandyi, nadgrodzone miał to przywiązanie dostojnością referendarza koronnego, i orderem Orła Białego. Obowiązany przeto Domowi Saskiemu głównym był nieprzyjacielem Poniatowskiego siedział on cicho na wsi; za nadejściem Sejmu udał się do Warszawy, spodziewając się, że może jakąś Domowi Saskiemu uczynić przysługę. Ani wiek, ani interesa, ani godności kościelne, które posiadał, niezerwały związków z tą wdową luterką. Za przybyciem swoim do Warszawy Podoski wprowadzony do posła rosyjskiego uwielbiał protekcyę Imperatorowy dla Dyssydentów, i sam uznawał słuszne ich pretensye. Za co przypuszczony do wszystkich sekretów poselstwa. Dowiedział się on wtenczas, że Poniatowski jeszcze przed wstąpieniem na tron utracił łaskę Carowy, tak, iż ta monarchini już poprzestała była popierać jego elekcyą, i odebraną wiadomość jego elekcyi zimno przyjęła. Repnin włożył na Podoskiego obowiązek układać dziennik sejmu, który potem posłał do Petersburga. To tak ścisłe związanie się Podoskiego z Repninem robiło jakieś porozumienia się między tym posłem a obywatelami najcnotliwszemi. Sam biskup krakowski zdawał się nakłaniać ku posłowi.

Skoro o tych wszystkich intrygach, i przeciwnościach dowiedział się król przyszedłszy na sesyę zemdlał na tronie. Trwała ta słabość dni kilka, w czasie któréj mówił do poufałych sobie, iż żałuje pragnienia swego korony, i że wolałby był mieć spokojność w życiu prywatnym.

Repnin zainformowany, że król widząc swoję koronę chwiejącą się chce powiększyć wojska polskie, i nowe ustanowić na to podatki, oświadczył się urzędownie, że jego monarchini na to niepozwoli gdyżby to był dowód jakiejś nieprzyjaźni Polski dla Rossyi. Rozkazał Repnin aby sześć tysięcy świeżych Moskalów stanęło koło Warszawy, wyraźnie przeznaczonych na rabunek tych którzyby sprzeciwiali się woli carowéj. Ale król zdawał się być determinowanym utracić raczéj koronę, i życie, niż przystać na żądanie Repnina niepozwalającego na decyzyę, na większości głosów wspartą. Gdy Repninowi i groźby i rozmaite uwagi królowi przedstawiane nieudały się do przeistoczenia go na swoją stronę, dał ordynans wojsku rosyjskiemu lokowania się w dobrach królewskich, i tam wyciągania żywności, i wszelkich wygód. A tak i sam król począł doświadczać téj haniebnéj tyranii, na którą naród cały wystawił. Powysyłał więc król sekretnie swoich wiernków do tych, o których wiedział, że utrzymują korrespondencyę z Francyą. Tu to dopiero zaczął ciężko jęczeć na to, że obce potencye, o które przedtem mało dbał, opuściły Polskę. Prosił, aby wystawiono Turkom, że Moskale utrzymywali w królestwie Polskiem wojska swoje, jakby garnizon w kraju zawojowanym; że te wojska przechodziły się po kraju dla straszenia szlachty rozproszonéj; że te w czasie sejmu agitującego się kantonowały, i chciały narzucać narodowi najwyższe swoje ukazy.

Tymczasem Repnin od początku sejmu odebrał rozkaz od swojéj monarchini umiarkowania próżb dyssydenckich, więc zamiast kłócenia się z biskupem krakowskim o dyssydentów posłał do niego referendarza Podoskiego z projektem umówienia się łatwego w tym wszystkim, co się ściągało do religii. Nadzieja przywrócenia spokojności Rzpltéj oświadczona przez usta Podoskiego wziętość mu taką zrobiła, że przez niego

samego utrzymywała się korespondencya między posłem a biskupem krakowskim. Zgodzili się na to, *że dyssydenci mogą dojść do godności prowincyonalnych, wyłączając jednak te, które wykonywają magistraturę dożywotnią i że dyssydenci mogli być obranemi deputatami na trybunał po dwóch z każdéj prowincyi.* Król niechcąc aby tylko biskupowi krakowskiemu ten honor był przypisany, sam także do téj ugody dobrowolnie przystąpił.

Carowa usłyszawszy z gniewem o przedsięwzięciach śmiałych, które Poniatowski zdawał się ogłaszać przed sejmem, wyrzucała mu listem swym otwarcie, iż on z tego zrobił interes religii, co podług niéj niebyło, jak interesem politycznym. Król pruski zaś pisał do carowy oświadczając: *że nieprzestaje na prostéj tolerancyi, ale chce aby Dyssydenci do wszystkich prerogatyw, i urzędów zarówno z katolikami, należeli.* A Turcy ujęci uciśnieniem Polaków nalegali na carowę, *aby wojska swe z Polski wyprowadziła.* To gdy się dzieje, carowa poddająca się żądaniom króla pruskiego wskazała do Repnina, aby on forsą 40 tysięcy wojska rosyjskiego popierał wszystkie bez excepcyi żądania Dyssydentów Repnin wyjednawszy audiencyą usiadł na boku tronu, i podał notę królowi, *że chce carowa przypuścić dyssydentów do prerogatyw bez żadnego ograniczenia.* Minister króla pruskiego tenże interes popierał, a Repnina namawiał, *aby użył do tego mocy.* Nuncyusz papiezki prosząc także o audyencyę rekomendował najwymowniéj, i najusilniéj interes religii. Na co mu kanclerz imieniem króla odpowiedział: *że stany niedopuszczą najmniejszego jéj uszczerbku.*

Król zwołał do siebie biskupów rozkazując im roztrząsnąć, jak najdokładniéj pretensye dyssydentów. Dostrzeżono iż król zawziętem sercem unosząc się ku biskupowi krakowskiemu chciał się nad nim zemścić przez poróżnienie go z Repninem, i że wszystkich używał spo-

sobów i podstępów z swemi partyzantami na kłócenie sejmu. Co skłoniło niektórych arbitrów do mówienia między sobą „*iż trzebaby polakom tak sobie postąpić teraz, jak niegdyś za króla Ludwika polskiego i węgierskiego króla, gdzie zdrajcom senatorom, w Glinianach głowy poucinano, i z trupów ich królowi z Węgier przybywającemu tron usłano.*

W tem dwóch Szlachty nazwanych Zakrzewski i Tresemberg, którzy potem zginęli w konfederacyi Barskiėj byli najodważniejszymi z nieukontentowanych. Przyłaczyło się jeszcze do nich sześciu, *którzy determinowali się rozsiekać króla i jego faworytów.* Ci gdy oczekują na zebranie się swoich współspiskowych, dwaj ministrowie cudzoziemscy domagali się z gniewem objaśnienia konstytucyi, i rozwiązania konfederacyi generalnėj, niepozwalając stanom czasu do rozwagi nad 24 godzin. Minister pruski w imieniu swego króla oświadczył, *że 12 tysięcy Prusaków odebrało ordynans wnijścia do Polski, jeźli ten interes dłużėj zwłóczony będzie.* Na sesyi, która nastąpiła po tak nagłym nakazie, pułkownik rosyjski przyszedł do drzwi sejmowych domagając się odpowiedzi na deklaracyę carowy i mówił: *że jeźli długie perswazye nic niepomagają, dwa szwadrony dostatecznemi będą do tego otrzymania.* Wszelako w momencie nad tym deliberacyi kanclerz zaczął czytać dwa projekta o dyssydentach; jeden podany w początku sejmu przez biskupa krakowskiego, drugi zupełnie przeciwny temu, bo sprzyjający dyssydentom, i domagający się odrzucenia tych słów w projekcie biskupa krakowskiego, wyrażonych: *że ci polscy dyssydenci, którzy pod protekcyą obcych dworów udają się, jako zdrajcy kraju karani być powinni.* Po przeczytaniu tych projektów krzyk powstał za dyssydentami, których wielka liczba między arbitrami znajdowała się. Biskup krakowski poznając, że król tylko na oko był przyjacielem religii, w cichości

zostawał nic nie odpowiadając, chociaż go świątaszkiem i hipokrytą nazywano. Widząc ten tumult król, chciał sesyę solwować, ale wielu senatorów i posłów na to niezezwalało, a pomizdzy burzliwemi krzykami słychać było: *zabij, rozsiekaj*. Mała jeszcze liczba spiknionych nieodważyła się rzucić się na króla, ale chciała przez te krzyki doświadczyć, czy kto w tumulcie niedobędzie pałasza. Król widząc się w niebezpieczeństwie zszedł z tronu, i pomieszawszy się w tumulcie wyszedł bez porządku z Izby. W ten czas zaczęto wołać na prymasa aby sesyi téj prezydował nazywając tron wakujący. Gdy odmówił to prymas, zaczęto go lżyć i zapowiadać: *że rzeczy pójdą do ostateczności.*

Wujowie królewscy książęta Czartoryscy bojąc się zgubić i siebie i ojczyznę radzili rozwiązać konfederacyę jeneralną. Król ustraszony tylu niebezpieczeństwy przyrzekł uskutecznić ich radę. Wielka liczba arbitrów przyszła na sesyę. Książe August Czartoryski udawał słabość i dla tego często na sessyi nieznajdował się. Repnin przyjechał do niego obiecując mu *wielkie względy carowy*, *jeżli będzie na sesyi znajdował się zawsze*, przeciwnie zapowiadając mu *całkowite jego zniszczenie jeżli będzie od sesyów unikał.* Ulękniony tem Czartoryski August przybył na sesyę, na któréj usłyszał od Repnina, *iż wolą jest tak carowéj*, *jako i króla pruskiego*, *aby większość głosów nic nieznaczyła*, *lecz jeden poseł mógł się wszystkiemu przeciwić*, *gdy mu się tak zdawać będzie.* Zaproponowanie to przez Repnina natychmiast podpisanem zostało. Niektórzy posłowie ze łzami to podpisywali, *żałując nawet że umieją pisać.*

Nazajutrz przybyli na sesyę biskupi donieśli *że przerzuciwszy wszystkie traktaty nieznaleźli żadnéj umowy*, *któraby jakieś prerogatywy dyssydentom w Polsce nadawała.* Czytano potem głośno w Izbie rekomendacye pruskie, rosyjskie, angielskie i duńskie za dyssydenta-

mi. Wydziwić się zatem nie można że tyle i tak światłych dworów ministrowie fałszywe w téj mierze cytowali traktaty. Atoli dla odpowiedzi rekomendacyom tak wielkich dworów biskup krakowski przystał na kilka artykułów sprzyjających dyssydentom, to jest: na te artykuły, o które już był biskup krakowski z Repninem dawniéj umówił się; *przez które on pozwalał aby processa prawne dyssydentów do trybunałów katolickich należały, aby mieli po całym królestwie wolność wykonywania i nauczania swojéj religii w swoich domach, aby byli przyjmowani do nowéj szkoły militarnéj, albo jak uczniowie albo jak profesorowie.* To wszystko dyssydentom jednomyślnie pozwolono. Ale dyssydenci niebyli z tego kontenci chcąc do wszystkich szlachty polskiéj iść przywilejów. Koniec tego sejmu uczynił obie strony nieukontentowane, a konfederacya jeneralna z poklaskiem wielkiéj części rozwiązana. Cała Polska oczekiwała rezolucyi carowéj.

Dyssydenci zaufani w protekcyi rosyjskiéj myśleli wymódz to mocą, co trzy następne sejmy im odmówiły. Jakoż poczęli się chwytać środków gwałtownych. Goltz zebrał cicho znaczną liczbę żołnierzy. Lecz że prawo konfederowania służyło tylko szlachcie mającéj wpływ do urzędów i magistratur, bojąc się, aby niebył podnosząc konfederacyę poczytanym za buntownika szukał obywatelów katolików nieukontentowanych z teraźniejszego rządu, i udał się naprzód do Radziwiłła do Drezna. Książe ten ogołocony ze wszystkiego, traktowany jak kryminalista, opuszczony od dworów sprzymierzonych z Polską, oczekiwał w Dreznie, azaliż jaka niepoda się okazya powrócenia go do pierwszego szczęścia. Dyssydenci udawszy się do niego do Drezna przełożyli mu, *że mógł powrócić się do wszelkich swoich dostojności i dóbr za pomocą tej saméj potencyi, która go prześladowała, że uciśniony prawami niesprawiedliwemi*

*stanie się naczelnikiem Rzeczypospolitej i odnowicielem praw.* Aby go zaś wyprowadzić z wszelkiéj o tem wątpliwości, kommunikowali mu korespondencyę swoją z dworem rosyjskim, przyrzekli mu przysłać *obietnicę carowy, i całéj jéj rady, podpisaną i pieczęcią jéj stwierdzoną, że wspierać będzie tę konfederacyę, przeciw wszystkim przeciwnikom, a na rozkaz jéj marszałka tyle swego doda wojska ile będzie potrzeba.* Radziwiłł odrzucił te propozycye obierając raczéj być na zawsze ogołoconym z wszystkiego i wygnanym z kraju, niż stać się naczelnikiem przedsięwzięcia od poczciwych obywatelów potępionego, i za bunt uważanego. Wszyscy nawet nieukontentowani z rządu, którym dyssydenci proponowali swoje zamiary, otwarcie je odrzucili. To sprawiło, że dyssydenci acz w małéj kwocie zostający postanowili sami formować konfederacyę co nieomylnie spiskiem nazwać się może.

Tymczasem referendarz Podoski stawszy się zausznikiem Repnina, a przeto przypuszczony do wszelkich sekretów ambasady rosyjskiéj, dowiedziawszy się że carowa rozgniewała się dużo na króla za jego intrygi w czasie sejmu tego czynione, poobiegał prowincye Polski dla rozjątrzenia nieukontentowanych, i dla proponowania im detronizacyi Poniatowskiego. Przywiózł on do każdéj prowincyi listy od Repnina nakazujące *aby dawać wiarę temu wszystkiemu, co im opowie Podoski.* Ten zaś zapewnił obywatelów po prowincyach będących, *że czas przyszedł zemsty, że carowa uznała wszelkie niesprawiedliwości, które w imieniu królewskim w czasie bezkrólewia podziały się, że nietylko ona pozwoli na zebranie się obywatelów dla obalenia nowego rządu a odzyskania dawnych praw, ale że można od niéj otrzymać całkowitą sprawiedliwość, jako od téj, która żałuje swego wyboru.* Dodawał *że Panin dawny przyjaciel Poniatowskiego odmienił swój układ względem niego, że*

*Repnin poróżniwszy się sprawiedliwie z królem chce się złączyć z jego nieprzyjaciółmi i im dodać wojska do zniesienia tronu; że trzeba profitując z tych szczęśliwych okoliczności uformować nową konfederacyę, przeciwko temu wszystkiemu, co tylko od śmierci króla Augusta III zrobiło się gwałtownego i nielegalnego*, zawierając w swoich wyrazach *ustanowienie czterech rad najwyższych, wypędzenie Radziwiłła i obranie króla.* Najgorliwsi obywatele dali się zwieść, i ułudzić obietnicami tego, czego pragnęli. Niewątpili oni że carowa, która nieprzestannie gadała o sprawiedliwości, wspaniałości, i miłości rodzaju ludzkiego uznawszy jak jest oszukana *powróci nakoniec wolnemu ludowi rząd i niepodległość.* Im bardziéj ona rozpościerała swoją władzę przeciwko narodowi bezbronnemu, tem bardziéj oni przekonywali się, że *ona myśli o ustanowieniu nowego tronu*

Ale z drugiéj strony monarchini ta odsyłając królowi wielką liczbę listów obywatelskich przeciwko niemu do siebie pisanych, niechcąc ich nawet odpieczętowywać, wskazała z groźbą do niego, *aby koniecznie dyssydenci otrzymali skutek wszelkich swych żądań dodając jednak, że niechce aby ten interes gwałtem i mocą był popiérany, ponieważ król powagą swoją, a nie gwałtem winien go utrzymać.* A tak ta monarchini używała wszelkich z swojéj strony sposobów na dopięcie swoich zamysłów, z których jedne drugim były przeciwne. Protegowała spisek dyssydentów, którzy odrzuceni przez prawa rozjątrzali naród przeciw sobie. Patrzała przez szpary na konfederacyę, nieukontentowanych, którzy chcieli wzburzyć państwo przeciw królowi. Obiecywała królowi znowu powrócenie swoich łask, jeżli przywiedzie do skutku jéj układy. Wszystkie takowe carowéj postępowania, zamieszki robiły w Polsce.

(*Dokończenie w następnym numerze*).

# KILKA SŁÓW

W ODPOWIEDZI NA ZARZUTY WYMIERZONE

przeciw

## „Uwagom nad Kwestyą włościańską“

zamieszczonym w *Dodatku do Czasu*

**z miesiąca Listopada r. z.**

---

Od czasu publikacyi (*) „Uwag naszych nad oczynszowaniem i uwłaszczeniem włościan w Królestwie Polskiem“ *Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych* ogłosiła drugi artykuł Xiędza Szpaderskiego w téj kwestyi. Ogłoszenie to wywołało polemikę, pomiędzy Panem Wł. G. a księdzem Szpaderskim; następnie 5 listów o stanowisku u nas Kwestyi włościańskiéj, wszystko w *Kronice* umieszczone. Jak nie cieszymy się z téj tendencyi *Kroniki*, przyjmującéj artykuły, więcéj osobistościom, jak rozjaśnieniu ważnéj kwestyi poświęcone, a zaprze-

(*) Patrz *Dodatek do Czasu*, T. VIII, zeszyt 23, stron. 388.

czające interesowanéj powszechności prawa objawiania swych myśli, z powodu że myśli te, jakiejś powadze autorskiéj, lub pewnéj koteryi się nie podobają, tak też nie myślemy wstępować w szranki podobnéj polemiki. Nie jesteśmy zapalczywemi zwolennikami żadnego z tych trzech obozów, na jakie podzielił opinią p. Wł. G. i których reprezentantów powprowadzał do listów swoich, pod komiczną formą tak ważną kwestyą traktując. Nie przedsiębierzemy niczyjéj, oprócz własnéj obrony. Jeśli się oświadczyliśmy za uwłaszczeniem, to jawnie i otwarcie uprzedziliśmy, iż tylko konieczność naszego położenia do tego nas skłania. Zostawiamy naszą własnością przekonanie, u którego z dwóch spór wiodących więcéj domniemywać można praktycznego obeznania się z przedmiotem, a u którego piękne teorye obok większéj w pisaniu wprawy, i zręcznego podchwytywania za wyrazy, zdają się pozorne nad przeciwnikiem odnosić zwycięztwo. Chcemy wierzyć w szczerość dobrych dla kraju intencyj obydwóch. Niech się w sumieniu swojem osądzą, ażali po za tę świętą granicę nie unosi którego z nich obrażona miłość własna, tak łatwo zaślepiająca i robiąca nas niekiedy uporczywych obrońców idei w początku czasem nawet nie własnych, bez względu na cel i skutki; co przecież głównym bodźcem osobliwie w tak ważnéj kwestyi bydź powinno, i do obrony przekonań li własnych, od wpływów ubocznych, uwolnionych, zachęcać. Tyle, ba nawet może więcéj jak chcieliśmy, co do téj cudzéj polemiki. Pozostaje nam jeszcze na nieszczęście nasza własna.

Pan Wł. G. w ostatniéj swojéj odpowiedzi Xiędzu Szpaderskiemu, zapowiedział listy do *Kroniki* „O właściwém u nas stanowisku Kwestyi włościańskiéj“. Sam tytuł tak poważny, kazał nam z niemałą ciekawością publikacyi oczekiwać i oczekiwaliśmy też niecierpliwie. Czytając z uwagą wszystkie pięć listów, które dotąd

ogłoszone zostały, nie wiemy najprzód, czy to już ma bydź koniec, bo list czwarty już na to wyglądał, piąty przyszedł nam nadspodziewanie. Zakończenie listu IVgo i wyrazy „na teraz“ i „ostatecznie“ w pożegnaniu czytelników w liście Vtym użyte, coś wyglądają na biało i czarno, i niewiadomo co z nich konkludować. Powtóre: eśli to już ma być koniec, to musimy powiedzieć, że nie doczytaliśmy się nigdzie tego, czego zawsze i we wszystkiem szukamy: to jest konkluzyi nie w ogólnikach, ale jasno i dokładnie zadane pytanie rozwięzującéj. Im z większem zajęciem czytaliśmy rzecz tak obszernie i z takim talentem napisaną, tém żywiéj pragnęliśmy być w tym względzie zaspokojeni, — tegośmy nie znaleźli.

Wstęp do tych rozpraw, czyli wyznanie wiary w liście pierwszym zamieszczone, na którym cały ciąg listów jest osnowany, przyznajemy, ma wielką cechę zgodności z całością listów, to jest tego lekceważenia, z jakiem autor traktuje tych, co niewierzyć ślepo na jego wiarę się ośmielają. Wyłożył bowiem na wstępie elementarne zasady pięciu nauk, których nieznajomość u czytelników swoich z góry podejrzywa. Wierny tej swojéj zasadzie, nie oszczędza w całym ciągu listów żarcików: to zaciągając przeciwników swoich do cechu szewców, na jedną miarę robiących obuwie dla karłów i olbrzymów; to mieniąc ich chrztu jeszcze potrzebującemi: to nakoniec widząc w nich podziubanych ospą mimo upowszechnionego jéj szczepienia. — Wśród takiéj w tak ważnej kwestyi gry dowcipu, doczytaliśmy się na końcu listu piątego, nie umiemy tego ocenić, czy grzecznej i łaskawej krytyki, czy jakiego znowu żarciku z Uwag naszych nad oczynszowaniem i uwłaszczeniem włościan z *Dodatku do Czasu* umieszczonych. — Jest to jeden ze znakomitych talentów p. Wł. G. że w tem co pisze, mimo obszernego pisania rzadko widać jasno

czego chce, a to nie dla tego, by się jasno tłomaczyć nie umiał, ale że się jasno tłomaczyć widocznie nie chce. Drugi talent jemu właściwy jest: zręczne pomijanie trudności i umiejętność stawiania sobie kwestyi ze strony najłatwiejszej, ale téż często ze strony zbyt łatwej; bo dla czegóż rozbiera system uwłaszczenia ze strony rachunku i na tym opiera to dziwne twierdzenie, że chłop woli bydź czynszownikiem jak właścicielem, gdy rachunek ten jako w początkującéj się rzeczy naturalnie za jego twierdzeniem wypada, a nie rozbiera go z tej strony, jak my uważaliśmy, to jest że dla właścicieli, uwłaszczenie włościan, mimo istotnego wyzbycia się własności przedstawia większe materyalne korzyści i większą pewność z téj własności dochodu, jak oczynszowanie które im tylko pozór własności zostawia, a korzyści i dochody na niepewność naraża. Dziwna rzecz że kwestyę główną, przedmiotem listów będącą, postawił sobie p. Wł. G. wbrew talentowi jaki w tych listach rozwinął. Trzeci talent pana Wł. G. który wyłącznie w ocenieniu uwag naszych zastósowanie znalazł, jest umyślne niezrozumienie rzeczy, by rzecz i autora jak najfałszywiéj przedstawić. Na inném zupełnie stanowisku stojąc, z innego punktu na kwestyą włościańską się zapatrując, nie możemy wdawać się z panem Wł. G. w żadną polemikę. Nie możemy, to wyraz bardzo właściwy, bo wśród kłopotów gospodarskich, czasu i wolnéj myśli do tego braknie, czego obojga, o ile z pisma widać, p. Wł. G ma wielką obfitość, i dla tego z placu ustąpić musiemy.— Nadto p wyjściu Najwyższych ukazów, stosunki włościańskie w guberniach rosyjskich regulujących, zdaje się, że wszelkie rozprawy w téj kwestyi są już zbyteczne, bo jak z jednéj strony łatwo przewidzieć co nas czeka, tak z drugiéj trudno nie przyznać, że zasady tych ukazów, tak jak nam je gazety podają, bardzo zdają się godzić obozy, w téj kwestyi na przeciwko

sobie stojące. Podanie więc rąk czy to z przekonania, czy z potrzeby, pokazuje się bliskie i konieczne. Rzecz więc jak p. Wł. G. powiada przedyskutowana. Dogadzamy w tem jego żądaniu i nie dyskutujemy. Bronić się jednakże ze zrobionych zarzutów musimy, bo milczenie wyglądałoby jak przyznanie się do win, z których jednej, jako prawy współobywatel, drugiéj dla zbyt śmiesznéj jéj strony, przyjąć nam na siebie nie podobna.

Dwoma zarzutami obrzucił nas p. Wł. G. Pierwszym że projektujemy przymuszone dziedziców wywłaszczenie; Drugim, że w tym celu dla wszystkich bezwarunkowo w całym kraju, równą po rubli 450 za włukę indemnizacyją, naznaczamy.

Prędzéj spodziewać się mogliśmy pomówienia o stronniczość dla interesu Dziedziców, bo jako *pro domo sua* mówiąc, mogliśmy w ten błąd popaść,—jak żebyśmy byli posądzeni o działanie na ich szkodę. Na tak niesprawiedliwy, nieprzewidziany i niezasłużony zarzut, zbyt dla nas jest trudna, choć w gruncie łatwa odpowiedź, bo tylko proste zaprzeczenie jedynie jest właściwą, ale mniej jakbyśmy chcieli grzeczną obroną. Nie nasza wina że pan Wł. G. nie chciał w nas widzieć obrońcy zagrożonych przez zamierzane oczynszowanie majątków obywatelskich, zatem ich własności, ale nie własności w teoryi tylko, a nie w ostatecznych z niej praktycznych rezultatach uważanéj. Nie nasza wina, że p. Wł. G. nie poznał w nas, oczywiście interesowanego właściciela, a zatem nie mogącego coś tak widocznie własnemu interesowi niby to przeciwnego, bez słusznych powodów doradzać. Nie nasza wina, iż nie chciał oczywiście słyszeć, naszego na samym wstępie uczynionego oświadczenia w wyrazach: „téj kwestyi nie możemy inaczéj uważać tylko za konieczność, któréj jako z materyalnym naszym interesem nie zgodnéj, nie tyle sobie życzyć, jak raczéj uledz jej i pewne ponieść ofiary nam

wypada". — Gdyby z wyrozumieniem na to oświadczenie, i pobłażliwością na jaką czystość naszych chęci i trudność pozycyi wszystkich właścicieli zasługuje, nas sądził, byłby dostrzegł, co nie trudno, że my tylko niejako między dwojgiem złego wybierając, wolimy ponieść ofiarę w prawach naszych pod względem teoryi tych praw, jak utrzymawszy się w teoretycznych zasadach, zginąć majątkowo i dla tego za uwłaszczeniem, się oświadczamy. Byłby nadto i to odgadł, że pisaliśmy pod naciskiem, bo wówczas zdawało się, że władze krajowe nadto spiesznie działać zamyślają, co dopiero póżniéj się odmieniło Nic łatwiejszego jak doradzającego wyzbycie się z własności na korzyść drugiego, obwinić *a priori*, o chęć wydzierania własności. — Ale trzeba taki obraz wynieść na słońce i cienia, w jakim go się umyślnie zatrzymało, a okaże on się inaczéj. Słońcem tem dla nas, są czyste chęci nasze, nadto już obszernie w *Dodatku* listopadowym objawione, abyśmy je tu powtarzać potrzebowali, słońcem tem jest sąd naszych współobywateli, któremu się z zupełną spokojnością poddajemy. Kończąc co do tego zarzutu obronę naszą w sposób; iżby już nikomu nie było wolno nie rozumieć nas dla tego że nie chce, oświadczamy: że nam nigdy nie szło i nie idzie w całej téj kwestyi o pozorne teorye, lecz tylko o rezultat w praktyce.

Co do drugiego zarzutu, niech wybaczy p. Wł. G. ale mimo całéj jak mu się zdaje niższości, naszych od jego pojęć i rozumień, na to jednak sobie u niego nie zasłużyliśmy, by mając nas za umysłowo chorych, odsyłał tam, gdzie za najpierwsze lekarstwo głowy ludziom golą. Kto obywatela wiejskiego, właściciela mniejszéj posiadłości, zatem z powołania rolnika, a takim się wyznaliśmy posądza, że on włukę ziemi, by téż najgorszej, i to bezwarunkowo, ogółowo dla całego kraju na rubli 450 ocenia, ten oczywiście obywatela tego za waryata

ogłasza. — Chcąc zdrowo sądzić o kwestyi włościańskiéj, chcąc nowe uposażenie dla włościan obmyślać, trzeba przedewszystkiem wiedzieć, jak też oni dotąd byli uposażeni. Gdzież to jest taka okolica w kraju naszym, by zagroda trzechdniowéj pieszej w tygodniu pańszczyzny, miała jedną włukę rozległości, a przecież my najwyraźniéj zagrodę a nie włukę na rubli 450 oceniliśmy, z zasady że wiemy miejscowości, gdzie włościanie po złp. 150 czynszu rocznego z zagrody opłacają. Prosimy wziąwszy za zasadę tak jak się praktykuje i jak my przyjęliśmy, rozległość zagrody w gruntach najlepszych morgów 5, w gruntach średnich morgów 7½, a w najgorszych do 10 morgów, prosimy pomnożyć rubli 450 przez 6—4 lub 3, a iloczyn pokaże jak ceniliśmy wartość włuki. Żałujemy iż mimo przypuszczalnéj przez p. Wł. G. u jego przeciwników nieznajomości dodawania, musieliśmy uczyć go z naszéj strony mnożenia, lecz cóż było robić, gdy bronić trzeba się było koniecznie, bo zarzut nosi na sobie pozory gruntowności dla tych, co uwag naszych nad oczynszowaniem i uwłaszczeniem nie czytali. Czyli zaś właściciele ziemscy taksę tę, za ustanowioną na ich szkodę, lub zasłaniającą ich od zupełnéj ruiny majątkowéj uznają, to znowu pod ich sąd oddajemy. Na tem ten spór tak niemiły kończąc, musimy zwrócić uwagę naszych współobywateli na tę okoliczność, jak to głęboko wnikający w nasz interes ludzie, sąd sobie w tym interesie przywłaszczają, z despotycznêm zaprzeczeniem nam prawa, odzywania się w kwestyi, wyłącznie nas tylko a nie kogo innego obchodzącéj. Nie mogąc w żaden sposób bydź powolni takiemu przez nich wydanemu zakazowi, wiemy już na co nas to nasze nieposłuszeństwo naraża. Pewno wliczeni będziemy przez p. Wł. G. do cechu jego szewców, do towarzystwa nieochrzczonych lub ospą zeszpeconych. Mniejsza o to. My pewno naśladownictwem nie powię-

kszymy liczby podobnych krytyków jak p. Wł. G. a jeśli się tacy znajdą, zostawiamy p. Wł. G. w ich miłém towarzystwie i przystępujemy do rzeczy.

Gdy w Numerze 45 *Kroniki* listem piątym zamknął już autor jak wnosimy szereg tych listów, niech nam pozwoli nie stanowiąc się wyrocznią, przeciwko któréj już nic nikomu powiedzieć nie wolno, wyrzec jak my też pojmujemy stanowisko u nas kwestyi włościańskiéj. Nie czekamy na dodatki jakie nam jeszcze p. Wł. G. w liście czwartym obiecuje, w których zamyśla jeszcze rzucić krótki szkic, jakiejś mającéj się w zakreślonych szrankach toczyć kampanii. Nie czekamy dla tego, że jak z jednéj strony całego tego frazesu obietnic dokładnie nie rozumiemy, i nie wiemy czy może list Vty nie był już ich spełnieniem, tak z drugiéj strony, boimy się, by ta jakaś kampania nie była tak długą, iż się nie skończy przed urzędowem rozwiązaniem całéj kwestyi. Niecierpliwość nasza, jeśli to niecierpliwością nazwać można, zdaje się że na usprawiedliwienie zasługiwać powinna, bo ciekawość na nadto długą próbę mogłaby być jeszcze wystawiona. My w naszéj prostocie, bez dalekich wywodów, odpowiedź na pytanie postawione podług nas nadto ogółowo, sądzimy bydź rzeczą bardzo prostą i łatwą. Łatwość ta leży w saméj krótkości odpowiedzi. — Jakież być może u nas inne stanowisko kwestyi włościańskiéj, jak tylko wola Monarchy? Co tu więcéj powiedzieć można? co powiedzieć zda się? Chyba powtórzyć słowa wieszcza naszego: „w tém jedném, jedném tylko słowie, jest cały wyrok.“ W takim stanie rzeczy wszelkie rozumowanie ustaje, i jeśli koniecznie z skutkiem lub bez skutku rozumować się nam zachciało, jeżeli rozumować wolno, to pytanie wypada postawić w ten sposób: Jakie jest u nas w kwestyi włościańskiéj wzajemne stanowisko panów i włościan między sobą? a jakie wspólne ich stanowisko

względem władzy Najwyższéj? Na takie pytanie odpowiedź jest przynajmniéj jako tako możliwa, chociaż bezpośrednio żadnego skutku za sobą nie prowadząca, bo na czémże oprzeć przypuszczenie, że uwzględnienie u władzy znajdzie?

Otóż co do pierwszéj części pytania odpowiadamy, że stanowisko na jakiém się dziś wzajem z włościanami znajdujemy, uważamy za coś anormalnego, coś nieprzepartą koniecznością, z góry czy z dołu, bo tego odgadnąć trudno, wywołanego, za coś co przyszło sztucznie nie naturalnie, a zatem mnóstwo trudności gromadzi i napotyka, które gdyby przejście było naturalnem, albo by się były nie znalazły, albo napotkane same by się były z drogi usuwały. Bodajby było mógło się obejść bez rozpraw wszelkich w téj kwestyi, i bodajby była przyszła ta odmiana tak niepostrzeżenie, jak przyjść była powinna, jak przychodzi wszystko co leży w naturze rzeczy. Lecz kiedy zdaje się było to już w widokach wyższych, przed okiem ludzkiem zakrytych, na inną nas popchnąć drogę, i gdy do owych błogich, a przez dziadów naszych utraconych sposobów, powrócić nam przez siebie samych nie podobna, stąd ratując się jak można, a nawet chociaż nie można, rozprawiamy w téj kwestyi, nie więcéj wprawdzie jak dla wyświecenia jéj potrzeba, ale pewno więcéj jak możemy sobie z tych rozpraw obiecywać skutków. Ostateczny wypadek tych rozpraw doprowadza nas do tego przekonania, że jeśli zmienić dotychczasowy stosunek koniecznie i nagle wypada, to sądzimy że uwłaszczenie jako z jednéj strony będące tem *maximum* jakiego tylko włościanin spodziewać się może, a z drugiéj strony większą od oczynszowania pewność dochodów z własności właścicielom dające, jest środkiem raz na zawsze kwestyą przecinającym, od powtórnych rozpraw, a co gorsza wstrząśnień spółecznych zasłaniającym, i dla tego mu pierwszeństwo nad oczyn-

szowaniem dajemy. Wszystko co byśmy więcéj w téj pierwszéj części postawionego przez nas pytania powiedzieć chcieli, byłoby niepotrzebnem powtarzaniem tego, co się już obszernie w *Dodatku* Listopadowym powiedziało. Przechodzimy więc do części drugiéj.

Przedewszystkiem objaśnić wypada nasz sposób widzenia w téj rzeczy, by czytelnik wiedział z kim ma do czynienia. Co do włościan. My nie możemy ich inaczéj uważać, jak za małoletnich, głosu i zdania nie mających, bo takiemi ich znamy, takiemi są w istocie. — Nie możemy mimo czerniącéj nas opinii fałszywych filantropów, czyści w sumieniu naszem, uważać siebie względem włościan inaczéj, jak za przyrodzonych ich ojców, bo takiemi być pragniemy, takiemi jesteśmy. My nie kto inny jesteśmy, najwierniejszymi tłumaczami potrzeb ludu, jako naturę jego najlepiéj znający. Znajomość tę opieramy, nie jak p. Wł. G. na pewnikach arytmetycznych, nie na naciąganiu praw z kodexu ludowi posługujących, do których on się nie wrobił, bo ich w najprostszem zastósowaniu nie zna, cóż dopiero w analogiczném ich naciąganiu, przez podciągnienie włościan pod nazwę wieczystych dzierżawców, o czem ani wyobrażenia nie mają; — ale opieramy znajomość tę naszą na obeznaniu się z potrzebami tego ludu, którego przez ciągłe z nim pożycie nabyć mogliśmy i nabyliśmy w istocie. Stąd wypływa że gdy co mówimy w interesie własnym, mówimy tem samem i jednocześnie w interesie włościan jako nam wspólnym, i staramy się godzić ich potrzeby i wymogi z naszemi. Na téj podstawie stojąc, z niej się zawiścią zawziętych przeciwników strącić nie pozwalając, do posłuchu publicznéj a sprawiedliwéj opinii, prawo sobie rościmy. Uzuchwaleni mocnem przekonaniem o prawości naszych pobudek, pogardą odpowiadamy na niczem nieusprawiedliwione zarzuty przeciwników, których dość często w pi-

smach nawet publicznych spotykamy, w sprawiedliwość tylko łaskawie panującego nam Monarchy nadzieję pokładając.

Co do Monarchy. Kiedy używamy tych wyrazów „łaskawie nam panującego“ to wyrazy te nie są u nas czczem słowem, mówiąc po prostu, na końcu języka lub pióra dla przyzwoitości lub zwyczaju tylko będącem, ale idą one z przekonania, opartego na jasnych dowodach, jakich nam i Europie początek panowania dostarczył. — Stanowisko więc nasze względem naszego Monarchy na czémże się opiera? Oto na możności zanoszenia próśb w interesie naszym i ludu i przedstawienia Mu potrzeb naszych wspólnych. Chęci i dążności Monarchy, jak są brzemienne w najpiękniejsze dla ludzkości owoce, tak też zupełnie do przekonania naszego trafiają. Idzie o sposób, o możność szczęśliwego ich wykonania. Wiemy iż obowiązkiem naszym jest z zupełnem zaufaniem i posłuszeństwem, z poświęceniem części mienia własnego, toż wykonanie Rządowi ułatwić. Lecz ażeby połączone chęci mogły zrodzić pożądane owoce, pierwszym warunkiem jest obiór stósownéj chwili. Czyli chwila dzisiejsza jest stósowna? i coby było może do zrobienia pierwéj, niżeli się do dzieła przystąpi? jest to zapytanie, na które odpowiedź dana, jeżeli jakie takie wrażenie uczyni, wrażenie to będzie usprawiedliwieniem przekonania naszego o stanowisku, w jakiem w kwestyi włościańskiéj lud i my względem władzy Najwyższéj stoimy.

Nie możemy chcąc działać uczciwie zataić tego przekonania że lud nasz do przyjęcia tak wielkiego dobrodziejstwa jakiem jest usamowolnienie, nie jest jeszcze usposobiony; i że brak tego usposobienia może spaczyć wszystkie, by też najdzielniejsze ku temu przedsięwzięte środki. Ludowi temu brakuje najpierwszéj szczęścia wspólnego podstawy, zaufania do swoich panów. Czem

się to stało lub dzieje, ani czas, ani miejsce, ani potrzeba rozbierać. Bierzemy fakt, a ten na nieszczęście jest taki a nie inny. — Brakuje również temu ludowi nauki gruntownéj, to jest nie tylko téj, której początkiem jest nauka czytania i pisania, dotąd ludowi naszemu obce, ale nauki moralnéj, wydelikatnienia uczuć, wyswobodzenia z małoletności, w któréj dzisiaj zostając, jest tylko massą nieokrzesaną, dobra własnego nie rozumiejącą i z wielką trudnością ku niemu prowadzić się dającą. Wiemy naprzód, jak zdanie to oburzy przeciwników naszych, tych mniemanych filantropów, co obfici w pieszczotliwe słówka, na tem dowody przywiązania swego do ludu kończą, że inaczéj o nim nie mówią, tylko: „chłopek nasz polski kochany“ „chłopek poczciwy a biedny“ i tym podobnie. Krótko się z temi panami rozprawiając, pytamy i prosimy, niech nam pokażą u tego tak przez nich zidealizowanego chłopka, jaki ślad pojęcia dobra ogólnego. Czy on co kiedy dla tego dobra zrobił lub robi? Czy przeciwnie nie jest on jeśli nie zawziętym, to leniwym i obojętnym tegoż dobra i porządku nieprzyjacielem? Utrzymać w całości z roku na rok płot lub wąkop, jego i sąsiada pola od szkody ochraniający; utrzymać w stanie dogodnego przejazdu drogę, od jednéj wsi do drugiéj, nie zniszczyć posadzonego drzewka, lub zasadzić dla użytku następców; nie spalić poręczy u mostu, lub nawet dyla z mostu, nie wyjąć ukradkiem; nie zrobić szkody w polu pańskiem i sąsiada, lub widząc że się szkoda dzieje, takowéj zapobiedz; wszystko to dla chłopa naszego są rzeczy uciążliwe, niepojęte i niezrozumiałe jako obowiązek. Zamykając ten tak smutny, a na nieszczęście bardzo rzetelny, obraz ludu naszego, trudno przemilczeć że nawet ten stan nędzy jaki się powierzchownie w jego mieszkaniach, odzieży i wyżywieniu się przedstawia, nie jest w istocie nędzą, jak raczéj niechęcią i niepoczuciem

przyjemności lepszego tych pierwszych potrzeb zaspokojenia, i że życzyć by należało dla dobra ludu, by pewien rodzaj że tak powimy uczciwego zbytku, mógł się do jego zwyczajów wcisnąć. Żeśmy w tym smutnym obrazie nic nie przesadzili, odwołujemy się do bezstronnych znawców natury ludu naszego, a z tych małych dorywczo tu przytoczonych przykładów jakżeż wnosić, o m oralnem wykształceniu tych, którzy mają raptem przejść w stan niezawisłości, przez jakąkolwiek zmianę istniejącego dotąd stósunku. — Cóż dopiero mówić o innych złych nałogach i wadach tego ludu, o których zamilczamy, raz dla tego że nadto są wiadome, powtóre by nas nie pomówiono o chęć czernienia tych prawdziwie biednych istot, bo niewinnych temu, że dotąd ze stanu pierwotnéj nieogłady jeszcze nie wyszły.

Lecz cóż jest do zrobienia, aby lud ten w istocie biedny, z téj biedy wyprowadzić, poznania własnego dobra nauczyć i do przyjęcia wielkiego dobrodziejstwa usamowolnienia usposobić? Jakimże środkiem działaćby na niego najskuteczniéj można? Jest jedna silna, boleśno wyznać, przez tych którzy najwięcéj strzedz jéj byli obowiązani, bardzo zaniedbana, i cudem tylko Opatrzności w sercu ludu uchowana sprężyna. Sprężyną tą jest święta wiara nasza tak mało i nie starannie w sercach uprawiana, a przecie tak silnie zakorzeniona, że jeszcze wszystkiego za jéj pomocą, z tą prostą, szczerą i otwartą naturą ludu naszego, dokazać można. Niech się to nie zdaje od rzeczy, albo rzeczą za daleko od téj kwestyi leżącą; ale jeżeli Rząd chce, nowy porządek uczynić stałym i szczęście pokoleń zapewniającym, trzeba pierwéj lud ten, przez dobrych i gorliwych kapłanów do tego przysposobić. Na jakiéj drodze pozyskać można tych prawdziwych nauczycieli dla ludu, to wychodzi za zakres tego pisma. Ufajmy dobrym chęciom Monarchy, że w porozumieniu się z Głową kościoła, tę

drogę przedsięweźmie, i tak wielkiego dobrodziejstwa ludowi przysporzyć raczy. Tu bowiem jest początek prawdziwego postępu, tu jest zawiązek tego szczęścia, którego napróżno wyglądać będziemy czy od oczynszowania, czy od uwłaszczenia, bez kardynalnéj poprawy ludu. Powiedzą nam zapewne gorliwi reformatorowie, że to droga za długa. Nie przeczymy że lat wiele na to potrzeba, ale pytamy co tak znowu pilnego? Niech tylko niepodpalają ci panowie, a nie ma jeszcze gwałtu! gore!... Pytamy co lepiéj, czy się trochę zatrzymać ze szczepieniem drzewa by wyrzucić leżące w spodzie zimne kamienie, a dobry grunt podłożyć; czy tu na złym gruncie wszczepiwszy, doczekać się karła i kwaśnego z niego owocu.

Drugim środkiem na poprawę ludu skutecznie działać mogącym jest zaprowadzenie szkółek wiejskich przynajmniéj po parafialnych wsiach, jeżli nie w każdéj,— nakazanie pod karą pieniężną przymusowego posełania dzieci, i obsadzenie stósownemi, to jest elementarnie tylko usposobiającemi nauczycielami, pod dyrekcyą proboszczów zostającemi. — Dziś bowiem albo żadnych po wsiach szkołek nie mamy, albo jeśli są gdzie nie gdzie, to dzieci w nich mało, bo rodzice nie chętni posyłać nie chcą. Nauczyciele zaś podobnie jak w szkołach miejskich, więcéj złych jak dobrych zasad krzewią przez to iż sami nie kompetentnie są wykształceni, co ich wyprowadza za zakres instytucyi, przeznaczonéj lud do przyjęcia nauki, na drodze pism ku temu przeznaczonych pod kierunkiem religijnym przyspasabiać; nie zaś jak się dziś dzieje, karmić lud ten owocami nie dojrzałemi zasad w głowach takich półmędrków jak nauczyciele miejscy, wylęgłych.

W obec takiego wpływu ludzi w najbliższem zetknięciu z ludem będących i przy zupełnéj tegoż ludu ciemnocie, na cóż się przydadzą szlachetne usiłowania osób

tak pięknych samą myślą jak autorka *Czytelni Niedzielnéj*? W istocie czytając to pismo, tak pełne w innych warunkach, pożytecznych dla prostego ludu nauk, trudno nie zaboleć nad niestósownością czasu, w jakim do nas przychodzi. — Któż dzisiaj z niego korzysta, gdy ci dla których pisane czytać nie umieją? — Czy zaś w danéj chwili, to jest po upowszechnieniu nie tylko nauki czytania i pisania, ale po obudzeniu zamiłowania w czytaniu, znajdzie się w kim tyle poświęcenia, tyle rozumu umiejącego się zniżyć do ludu? Wdzięczność myślących ludzi w kraju, zawsze uwiekopomni pamięć dobrych chęci Autorki, ale jéj szlachetne serce, pewno skutku usiłowań w nagrodę jedynie pragnie, a skutek ten jakżeż dotąd wątpliwy, prawdę mówiąc: żaden.

Srodkiem trzecim jest zmniejszenie opłat szkolnych i ułatwienie tym sposobem ogółowi mieszkańców kraju bez różnicy urodzenia, możności pobierania nauk. Opłaty te dziś są tak wielkie, że nie rzadko się znajdzie dzierżawca a czasami i dziedzic, a zwykle oficyaliści prywatni są w tem położeniu, że dzieci posyłać do szkół nie są w stanie. Nauki także po szkołach powinny by być praktyczniéj jak są dzisiaj wykładane. Dziś bowiem nie rzadko znaleść u nas można młodzieńca, który skończywszy sześć klas w szkołach publicznych, listu prostego w języku polskim napisać nie umie; a to nie tylko dla braku stylu, ale logicznego rozwinięcia i uporządkowania najprostszych wyobrażeń. Cóż mówić o wiadomościach historycznych, jeograficznych i innych, więcéj jak przygnębiająca umysł statystyka potrzebnych, a których brak na nieszczęście powszechnie spotykać się daje u tych, którzy ich z domu rodzicielskiego do szkół nie wynieśli. Nie dotykamy już strony moralnéj, opartéj na przykładach z zewnątrz przychodzących, których na nieszczęście po miastach naszych dużo więcéj jest złych jak dobrych, a młodzież szkolna nie jest dość

bacznie od złego wpływu strzeżona. To by nas za daleko zaprowadziło, a nadto wiemy, że tę stronę, czas tylko i obudzony zapał do nauk w uczniach i nauczycielach, uleczyć potrafi. Są u nas nauczyciele rzemieślnicy, nie ma nauczycieli z powołania, kochających nauki i młodzież.

Środkiem czwartym jest konieczne ściganie przez policyą krajową, wszelkiemi możliwemi sposobami pokątnych doradców, pisarzów próżb i skarg, których się po miasteczkach naszych namnożyło. Zaraza ta tak się zagęściła, tak władze krajowe mało nad jéj wytępieniem czuwają, że poczęta zrazu między próżniakami, niezdolnemi się pomieścić w biórach rządowych, lub z nich wypędzonemi, już dzisiaj krzewi się pomiędzy kancelistami i mniejszemi urzędnikami biór powiatowych i sądów okręgowych, upatrującemi na téj drodze środek powiększania szczupłych swych dochodów, w stosunku do dużych, w chęci wyrównania zagnieżdżonemu zbytkowi wydatków. — Moglibyśmy przytoczyć wypadki, jak ludzie téj niegodnéj kasty, łapią po ulicach miasteczek, chłopów przychodzących bez najmniejszéj myśli skarżenia się o cokolwiek, i namawiają ich, do podawania skarg, zawsze za wyłudzeniem od nich datku pieniężnego, z kwoty przeznaczonéj niekiedy i najczęściéj na zaspokojenie codziennych potrzeb życia.

Dopóki nauka czytania i pisania upowszechnioną nie będzie, bydź może że włościanin podobnéj pomocy niekiedy potrzebuje, ale powinnyby władze surowo dochodzić i karać podżegaczy nienawiści do panów, ile razy się pokaże, że bez słusznego powodu, jedynie dla wyłudzenia datku od tych biedaków odjętego, zarzucają władzę niepotrzebnemi korespondencyami. — Sposób na to jest, nakazać by piszący skargę od pisać nieumiejącego, podpisywał i swoje nazwisko i by był pod ścisłą policyi miejscowéj kontrolą, co do swego zamieszkania

sposobu prowadzenia się. Jak zaś lud nasz dojdzie do tego błogiego stanu, że umiejąc sam pisać i czytać, nie będzie w t m już niczyjéj potrzebował pomocy, natenczas jak najsurowsze środki policyjne, tę kastę pokątnych doradców rozpędzić powinny.

Środkiem piątym jest wydanie dokładnych oddzielnych instrukcyj, o atrybucyach władzy wójtów gmin we względzie policyjnym, i władzy panów, we względzie karności domowéj. Przepisy te są dzisiaj tak rozrzucone po Dziennikach Praw i Dziennikach Gubernialnych, że nikt z posiadaczy ziemskich, jasnego pojęcia o nich mieć nie może; a każdy podsędek dowolnie je tłómaczy i aplikuje, jak mu tego potrzeba dla dogodzenia stronie, która umiała sobie jego przychylność pozyskać. Taki stan niepewności co do praw i obowiązków wzajemnych, obałamuca umysły ludu, osłabia powagę władzy miejscowéj, i oddaje właścicieli którzy są razem wójtami gminy jeżli nie z jednego to z drugiego tytułu, na pastwę dowolności podsędków, i sądów okręgowych wśród których nie wiedzieć z jakiego powodu, jednakże zasady demagogiczne i nieoddzielna od nich demoralizacya, najmocniéj się zakorzeniły i najbujniejsze też wydają owoce. Moglibyśmy znowu przytoczyć wypadki, że w jednéj i téj saméj sprawie, pomiędzy chłopem a panem czy wójtem gminy, obiedwie strony miały racyą, i obiedwie ukarane zostały, z tą różnicą że jedna na drodze sądowéj a druga na drodze administracyjnéj. Łatwiejsze i liczniejsze jeszcze byłyby do przywiedzenia wypadki, uniewinnienia ciężko obwinionych dla braku dowodów, a nadto surowego ukarania mniéj winnych.

Niektóre z tych tu pobieżnie przytoczonych, z pominięciem dużo bardzo jeszcze licznych środków, na poprawę ludu wpłynąć mogących i do wprowadzenia koniecznych, przeszły przez myśl p. Wł. G. ale jeszcze

pobieżniéj ich tylko dotknął, i o nie się jedynie wprost do właścicieli odwołał, jak gdyby to było wyłącznie w ich mocy. My sądzimy i zdaje nam się z zupełną słusznością, że środki te, są zupełnie tylko w ręku władzy krajowéj, i dla tego konkludujemy: że stanowisko nasze względem téj władzy, tylko na możności przedstawiania potrzeb kraju się opiera i gruntuje.

Dzisiejsze Monarchy panowanie, przyniosło już krajowi wiele znakomitych dobrodziejstw, które kraj cały przyjmuje z wdzięcznością. — Do tych zaliczają się: Nominacye nowych pasterzy do Dyecezyj; ułatwienia pasz portowe; wstrzymanie poboru rekruta, którego i poprzednich skutki, już się bardzo błogo uczuwać dają; utworzenie Akademii Medyczny. — Obyśmy tylko i innych wydziałów naukowych, równie jak medycyna, a więcej jeszcze krajowi potrzebnych utworzenie, oraz obsadzenie reszty osierociałych jeszcze Stolic Biskupich jak najprędzej pozyskać mogli. — Świerzo udzielone pozwolenie zawiązania się Towarzystwa Rolniczego, zawdzięczamy także, przychylnym Monarchy dla kraju zamiarom. — Zapał z jakim kraj przyjął to ostatnie dobrodziejstwo najlepszym jest dowodem, jak tego potrzebował. — Mamy nie płonne nadzieje, że nie zawiedziemy zaufania Monarchy, i że przez rozwoj działań naszych, mających na głównym celu dobro kraju, nabędziemy większego jeszcze prawa do tego zaufania. — To przekonanie daje nam otuchę, iż na tej drodze obudzone życie obywatelskie, wiele dobrego zrobić z czasem dla kraju potrafi. Z nader miłem i nad wszelki wyraz wdzięcznem uczuciem wyznajemy, że przy tak jawnych dowodach łaski Monarszéj widzimy szczęśliwszą dla kraju wschodzącą jutrzenkę. Lecz gdy jeszcze o tak wiele prosić Go mamy, jakżeż niepokojącą dobrego obywatela jest myśl, czy kraj potrafi dojść do tego zaufania, iżby stanowisko to jego względem monarchy, dziś prawie

żadne, nabrało kiedyś istotnego życia, to jest iżby mu było wolno prosić, iżby mógł mieć jakiś organ do tych próśb, jakie pragnąłby w potrzebach swoich, Władcy w tak wielkiéj Monarchii nie zawsze wiadomych i dotąd tylko przez N. Pana szczęśliwie przewidywanych do Tronu Jego zanosić.

W miarę jak szczodra ręka Monarsza będzie się dla kraju co raz to więcéj otwierać, w miarę jak przemiana i przysposobienie ludu powoli postępować będzie, może i powinno jednocześnie, na zasadach umów dobrowolnych ,odbywać się zniesienie pańszczyzny, ba nawet ona sama z siebie ustawać będzie, nie jako upadlający środek, bo żaden rodzaj wypłaty słusznéj należytości upadlającym nie jest; ale będzie to wynikiem stosunków naturalnie się w inne kształty przeobrażających.— W ten czas przekonamy się, równie statystycznie jak dziś robi p. Wł. G. czyli usposobiony do posiadania własności włościanin, będzie wolał bydź czynszownikiem, czy właścicielem. W tenczas tryumf zasady naszéj, przy któréj ciągle obstajemy, to jest uwłaszczenia włościan, będzie, pewni tego jesteśmy, zupełny.

Daj Boże dożyć téj błogiéj chwili, byśmy ujrzeli lud nasz poczciwy z nicości wyprowadzony, serca jego nie skażone, ufność i przychylność odzyskaną, iżbyśmy za te wielkie dobrodziejstwa chwaląc przedewszystkiem Najwyższego Rozdawnika wszelkiego dobra, zapisali z wdzięcznością naszą i ludu naszego, kartę historyi panowania Monarchy, którego berłu to dzieło zawdzięczać będziemy.

Pisałem w Polsce w zakątku moim na Powiślu, przy końcu miesiąca Lutego 1858.

Onufry Sulima.

# ZAPISKI ORNITOLOGICZNE.

## V.

## O JASKÓŁKACH.

Zaiste nie myślałem pisząc pierwsze zapiski ornitologiczne, że je ogół przyjmie życzliwie, że się mną zająć raczą pisma publiczne, że nareszcie usłyszę niejeden głos wzywający mnie do udzielania mych spostrzeżeń ze świątu przyrody. Wiem ja dobrze, że to nie nadgroda méj pracy, ani też mej nauki, lecz zachęta do dalszych badań; pobłażanie dla tego który zna swoją nicość w obec przyrod , a który badając ustawicznie życie jéj mieszkańców, zapisuje co spostrzeże, a gdy socha i rola czasu mu wolnego zostawią, pisze do druku. Ja do pobłażającego kolegi z tem przekonaniem śmiało pisałem pierwsze artykuły, lecz później nieśmiałość owładnęła me pióro i konotatki głęboko w szufladę schowałem. — Byłbym już więcéj nie żywił *Doda-*

*tku*, gdyby nie przypadek który mi jedno z poważnych naszych czasopism do ręki wtrącił w którym wyczytałem z niemałem zadziwieniem następujące słowa: „Zapiski ornitologiczne stylem i treścią zajmującą się odznaczają, gdyby autor przedsięwziął historyę naturalną kraju, dzieło to by pewnie więcéj pokupu znalazło i więcéj zajęcia wzbudziło jak wszystkie romanse.“ Ten głos podchlebny miałbyż być prawdą? Temu nie uwierzę i wolę pozostać w przekonaniu, że to nowy bodziec dla szlachcica co czasem pióro głębiéj zamacza jak do zapisywania w regestrach, lecz pisać będę dopóki w tomach *Dodatku* rozcinać będą stronnice zapisków ornitologicznych, bo trzeba wiedzieć, że to było marzeniem méj młodości, *uczyć-bawiąc*, a gdy natrafię tu i owdzie na nierozcięte kartki, zrozumiem że już dosyć historyi naturalnéj.

Po rozumnym bocianie czyż mogę o czem inszym pisać jak o jaskółce téj zwiastunce wiosny, lubéj, miłéj a tak nas kochającéj ptaszynie, która bez człowieka żyć nie może i ustawicznie go odwiedza mimo doznanych dowodów okrucieństwa, pod pozorem żartów, wprawy do strzelania zręcznego i czystości. Tłumu unika, bo tłum nie towarzystwo; zgiełku unika a garnie się do mieszkania spokojnych pracowitych rodzin. Gdzie tylko człowiek osiadł czy na umiarkowanéj północy lub południu, czy na wschodzie i zachodzie wszędzie mu śpiewa latem jaskółka, wszędzie go bawi swą powietrzną gymnastyką, a gdy w jesieni zacznie się w stada gromadzić, każdemu zimno a w duszy smutno, bo świat bez igrających jaskółek zaiste martwy obraz przedstawia. — Jaskółka to nasza lokatorka, pod strzechą jak pod gątem, w kominie i przysionku, w stajni w owczarni wszędzie jéj pełno; wdzięczni jéj być powinniśmy bo bez téj dobroczynnéj ptaszyny nikt by przed miriadami owadów nie wytrzymał, wypłaca ona sowicie czynsz

za mieszkanie. Ściele gniazdo że je ręką dostać można, powierza nam pisklęta, do nas się garnie, nuci nam miłosne śpiewki, bawi nas swym lotem a nikomu się nie-naprzykrzy, dla tego wszyscy ludzie z czuciem ją pokochali serdecznie i na zawsze, ona zdobyła nasze serca i wszystkich wieszczów, od Wirgiliusza do najnowszych poetów każdy ją zauważał, każdy ją śpiewał, każdy jéj miał słów kilka życzliwych powiedzieć, jaskółka z całéj przyrody jedna, niezna nieprzyjaciół, uciekłszy pod skrzydła króla przyrody człowieka, ufa jemu i nieprzypuszcza że może posunąć niewdzięczność do płacenia okrucieństwem za dobrodziejstwa. Zostawmy jéj to przekonanie, może się człowiek poprawi, a my kochajmy ten typ lotnego żyjątka, bo ona nas kocha, bo ona nas broni od nieznośnych komarów, niecierpliwiących much i innych szkodliwych owadów, bó nareszcie my naród gościnności a ona bezbronna nam się oddała.

Gdy św. Franciszek Saleziusz kazał przed kościołem tak głośno szczebiotały na gzymsie siedzące jaskółki, że słowa mowcy zagłuszały: odezwał się kapłan: *Ciszéj siostry Jąskółki, pozwólcie aby mnie słyszano.* Gdy to przeczytałem, ucieszyło mnie to słowo słodyczy, bo istotnie one niemal do naszych rodzin należą, poeci zowią je przyjaciołkami lub towarzyszkami, wszystkim zatem miłe te ptaszyny; więc się nie dziwcie, że ja ich życie wam opiszę, opiszę dobrodziejstwa jakie nam świadczą, ich czułość, pożycie małżeńskie i towarzyskość która przykładem być może dla ludzkości. Gdyż zgoda i wzajemna pomoc w tém liczném towarzystwie zawsze panuje, rodziny kupą się trzymają, młodsi bracia i siostry starszemi się opiekują, władze i starszeństwo szanowane, posłuszeństwo zapewnione w ważnych wypadkach, pożycie małżeńskie nader przykładne, dla tego im też Bóg błogosławi, rozmnażają się i *posiadąją nieograniczoną wolność.*

Jaskółki są od najdawniejszych czasów szanowane, u niektórych narodów dawniéj do zabobonu, u ludu miejskiego w całéj Słowiańszczyźnie otaczane opieką, bo przekonanie rozpowszechnione że szczęście chacie przynoszą i od ognia bronią; u Rzymian były pod opieką bogów domowych (Penatów) i wierzono (czego mamy dokładne opisy w dziele Arystotelesa) że gdzie w domu prześladowano jaskółki, tam one przez zemstę leciały do stajen i dzióbały wymienia krów które mleko traciły. Jest to zabawny zabobon, lecz pożyteczny. Jaskółka mściwą być nie może, bo tam gdzie napotykamy czułość i poświęcenie, tam ohydna zemsta zajrzeć nie potrafi! Człowiek więc przyjął jaskółki za swe towarzyszki, raduje się gdy nadlatując wiosnę nam zwiastują, patrzy na nie z wdzięcznością, gdy krocie owadów dokuczliwych same pożerają lub pisklętom donoszą. Są przecież smutne wyjątki pochodzące z lekkomyślności, pustoty i swawoli! Są ludzie a szczególniéj jest dużo młodzieży, co dla wprawy w strzelaniu obierają sobie za cel ruchliwe jaskółki, a te biedne niewiniątka, dufne w swe pożyteczne życie, pomne na pożytek jaki człowiekowi przynoszą, z tym ich do niego przywiązaniem, zamiast z popłochem uciekać, jedne drugich wołają na tę im nieznaną burzę z grzmotem i piorunami, z żałośnem zadziwieniem patrzą na kr awiące ofiary; a wołają ustawicznie: *divit civit* (co to znaczy!) i coraz ich więcéj się gromadzi, a lekkomyślny człowiek nie pomny na szkody jakie sobie sam sprowadza pomnożeniem miliardów nieznośnych owadów, śmieszny w swéj zręczności, okrutny w swéj zabawie, strzela daléj ciesząc się że mu coraz więcéj jaskółek nadlatuje! W południowéj Francyi w neapolitańskiem, pod Hallą i Magdeburgiem, łapią na wędki i w sieci biedne jaskółczęta, które służyć mają za ortolany lub skowronki, — mieszna to chciwość ludzi, gdyż jaskółka bez pierza,

skrzydeł i ogona ma ledwie wielkość orzecha włoskiego [1]). W przyrodzie mają jednego srogiego nieprzyjaciela w Sokole Kobuzie (*Falco subbuteo*) który mimo ich zręczności w locie często je łapie; dopóki ma skowronki, na jaskółki się nie kwapi, lecz jak nasze polne śpiewaki w podrastającem zbożu znajdują bezpieczne schronienie, a młode sokolątka w gnieździe o żer się upominają, wtedy kobuz prześladuje jaskółki. Jeżeli się nieprzyjaciel niespodzianie zbliżyć potrafi, wtedy za pierwszem lub drugiem uderzeniem porwie ją, gdy mu się to nie uda wtedy jaskółka szyje powietrze lotem strzały i manewruje między drzewami, gałęziami i budynkami męcząc napastnika, a ustawicznie woła: *cier cier*, niebawem na ten apel zlatują się wszystkie towarzyszki z jaskółczego osiedla i wszystkie krzycząc *cier cier* głuszą kobuza, a ten widząc, że to już poniżająca walka, jak niepyszny odlatuje, jaskółki głośno zawabią: *weide wod*, *weide wod*, świergoczącym tonem co jest w nich zawsze znakiem wielkiego zadowolnienia i tryumfu.

---

[1]) Francuzi z południowéj części ich kraju i Neapolitańczycy obrzydliwi są swą żarłocznością, a dla braku ptastwa chciwi każdéj ptaszyny i pod nazwą *Bec-figne* (co obejmuje rzeczywiście dwa rodzaje ptaków *Anthus* świergotek i *Saxicola* Podkamionka) pożera wszystkie owadożerne drobne ptaszyny, zdaje mi się że z jaja by wygryzał zarodki gdyby się w nich ptaki te gnieździły licznie. Gdy przez ciekawość dowiedzieć się chciałem, co rozumieją pod nazwą pełną nieporozumienia *Bec-figne*, odpowiedzieli mi ptasznicy i handlarze zwierzyną, że wszystkie drobne a tłuste owadożerne ptaki udawać muszą *Bec-figne*, i tak Pokrzywki (*Sylviae*) Rudopióra (*Ruticillae*) Pliszki (*Motacillae*) często i wróble, trznadle i jaskółki obskubane tym żarłokom szkodliwym, podane są za przysmaczki. A gdy handlarzowi znajomemu mówiłem, że po dzióbie przecie każdy pozna, odpowiedział mi: „a ktoby im nastarczył *Bec-figne*, tu o to chodzi aby Francuz mógł naraz włożyć do ust tłustego ptaszka, to on niezapyta o gatunek“.

Gdy zaś zgłodniała parka kobuzów uweźmie się w czystem polu na jaskółkę, prawie zawsze biedaczka zginie, lecz ta walka dla widza jest tak zajmującą, że oka oderwać nie można. Najzręczniejsi latawce ze wszystkich lotnych żyjątek natężają wszelkie siły aby tu złowić a tam uciec, szybkość ruchów niedoobliczenia, gracya lotu niedoopisania, patrząc długo na podobną walkę można dostać zawrotu głowy, a gdy nareszcie drapieżny ptak porwie niewinną ofiarę, tak w duszy smętno jak po utracie sympatycznego stworzenia.

Gdybym miał tworzyć nowy systemat podziału ptaków, na czele całéj gromady postawiłbym jaskółkę, bo cóż charakteryzuje ptaka? *śpiew*, *lot i pierze.* — Jaskółki śpiew to wprawdzie tylko miłe harmonijne szczebiotanie, lecz pełne wyrazu i uczucia. Słowiki, drozdy i pokrzywki to śpiewaki z rzemiosła, jaskółka to śpiewaczka bawiąca romansami kółka rodzinne i przyjaciół, zawsze wesoło zanuci, rano nas do wstawania śpiewem budzi (bo ona pierwsza z ptaków Bogu hymn wdzięczności śpiewa) nigdy smętnym i melancholicznym akordem nie zachmurzy naszej duszy, nigdy hałaśliwemi nutami ucha nie zniecierpliwi, zawsze miła swobodna, czysta i kochająca. Weźmy ją do ręki, całe swe jestestwo zjednoczyła w skrzydłach długich i wyciętych w kształcie kosy, i w długim wyciętym ogonie służącym za ster na oceanie powietrza po którym pływa; szyi prawie niema aby potroić siłę lotu, nogi dodane jak dla uzupełnienia jéj kształtu, lecz nie dla pożytku [2]), bo ona prawie nie siada, żywi się w powietrzu, kąpie się latając, w locie żywi pisklęta, skrzydłami odbywa podróże niepojętéj odległości w głąb Afryki, powietrze jest jéj żywiołem jak woda żywiołem ryb. Patrzmy na nią jak koło toczy w powietrzu, a przypo-

[2]) Grecy nazwali je słusznie beznożnemi *a pode*.

mni nam zręcznie łyżwującego młodzieńca; który ptak może takie toczyć koła, te zmniejszać i powiększać do woli, w największym impecie stanąć w powietrzu i trzepotać na miejscu jak dla wypoczynku, lub chuśtać się nad wodą chwile długie, to maczając brzuszek, to ogon i skrzydełka, to znowu rzucić się za komarem kaprysnego lotu lub za muchą brzęczącą co ją w locie oko nie doścignie? Powiedźcież sami pełni pobłażania czytelnicy, czy nie myślicie że jaskółka co każdy owad w powietrzu uchwycić zdoła, która w śród burzy i wichrów kołysze się pod chmurami jako okręt na kotwicy, a przytem pięć miesięcy nam nuci swe śpiewki, uwalnia nas od dokuczliwych owadów, przestrzega od słoty i zimna, zwiastuje tyle zawsze oczekiwaną wiosnę — cóż dopiero zważając na jéj cnoty społeczne i rodzinne, na jej organizacyą ciekawą, na jej rozum, czułość i pieszczotliwe usposobienie, powiedzcież sami czy nie ona ma przewodniczyć gromadzie ptaków? Kto pozna jaskółkę zgłębiwszy jéj życie, zbadawszy skryte zwyczaje i przekona się o téj wesołości bez swawoli, o czułości bez nerwowéj excytacyi, — o wierności małżeńskiéj bez pętów przymusu o poświęceniu się dla drugich i dla dzieci o tem uregulowanem życiu, kto na nią patrzy przy gnieździe i pisklętach, w niebezpieczeństwie lub przed podróżą, ten powie: to przeistoczenie miłéj słodkiéj, czułéj a rozumnéj dziewicy! Jeżeli Bóg po śmierci karze duszę pokutujące wędrówką i przeistoczeniem, to w jaskółkach same dusze niewinnych dziewcząt pokutują. Gdy w dniu mglistym przy zachmurzonem niebie, ku zachodowi słońca, badacz w smęt em usposobieniu stanie nad jeziorem i duma, co za dziwne wrażenie robią te czarne ptaszęta kręcące się nad zwierciadłem wody wołające jak o pomoc, szybkie i zwinne jak motylki, czasem jedna popędzi daleko, zawoła towarzyszkę i znowu wraca kręcąc się i kołując, to znowu przeleci tak blisko twa-

rzy że niemal skrzydłem ruszy i wiatr pochodzący z szybkości lotu, podniesie włosy człowieka, znowu i znowu latają i kołyszą się piszcząc; już niedoperze nadlatują, słonko za pagórkiem się skryło, a one jak gdyby dziennéj pokuty dokończyć musiały latają ustawicznie, aż nareszcie starsze zawołają *już na dziś dosyć* i wszystkie te duszyczki rozlatują się, cicho pozdrowiwszy się wzajemnie dwoma tylko nutami, bo każdy dzień ma swoje biedy i zakończyć się musi!

Nim wam życie jaskółek opiszę, muszę was obeznać z gatunkami, bo posądzam że ich nie znacie; jeżeli się mylę — to wybaczcie, ja treściwie je odrysuję, bo broń mnie Boże, abym Wam zadawał naukę łyżeczką jak lekarstwo; ja Was chcę rozerwać a spamiętacie co, pokochacie ptaszęta me lube, o to ja będę sowicie wynagrodzonym. — Nie myślcie że te długo-skrzydlne czarne ptaki co ustawicznie okrążają kościoły, i wieże, że to jaskółki. O nie, to żałobne Jerzyki (*Cypsellus*) smutne, ciemne i żałobne ptaki przypominające na dole pod niemi chodzące sutany, to towarzysze śmierci i pogrzebów; ustawicznie piszczące przeraźliwie, niezgodne, w ciągłym ruchu, mieszkające w ruderach, basztach, więzieniach i klasztorach, to toż pokutujące ptaki, lecz za cięższe grzechy bo ich pokuta sroższa; — o! to nie jaskółki, tych niegodnych hałaśliwych jerzyków ja wcale nie pragnę, abyście kochali, opis ich życia czytali i pod Waszą opiekę wzięli, oni na to niezasługują.

Jaskółek mamy w Polsce całéj trzy gatunki [3]):

---

[3]) Niemam dotąd żadnych dowodów, że Jaskółka skalna *Hir. rupestris vel montana* Lath. w naszym kraju się znajduje, w tym celu w Tatrzańskich skałach i Karpatach kamienistych stanisławowskiego i kołomejskiego Cyrkułu badałem ściśle okolice i tego gatunku nigdy nieodkryłem, wątpię zatem bardzo, żeby się gdziein-

## 1. Jaskółka dymówka Kluk. (Hirundo rustica Linn):

Płaszcz czarny z połyskiem granatowym, czoło i gardziel rdzawy otoczone przepaską koloru płaszcza, czoło równie rdzawe, brzuch i podogonie białe, ogon czarny na każdéj sterówce biała plamka, skrajne przedłużone o trzy cale i szpiczaste (długość wielka ogona dowodzi doskonałość ptaka) stanowią mocno widłowaty ogon, długości 6 do 7". U starych ptaków na bieli pierza spodniego jest cień rdzawy zbliska tylko widziany, a prześlicznego koloru, u doskonałych samców znaczniejszy, samiec od samicy nie wiele się różni i to li w pewnych drobnych odcieniach. Mieszka w całéj Europie posuwa się pojedynczo do Islandyi, w północnéj Szwecyi i Norwegii pospolita, ku końcu sierpnia gromadzą się rodzeństwa, zbierają się rodziny, nareszcie zbierają się w hurmy wszystkie jaskółki jednego osiedla, lecą na zbiorowe miejsca, tam się ich ilość powiększa do niezliczonych liczb i w połowie miesiąca września opuszczają nasz kraj, aby lecieć w głąb Afryki, a w połowie lub ku końcu kwietnia wracają do nas, zwiastując wiosnę.

## 2. Jaskółka oknówka Jundz. (Hirundo urbica Linn):

Płaszcz jak u poprzedzającéj, spód cały i nadogonie śnieżnéj białości mniejsza od dymówki, nogi skąpo białym mchem pierzastym okryte, późniéj do nas przybywa a razem odlatują; między samcem a samicą niema

---

dziéj gnieździła, kiedy w tych dogodnych miejscowościach jéj nie było, a zatem tylko przypadkowo, wiatrem zapędzona może się czasem u nas zjawić.

prawie różnicy. Nazwana oknówką bo najczęściéj lepi gniazdo nad oknami, kiedy poprzedniczka w chatach dymnych i po kominach swoje kleci. Ogon mniej widłowaty, końcówki lotek go nakrywają.

## 3. Jaskółka brzegówka Kluk, (Hirundo riparia Linn):

Płaszcz szaro brunatny, tego koloru przepaska na piersiach, gardziel i brzuch białe, jeszcze mniejsza od poprzedzających i widłowatość ogona mniéj znaczna, przylatuje w téj porze co oknówka i jest równie szeroko rozpowszechnioną, gnieździ się w norach spadzistych brzegów gliniastych; samiec ma to samo ubarwienie co samica.

Wszystkie te trzy gatunki noszą te same cechy: nogi krótkie, oczy duże wypukłe, skrzydła długie i wycięte, dziób krótki, otwór paszczy wielki a paszcza zawsze zwilżona klejowatą śliną, na któréj przylepiają się złowione owady i która służy do lepienia gniazd, nazwane paszczaste lub beznożne.

## Jaskółka dymówka.

To wieśniaczka, rzadko do miasta zaziera, zaraz przed hałaśnym zgiełkiem ulatuje bo miłuje strzechę i zacisza wiejskie; tuli się po wsiach do człowieka jak gdyby myślała, że na wsi człowiek mniej zepsuty i czulszy niżli w mieście; terminów przylotu i odlotu wiernie dochowywa, spieszy się z podwójnem gniazdem w jednem lecie, — pochłania corocznie miliardy much i komarów, zbiera pod dachami larwy, poczwarki i pająki, rozwesela wieś i oddaje niepospolite usługi. Dymówki po

dzielają nam rok przylotem i odlotem na dwie połowy; koło Wielkiej nocy przednie straże armii jaskółek przybywają do połowy kwietnia, daléj zjawiają się korpusy liczne a w końcu tego miesiąca tylna straż i marodery zmęczone. Rzecz szczególna, na wiosnę ciągną do dnia i przez dzień cały zostawiając po drodze kontyngensa, jakie gdzie latować mają, a armia daléj leci ku północy i na zachód w wielkiéj wysokości; w jesieni przeciwnie, jak gdyby im na téj wysokości za ciężkie było powietrze ciągną niżéj i do ciemna w noc. Stósowne przysłowie: Jedna jaskółka niestanowi lata! W początkach kwietnia zjawia się jedna, dwie to rekonesansy i znowu znikają, późniéj czasem awangarda z czterech do pięciu i znowu pauza, a mimo tych ostrożności narażają się na wielkie niebezpieczeństwa, bo na głodową śmierć i zmarznięcie. Ale też powiedzcie, komu ta polska biała wiosna się już nienaraziła, komu się nie dała w znaki? Słońce zaświeci, ptaszki zanucą, kwiatki krzewy i drzewa zakwitną, cała przyroda ze snu zimowego się budzi, wszystko ku niebu zwraca radosne oczy, bydło i owce spieszą w pole, gospodarz się raduje że już koniec tej długiéj zimy, — a tu znowu śnieg, deszcz lodowaty, a czasem i przymrozek! Jaskółki rozumne u których doświadczenie nie idzie w las, wysełają czaty, dowiadują się dokładnie jak tam w téj zimnéj i biednej Polsce. Lecz jak forpoczty powrócą i głoszą że tam już muszki latają, słonko przygrzewa i trawka się zieleni, jakże tu nie lecieć, kiedy na dotrzymaniu sumiennem reputacya rodu jaskółczego zależy. Przylatują więc i często z zimna i głodu giną. Gdy taka bieda niespodziana ich nawiedzi, lecą nad jeziora i stawy, chronią się po łozach i trzcinach, radzą, szczebiocą jak tu uratować życie i często gdy siły się znajdą a na energiczną determinacyą jeszcze zdobyć się potrafią, wtedy porwą się wszystkie, wybiją pod obłoki

i znikną na dni kilka, myślę że lecą za żerem i chronią się w cieplejszych zaciszach.

Żywią się jaskółki w powietrzu uganiając za latającemi owadami które dzióbem chwytają, często tak mocno, że kłapnięcie szczęk słyszeć się daje; nad wodą bez przestanku łowią owady, a gdy gdzie natrafią na chmurę krążących muszek lub komarów, wtedy pędem błyskawicy z otwartą paszczą uderzają w środek, nawracają drugi i trzeci raz a muszki i komary przylepiają się w paszczy na klijowatéj ślinie i dopiero nasyciwszy się odlatują. W ustawicznym locie za żerem chwytają drobne latające żuki, lecz twardych skrzydełek strawić nie mogą i jak drapieżne ptaki piérze i kości, tak one wyrzucają łuski dzióbem. Zręcznie chwytają małe ćmy i motyle, na listkach i trawkach robaczki i gąsienice, oka badacz od tej pośpiesznéj a cały dzień trwającéj pracy oderwać nie może, ta szybkość, ta zręczność, a każdy najtrudniejszy ruch pełen gracyi, wszystkie te niepojęte ewolucye w powietrzu robi bez natężenia, u jaskółek zaiste nigdy spostrzedz nie można najmniejszego zmęczenia, lub chęci odpoczynku, lata od wschodu do zachodu a jak siądzie to na chwilkę, jak gdyby li pokazać światu chciała, że i ona siedzieć umié. Zabawny to widok gdy przy zachodzie słońca zjawia się podobna chmurka krążących owadów i jaskółka ją spostrzega, radośnie zawoła *wit witurit*, leci po towarzyszki i szarżują w tę kupę dopóki muszek masy nie nałapią lub apetyt niezaspokoją. Dla owadów towarzyszą stadom bydła i owiec, dla owadów okrążają stajnie i gnieżdżą się w tychże, dla braku owadów opuszczają nas w jesieni. Nic pocieszniejszego jak widok jaskółek polujących w dnie słotne na owady nad dachami: zręczność nie do pojęcia! W locie potrafi uchwycić na ścianie siedzące muszki lub téż skrzydełkami je płoszy i łowi w powietrzu, w głodzie porywa suche muszki,

wiszące na pajęczynach, a czasem i pająączek padnie ofiarą. Za każdem uchwyceniem owada słyszeć można kłapnięcie dzioba, w kilku minutach kilkaset tych nam nieznanych tonów do uszów dochodzi.

Nie budując tak silnego gniazda jak jaskółka oknówka, instynkt jéj wskazuje schować je pod dach, albowiem niewytrzymałoby naszych deszczów zacinających jak batogami gdzie wiatr wieje. Pierwsza jéj czynność po przylocie wiosennym odżywiwszy się nieco jest wyczyszczenie gniazda jeżeli go zastała parka jeszcze w dobrym stanie, lub budowanie nowego. Gniazdo nie tak doskonałe jak oknówki przecie należy już do dzieł architektury ptaków: przylepia ścianę tylną gniazda do belek, łat i innego materyału naszych dachów, starając się aby dolna część opartąbyła o sęk wystający lub gwóźdź: kształt gniazda wystawić inaczéj nie mogą jak w $^1/_4$ próżnéj kuli, ściany 1 $^1/_2$" grube, wysokość 4 $^1/_2$" do 5" a głębokość gniazda 4". Materyały zbierają po mokrych miejscach z lekkiej ziemi, na których, w czasie budowy gniazda wielka ich liczba siada, ile może dzióbkiem tego błota zabrać, tyle bierze, zwilży śliną i mocno przygniecie do miejsca gdzie ma być gniazdo, zaczynając budowę od tyłu gniazda czyli punktu oparcia, lepią daléj od dołu, a gdy połowa tego gmachu już sterczy siadają oboje na krawędzi i szczebiocą rozkosznie co dzień w południe na wypoczynek; Lepianka widocznie postępuje przy tak pilnych robotnikach, dopiero u góry zostawiony otwór do wlatywania, ta budowla trwa od sześciu do ośmiu dni i wlocie jest wykonywaną, gdyż jaskółka która jest *personifikacyą pośpiechu* nie siada, tylko trzepocząc jak wieczorna ćma nad kwiatkiem, tak ona przy gnieździe w trzepotaniu potrafi swą bryłkę błota doskonale wlepić. Te bryłki niemal wszystkie porachować można bo sterczą, każdy

się wtedy zadziwić musi ile to razy mąż i żona nosić musiały!

Gdy budowa w połowie skończona, siada pani domu do środka i skrzydełkami, brzuszkiem i dzióbkiem wygładza wewnętrzne ściany, które póżniéj jak politurowane wyglądają. Po wybudowaniu lepianki, pilno bardzo znosić, i częstokroć dach nieskończony a już jajko zniesione i drugie i trzecie a gdy cztery do pięciu jaj leży w gniazdeczku mąż musi dokończyć, a ona już pilnie wysiaduje. Parki się czule kochają, on rzadko na jajach usiądzie i to li w południe, samiczka nadzwyczaj pilna w wysiadywaniu, mając ogrom cieplika w sobie a mnożąc go ustawicznym ruchem, może kilka razy na dzień opuścić gniazdo bez narażenia jaj na zaziębienie; mąż jéj donosi czasem muszki szczególniéj ku końcu siedzenia gdzie najpilniejszą być musi, przynosząc zaszczebiocze miłośnie przed lepianką, trzepocze w locie jak gdyby stał w powietrzu, ona główkę wychyli odpowie mu kilku nótami i weźmie dzióbkiem z dzióbka muszkę, a zadowolniony ulubieniec wesoło świergotając, leci daléj głosząc swe szczęście bez chmurki. — Samiec śpiewa szczebiotliwie lecz pełne melodyi romanse, ona ciszéj i przerywano, a jak jego rozkosznie pieści, to dzióbem, to skrzydełkiem nakrywa, zawsze ma coś mu szepnąć, nigdy dosyć blisko męża, czy na dachu czy na gałązce zawsze się do niego tuli, on zaś wdzięczny i pełen pamięci, równie jak czułości, ile razy blisko gniazda przeszyje powietrze zawsze zawabi partykularnym głosem, aby ona wiedziała że o niéj myśli i że przeleciał. Rzecz szczególna, u żadnego ptaka niepostrzegałem tak częstych rozmów czy to między małżeństwem, czy z dziećmi, czy też w towarzystwie, istne to dialogi: i tak przylatuje samiec, trzepocze przy gnieździe, świergoczy chwilkę, ona mu odpowie, on znowu przemówi i znowu bujać leci w powietrzu, — lub

też siedzi na dachu stara parka, przy nich rzędem dziatwa, starzy coś mówią, młodzież słucha, tu i owdzie się odezwie, aż nareszcie wszystkie krótko zaświergoczą, często starzy przemówią, a dzieci się zrywają i lecą przed rodzicami toczyć koła, wycinać essy i floressy w powietrzu a ci na dachu radośnie nucą, dumni ze zręczności swych jaskólcząt; — on śpiewa ona mu wtóruje, skrzydełkami trzepią i znowu pełno pieszczot, bo oboje już niecierpliwi, myślą o drugiem znoszeniu jaj kiedy dzieci wychowali, a tu czas krótki w téj zimnéj biednéj Polsce, i jeszcze przed sierpniem światu rodzinę jaskółek wychować trzeba, bo tak instynkt surowo nakazuje. Ten śpieszny proceder lęgu przypomina w świecie roślinnym, te karpacką wegetacyę, która na kryta śniegiem do połowy czerwca i znowu w połowie sierpnia dostaje swą zimną koszulkę białą, a mimo to rośnie, zakwita, nasienie daje w tym krótkim czasie. Bóg tak zrządził, nasz rozum tego pojąć nie może, lecz co rocznie te odnawiane cuda widzimy, a zatem wierzyć musimy, iż to być może.

W tym rodzaju napotykamy jak gdyby mowę w jednym języku od wszystkich zrozumianym. I tak mają głos na oznaczenie strachu lub popłochu, wabienie zwołujące lub ostrzegające, szczebiotanie zadowolnienia i rozkoszy, innym głosem towarzysze do siebie mówią, innym przemawia matka do dziatek, inny znowu dźwięk w rozkosznych pieszczotliwych wyrazach małżonków. Napomnienia starszych, zwoływania przed podróżą i w podróży, lekcye dawane dziatwie lotu i pożywienia, przy zbliżającym się niebezpieczeństwie, wszystko to przez jaskółki bez alfabetu i gramatyki oznaczone lecz od wszystkich zrozumiane i powtarzane od początku rodu jaskółczego. Niema wątpliwości czy wyrazy wymawiać trzeba przez o kreskowane lub nie kreskowane czy ch czyli h, wszystkie czysto mówią, czystą mową,

wszystkie w zgodzie Boga chwalą! Pierwsze zniesienie jaj składa się z pięciu do sześciu, drugie z trzech; jajka z tłem białem nakrapiane rdzawo, rzadsze lub gęstsze, bledsze lub ciemniejsze plamki, często zupełnie białe, lub też przy grubym końcu tak upatrzone punkcikami, że tworzą rdzawą obwódkę, skorupa bez glancu, porowatość znaczna. — Wysiaduje samiczka pisklęta przy ciepłem powietrzu w dwóch tygodniach, w zimnie potrzebuje do 20tu dni, a to z powodu że gdy dżdżysta pora nadeszła i owady się pochowały, ona dłużéj latać musi aby głód swój zaspokoić; żeby nie cieplik nadzwyczajny jaki posiada jaskółka, i zakryte pod dachem niemal ogrzane miejsce w którem gniazdo ulepione, nigdyby pisklęta dla zimna wykluć się nie mogły z jajek. Gdy po dwóch dniach ogrzane dzieci już więcéj pożywienia wymagają i ustawicznie piszczą, matka ich w gnieździe tak układa że wszystkie główki jak jaki żółty bukiet przy otworze gniazda sterczą i ten porządek surowo rodzice utrzymują aby nie być przypadkiem dla jednego lub drugiego parcyalnym, aby wszystkie jaskólczęta dostały regularną strawę. Bez tej rozumnéj organizacyi, silniejsze by młodsze do środka wpychały i nie jednoby zginąć musiało; a że wszystkie te główki do siebie podobne jak krople wody, i wszystkie za każdem przylotem ojca lub matki otwierają zawsze szeroko swe paszcze, piszcząc prośbę o żer, a zważywszy że donoszenie pożywienia rodziców odbywa się w niepospolitym pośpiechu, zatem ta instynktowa organizacya (instynktowa, bo całemu rodzajowi właściwa) jest dla piskląt kwestyą życia. Druga równie instynktowa równie niezbędna potrzeba jest uczenie piskląt czystości: co chwila wlatuje jedno z rodziców do gniazda; podnosi piskle tak, aby łajno wypadło za gniazdo, potem drugie, trzecie itd. po kilku dniach surowo a systematycznie trzymana dziatwa tak się wyuczy, że gnia-

zdo czyste a co niemowlęta w pierwszych dniach nieczystości narobiły, rodzice starannie dzióbem wyrzucają z gniazda. Czystość posunięta do przesady niemal, gdy łajno pod dachem ku ziemi leci, jaskółka go dzióbem łapie, wylatuje otworem i upuszcza na wolności. Ona to gospodynie czystości i porządku uczyć może! Nie darmo Stwórca tak zrządził i w téj drobnéj na pozór organizacyi jest ogrom mądrości! Gniazdo jest do góry zalepione, z małym tylko otworem, w środku wysłane pierzem; gdyby żarłoczne pisklęta téj czystości nie utrzymywały, albo by w fetorze zaduszone były, albo też w gnieździe nie znalazły pomieszczenia, w każdym zaś razie pierzemby się świeżem okryć nie mogły w tym wilgotnym gnoju.

Już pewnie o jaskółce dosyć na ten zeszyt, wypoczną czytelnicy przez miesiąc cały, to znowu może przejrzą dalszą historyę tych lubych ptaszął i dowiedzą się o wychowaniu piskląt, organizacyi do podróży, o ich odlocie, o przywiązaniu jakie mają do człowieka, a dziś tak śnieg sypie, wiatr znowu tak przeraźliwie wyje, że śniegiem zawianemu szlachcicowi ręka trętwieje, a w duszy smętno po całéj skórze rozdrażnienie czuję, bo to znowu biała wiosna. Oj dobrze mi powiedziały moje Boćki że tu źle będzie i zimno!...

Olejów dnia 24 marca 1858.

Kazimierz Wodzicki.

# DZIÈWCZE Z MARTIGUES.*)

Jeżli chcesz poznać uroczą krainę,
I z pełnéj piersi odetchnąć radośnie;
Zapuść się w żyzną Prowansy dolinę,
Gdy stroju chciwa, przymila się wiośnie.

Bo żywszym niwy tam się barwią wdziękiem,
I szczerzej słońce z kwiatami się pieści,

*) Przez wdzięczność — za przyjaźń i za przetłumaczenie kilku moich mniejszych utworów — dla ś. p. Lenana, wziąłem niektóre motywa z jego poezyi do niniejszego poematu, które polski czytelnik łatwo rozezna. Rzecz dzieje się za panowania Władysława IV podczas wojny Francyi z Hiszpanią, gdy kardynał Richelieu, płynącego na Genueńskim statku w odwiedziny do swoich hiszpańskich krewnych, Jana Kazimierza, a zagnanego burzą na brzeg Marsylski, uwięzić rozkazał.

I czulszym strumyk rozkwila się jękiem,
I słodziéj wietrzyk po listkach szeleści.

Tam się i słowik miłośniéj odzywa,
I burze groźniéj i okropniéj wyją,
I pierś się prędzéj i mocniéj rozgrzewa
I serca silniéj i goręcéj biją.

Lecz gdy się dźwigniesz w jéj skały i góry,
Gdzie mię unoszą teraz skrzydła marzeń;
Z trwogą popatrzysz na dzikość natury;
Z smutném westchnieniem wspomnisz dawnych zdarzeń.

---

Gdzie wrą Duransy wody zawsze brudne,
Ciągną się brzegiem szare wiekiem mury;
Jak straż miasteczka, co tam leży schludne,
Chcąc niby przerwać widok gór ponury.

To Cistron.— Nad niem stromo i wysoko,
Wznosi się nagie skalisko olbrzymie;
Nigdzie tam z krzewem nie zdybie się oko,
Mech tylko niegdzie po urwiskach drzymie.

A Cistron kornie u stóp mu spoczywa,
Całe posępnym osłonione cieniem;
Jak niewolnica drżąca i lękliwa,
Ponurém pana zrażona spojrzeniem.

Na wierzchu sterczą— smutne to pamiątki —
Zwalisko wieży, złamane kolumny;
Dawnéj świetności wymowne to szczątki,
Co ród Prowansów kołysała dumny.

Tuż koło wieży, pnąca się do góry,
Siadła szeroka, granitowa bryła;
Istna gospoda dla wędrownéj chmury,
Spoczynek burzy co światami wyła;

A z tejże śmiało patrzy w kraj daleki,
Samotny, pusty jakiś kościół stary;
Tam i poganin jak mówią przed wieki
Swe bałwochwalcze zapalał ofiary.

Teraz ten kościół zmieniono w więzienie,
Gdzie swe ofiary kardynał wyprawia...
Jego to imie, jak srogie wspomnienie
Dziś z trwogą jeszcze lud w kraju wymawia.

W tych skał chropawych i w tych zwalisk kniei
Niech śmierć dla siebie siedzibę obierze;
Z amtąd niech czycha gdzie jakie z kolei
Życie już dla niéj przypada w ofierze.

---

Już noc głęboka, księżyc z pełną twarzą
Z po za skał ciemnych wymknął w błękit czysty
Szumem Duransy okolice gwarzą,
Co ku dolinie toczy wał pienisty.

W koło urwiska, co korytem rzeki
Legło zaporą, dąsają bałwany;
Nieraz wędrowiec zbiegłszy kraj daleki;
Tu zatrzymuje kroku zadumany.

Aż do wieczności chcąc przejrzeć ogromu,
I wielkość Boga odmierzyć rozumem:
Widzi że tylko jest synem poziomu;
Myśl więc wypuszcza za Duransy szumem:

Jak wał za wałem tam dołem przemyka,
Tak i dzień za dniem żywota przeszumi;
Lecz gdzie się wszczyna ta dni naszych rzéka,
I dokąd płynie, któż odgadnąć umie?

W Cistron ostatnie światełko już kona,
Miasteczko całe jakby we śnie leży;
Z téj tylko strony gdzie wieża zwalona,
Słychać chrzęst broni królewskich żołnierzy.

Jakiegoś więźnia licznie otoczyli,
I marsz na bryłę wiedzie granitową;
Niechęć do służby o tak późnej chwili
Zdradza nie jedno złorzeczące słowo.

Choć stroma ścieszka nie mnoży ochoty,
Coraz jednakże przyspieszają kroku;
Ale tak silnej nacóż zbrojnéj roty,
Żeby jednego mieć więźnia na oku?

Na co? — to król tak — król Ludwik cześciwie
Polskiego księcia gościnnością darzy;
Ledwie że stanął na francuzkiej niwie,
Oddać go kazał swoich więzień straży. —

Dzielny młodzieńcze, ty coś staczał boje
Za wiarę świętą i w kraju obronie,
W krótce, ach w krótce piękne lata twoje
Ten grób skalisty na długo pochłonie!

Idziesz spokojnie, choć szlachetne lica
Gniewem się płonią na żołdaków zbroje,
A krok twój dumny i sucha źrenica,
Bo łzy w nieszczęściu nie zna oko twoje.

Wyższy nad losy i żelaznej duszy
Polak niedoli z łez nierobi danki;
Miłość go tylko prawdziwa poruszy;
Miłość ojczyzny, sławy i kochanki.

---

Wygięta wężem po nad jar głęboki
Ciągnie się ścieszka wykuta w granicie,
A na niej dąży, pnąc się na opoki,
Ten poczet zbrojny by stanąć na szczycie.

Książe w mozolnym wstrzymuje się kroku,
Wzrok, słuch wytęża w piersi oddech tłumi;
Lecz nic tu jego nie jawi się oku,
A nawet słabiéj już Duransa szumi.

Ciszej! — to wietrzyk przywionął z doliny,
Gdzie słowik pienia rozwodzi miłośne,
Jakby wysłany od kraju, rodziny,
By pozdrowienia mu przynieść żałośne.

Z dali to wietrzyk przyniósł on dla księcia
Z pod serc polaków wiernych uczuć datek;
Podobny temu darowi dziecięcia,
Co swój biednemu oddaje dostatek.

Nad brzegiem Wisły, Niemna, Dniepru, Dzwiny
Woń pozbieraną z kwiatów samosiewnych:
Żale narodu i żale rodziny
Przywionął złożyć w myślach jego rzewnych...

Poznał go książe, uczuł i zrozumiał,
I wysłał żale ojczyznie wzajemne;
Wietrzyk z westchnieniem jego wstecz zaszumiał,
On poszedł daléj przez opoki ciemne.

Już przy więzieniu stanął poczet zbrojny,
Głuche milczenie gdyby na pogrzebie:
Wszedł w nie Kazimierz bez trwogi, spokojny,
Jak w grób człek dobry, gdy już duchem w niebie.

---

Wicher szaleniec po urwiskach goni,
J spędza w koło, grube, ciężkie chmury;
Niebo się czasem błyskawicą spłoni,
I łoskot gromu odbija o góry.

Ciemno aż czarno — w jary i parowy
Z szumem nawalne zlewają się deszcze;
Nad oknem więźnia usiadł ptak grobowy,
I grozie jęki dodaje złowieszcze

Więzień nie widzi łuny błyskawicy,
Nie słyszy gromu prującego ciemnie;
Bo dusza jego w ogródku dziewicy,
Gdzie kochać począł kochany wzajemnie.

Jak onéj brzozy gałązki płaczące
Nad smutnym, białym, grobowym kamieniem,
Chwieją się jego loki spadające
Nad bladem czołem, bogatem pierścieniem.

Pomni on o tym szczęśliwym wieczorze,
— Ach gdyby z niego dziś chwileczka tylko!
Gdy przez wzburzone przepłynąwszy morze,
W Martigues lądował z przyjacioły kilką.

---

Morze, ów potwór ryczący przyrody
Przestawał jerzyć swą srebrzystą grzywę,

Jakby wspomnienia rozwścieklonéj wody
Fale się w spokój ścieliły leniwe.

Gdzie się z błękitem spływają ich wały
Tonął dzień w zachód promiennym obwodem,
Rzucając złotem jak on król wspaniały,
Co przy odjeździe żegna się z narodem.

W ostoi drzymał Genueński statek;
Co się już z burzy nie jednéj naśmiewał;
Na maszcie jego jak czerwony kwiatek
Wykwitły z morza, znak kraju powiewał.

Wietrzyk co słodycz po łąkach wysysał,
Woń jéj miodową po brzegu roznosił;
A tam się majtek na łódce kołysał
I dziwne pieśni dziwnéj treści głosił.

Choć on po burzy już w trwodze nie tonie,
Zmęczone usta złorzeczyć przestały,
Znać było w śpiewie, że mu jeszcze w łonie
Niekiedy nerwy z przerażenia drgały.

Przy brzegu stała schludna i gościnna,
Znana pod godłem królewskiem gospoda;
A w niéj dziewica, nadobna, niewinna,
Jak ranna zorza czarowna i młoda.

O jéj dobroci, co się zdradza okiem,
Nie jeden umiał coś powiedzieć w kraju;
Była to Klara słynąca urokiem,
O, bo też piękna jak poranek w maju.

Nieraz tam majtek na lądzie tak butny
Z dzikim hałasem do gospody wpada:

„Wina!“ — i ucichł, i skromny i smutny,
Gdy ujrzał Klarę co służyć mu rada.

Klara podaje, lecz majtka pragnienie
Uśmiechem, okiem zgasiła dziewica;
Dłoń mija puhar, bo całe spojrzenie
Jéj czarujące porywają lica.

Wreszcie go ujął, lecz usty nie tyka,
Chociaż jak pompa pija na okręcie
A gdy mu z oczu piękna Klara znika
Znika i napój w jedno ust dotknięcie.

Już na pokładzie obeschły kotwice,
A majtek Klary jeszcze okiem szuka;
By choć raz jeszcze mógł ujrzeć dziewicę
Cicho, nieśmiało, puharem zastuka.

A Klara, spieszna w usłudze dla gości,
Znów niesie napój choć mu się pić nie chce,
Bo w piersi jego tli już żar miłości,
Nieznane czucie dzikie serce łechce.

Idź, idź, gdzie morze bałwanami szumi,
Wicher tam ciebie w swe objęcia woła;
Niezwykłą czułość niech burza przytłumi,
Nie tobie miłość takiego anioła.

---

Szlachetny ruchem i rzadkiéj urody,
Głową nad innych wyniośle szy młodzian
Z całym orszakiem swym, obco przyodzian,
W ony to wieczór przybył do gospody.

Czapka z brylantem i pióropusz biały
Pas złotolity i oręż bogaty,
I suto złotem wyszywane szaty,
I cała postać dostojność zdradzały.

„Kto to? — ach kto to?“ Klara zachwycona
Widokiem jego, nieśmiało zapyta,
I jakby wstrzymać chciała w głębi łona
Drgające serce, za łono się chwyta.

Spytany, był to człowiek obcy, młody
Co wszedł wypocząć po podróży znoju,
W płaszczu francuzkim siadł w kącie gospody
I krył w nim ubiór nieznanego kroju.

Wzrok jego zrazu ostry, przenikliwy,
Zajrzał przez oczy, aż w serce dziewicy;
Lecz gdy mu przez nie błysł urok poczciwy,
Nie krył już przed nią swojéj tajemnicy.

„To brat królewski Jan Kazimierz Waza“.
Z cicha do Klary i ostrożnie rzecze,
„Wasz to kardynał, — nie wiem zkąd uraza—
„Naszego księcia do więzienia wlecze.

„Synem on wtórym Zygmunta trzeciego
„Króla Polaków i Szwedzkiéj ziemicy“.
I patrz, ocknionéj z marzenia błogiego,
Zsmutniało oko nadobnéj dziewicy.

Lecz nieznajomy, niezważając Klary,
Rzekł daléj: „Bratem mu Władysław czwarty;
„Wstąpił po ojcu na tron Piastów stary
„Dziś już o Baltyk i Czarnomorz wsparty.

„Z krzyżem na piersi i w kapłańskiéj szacie,
„To Konopacki poseł u Hiszpana,
„Opat Wąchocki, mąż ważny w senacie
„Biskup nominat i przyjaciel Jana.

„Ten gładki dworak to jest Mieroszewski,
„Co gdy poselstwo swe do Węgier skończył;
„Dodany księciu na rozkaz królewski
„Z orszakiem naszym już w drodze się złączył.

„To ochmistrz Butler starosta Krakowski;
„A ten co gniew ma i szyderstwo w twarzy,
„To jest Gonzaga z Mantuy Myszkowski;
„To stary Marko, szlachta, dwóch lekarzy.

„Mnie Jan Opacki, jam syn kasztelana
„W zaszczytną służbę dodany książęciu;
„Spieszę w ślad za nim by ocalić pana,
„Lecz książe nie wie o mém przedsięwzięciu.

„Tak się spieszyła straż w odjazdu chwile,
„Żem się przyzostał na Marsylskim brzegu;
„Ale, jak widzisz, niezostałem w tyle,
„Choć Genueńczyk błyskawicą w biegu.

„W Hiszpańskie kraje dążących w gościnę,
„Bez przedsięwzięcia z wami staczać boje,
„Burza zagnała w Marsylską ostoję:
„W tem uwięzienia masz księcia przyczynę.

„Zbliżyć mu niechcę, bo więziony razem,
„Któż mu dać pomoc lub przestrogę zdolnym?
„Snadniéj mi działać, gdy zostanę wolnym,
„I nieść mu pomoc radą czy żelazem.

„„Cześć mi twa ufność"",—rzekła Klara rzewnie,
W oku skra uczuć zatlała niezwykła;
„„Niepożałujesz, nie zdradzę cię pewnie.""
I dłoń mu ścisła, i w tłum obcych znikła.

Tam jak fiołek co wiosna rozwiła,
Skromna, czekała na księcia skinienia;
Nadobne lica rumieńcem spłoniła,
Gdy się ich razem spotkały spojrzenia.

A księciu uśmiech ułagodził lice,
Nieznaném czuciem przemówiło oko,
Gdy, zdumion wdziękiem patrzał na dziewicę
Stojącą przed nim z pok rą głęboką.

Nieśmiały wzrok jéj uderzony błogo
Tylu szlachetnych powabów wyrazem,
Pomknął aż w serce słodką uczuć drogą,
By je obeznać z tak lubym obrazem.

---

Obfity w kwiaty, owoce i cienie
Wyrósł ogródek zaraz przy gospodzie;
Nieraz wędrowiec tam znalazł schronienie,
Nieraz tam w upał odpoczywał w chłodzie.

Wabił on także Kazimierza mile,
Wszedł więc a za nim usłużna dziewica;
W drżącem milczeniu uchodzą im chwile,
Choć ich nawzajem ich urok zachwyca.

Chodzą tam długo z tych uczuć nawałem,
Kwiaty ich wonią przyjmują gościnnie;
Książe na dziewczę spogląda z zapałem,
Dziewczę na księcia nieśmiało, niewinnie.

Gdzie niegdzie gwiazdy na niebie już tleją,
I słowik z krzewu już ozwał się głośno,
Jakby, co usta wymówić nieśmieją,
Pieśnią chciał swoją wyśpiewać miłosną.

Tak-to dwie dusze, jedną myślą tchnące,
W téj saméj chwili pojmują się wzajem;
Tak-to dwa serca jedném czuciem wrzące,
Ku sobie razem lgną miłości rajem.

Wreszcie się miłość rozwinęła w słowo:
On Klarę tchnieniem swém, życiem nazywa,
A ona umrzeć z nim razem gotową,
Bo już bez niego nie będzie szczęśliwa.

W obojga łonie świat się stwarza nowy,
Niebem oddycha młodzian i dziewica;
Serce wypędza na młode ich lica,
Pierwszéj miłości rozkwiat purpurowy.

---

Wieczór ten dawno ściekł w przeszłości morze,
Długie dla więźnia płyną dni i noce;
Co ranku jednak nim zabłysną zorze,
Miał zawsze świeże kwiaty i owoce.

Lecz zkąd się brały te miłe ofiary,
Nikt o tém księciu powiedzieć nie umiał;
A nawet czujny jego Marko stary
W głowę zachodził, cudu nie rozumiał.

Odmawiał pacierz, i godzinki śpiewał,
Żegnał się często i wzdychał do Nieba;
Bo to duch jakiś skrycie wykonywał,
Bo to pokusa któréj tknąć nie trzeba:

„Zkąd-byż się kwiaty i owoce brały?
„Któż-by Bóg przy nas! — tu je nosił inny?
O myśl nie trąci sercem zestarzały,
Że to miłości może dar niewinny.

Do twych szlachetnych, Janie, przyjacieli,
Których wierności los twój nie narusza;
Jedna co rada twe nieszczęście dzieli,
Wierna ci jeszcze tu przybyła dusza.

O wdzięk czarownéj nie dbała urody,
W przestroju męzkim ukryta dziewica,
Brunatną barwą powlokłszy jagody,
Przybrała inną i postać i lica.

Tak w całéj swojéj zmieniona istocie,
Służbę pazika przy książęciu bierze,
Bo już nie mogła wydołać tęsknocie,
Którą tak po nim uczuwała szczerze;

Bo w jego bliżéj wszechurok istnienia,
Bo ból i rozpacz gdy od niéj daleki;
Bo on już dla niéj gwiazdą przeznaczenia,
Co ma jéj świecić na wieki, na wieki.

Nim się, bywało, wybierze na dzionek,
I na dzień-dobry skowronek zaśpiewa;
Już Klara sama, polotny skowronek,
Góry i skały z pośpiechem przebywa.

Choć stromo na dół, krok ją niesie śmiały
Aż gdzie ogródek i Duransa toczy;
Nieraz zawiśnie na krawędzi skały,
Bo zawsze serce ją wiedzie nie oczy.

I tam co grzędy wypieściły w kwiatek,
W owoc rumiany wykochały drzewa,
Drżąca rozkoszą na poranny datek
Roztropną rączką dla kochanka zrywa.

A gdy ją przytem myśl uniesie skryta,
I splotek mirtu na czole umieści:
Płonie... i w koło spojrzeniem się pyta,
Czy ją nie zdradził komu czyn niewieści.

O, gdy się w takiem zapomni marzeniu
Tu, gdzie przeżyła z lubym pierwszą chwilę,
Cała się w słodkiem zanurza wspomnieniu,
Cała oddaje wrzących uczuć sile;

I cała rozkosz tu niegdyś doznana
I ta o niego dzisiaj trwoga tkliwa,
W jeden prąd czucia w rzewném sercu zlana
Łzą się gorącą na lica dobywa.

Tak Klara codzień nim błyśnie poranek,
Przebiega góry zalewie dostępne,
By tylko ze snu zbudzony kochanek,
Na chwilkę oko rozjaśnił posępne.

---

Książe śpi jeszcze, śpią żale i troski,
Co go na jawie tak dręczą boleśnie;
Dusza do swoich uleciała we śnie
A Klara przy niéj, jak on anioł boski.

Budzi się, patrzy, przeciera powieki
Jak-by sny miłe chciał stawić przed okiem;
Jak-by je myślą chciał wstrzymać na wieki,
Ducha zatapia w dumaniu głębokiem.

Uszły niestety z niewiernéj pamięci,
Znów smutny patrzy na więzienia mury,
I wolno z czoła ustępują chmury,
Bo ranny datek już mu oko nęci.

„Któż to mi składa te miłe ofiary?“...
Zapytać o to, było-by daremnie;
Czasem go niesie myśl w ogródek Klary,
Woła ją z cicha i westchnie tajemnie.

I tak się kwiatom przypatruje mile,
Jakby z nich w każdym oglądał jéj lica;
Potém do piersi przytuli na chwile,
A potem łzą mu zapływa źrenica...

A pazik patrzy na to w oddaleniu
I drży z rozkoszy nad wyraz szczęśliwy;
Boi się wzroku podnieść w zachwyceniu,
By go przed panem nie wydał zdradliwy.

---

Gdy góry w szarej znikały godzinie,
Jan z Konopackim, oba przyjaciele,
O swéj ojczyźnie, o ziomkach, rodzinie,
Codziennie z sobą rozmawiali wiele.

Tak się im lżejszem zdawało więzienie
W które ich wtrącił Ludwik przeniewierca;
Bo cóż nad kraju swojego wspomnienie
Milszém w obczyźnie dla polskiego serca?

Dziś snać ich inne zajmowało słowo,
Jan duszą w mowie przyjaciela tonie;
To się uśmiechnie, to znowu surowo
Spojrzy w około i zaciska dłonie.

Lecz Konopacki, on przyjaciel wierny,
Umie wstrzymywać zapały mu znane;
Zwabić na powrót ten uśmiech mizerny,
Balsam pociechy nalewając w ranę.

Tuż przy więzieniu pije straż bez miany,
Wrzawa, swawola, gry i pohulanki;
O ściane lecą, spełnione puhary
Za zdrowie króla, za mılsze kochanki.

Jednego tylko, że niepije z nimi,
I niepodziela ich rozpusty szczérze,
Łają koledzy wyrazy drwiącemi,
Każą mu święte odmawiać pacierze:

„Spiewaj godzinki!“ rzekł jeden z wąsaczy,
„Zatoć kardynał obdarzy szkaplerzem,
„A może nawet awansem uraczy,
„I zrobi ciebie papiezkim żołnierzem.

„Żołnierz papiezki to zaszczyt, to chwała,
„A z francuzkiego i awans nie lada!“
„„Wiwat papiezki!““ wrzasła śmiechem cała,
Dzikich żołdaków zapita gromada.

I stają w szyku i robią honory,
I drwiąco przed nim prezentują bronią.
Lecz on nie zważa na te dziwotwory,
Kto wié którędy jego myśli gonią?

Był to brat Klary, wziął on straż na górze
Bo siostra o to prosiła go czule;
A choć niedawno w żołnierskim mundurze,
Jednak już wiedział co to proch i kule.

Był tam i drugi nie dawno zaciężny,
Co także milczał pucharu nie tykał;
Z oczu już widać było mu, że mężny,
I że nie jedno rozumem przenikał.

Francuzki mundur nie zdobił go wcale,
Pancerz, misiurka, to jemu do twarzy,
A że spoglądał na wszystkich zuchwale,
Więc go mijały żarty pjanéj straży.

Choć się nie jeden tam dobrze podcięty,
Drwić sobie z niego zaocznie odważał:
On z bratem Klary, ważniejszém zajęty,
Tych skrytych drwinek ni słyszał ni zważał.

---

W więzieniu spokój, — oba przyjaciele
Stoją przy oknie, patrzą w okolice,
Chmura się czarna na zachodzie ściele,
A w niéj migocą szybkie błyskawice.

Już się rozmaga po niebie szeroko,
Resztę błękitnych okienek zasuwa,
Widokrąg ciemną zasłania powłoką,
Czasem ją żyła piorunu rozpruwa.

Wicher, jak szatan, wyrwał się i wyje,
Duch-śmierć poluje swoją psiarnią żerczą;
Czy dołem goni, czy się w górę wzbije,
Wszystko niweczy paszczęką morderczą.

A gdy się wzniesie nad wieżyste skały
I zagrzmi w trąbkę straszliwemi chóry,
Noc się zapala piorunnemi strzały,
Walą się lasy, wstrząsają się góry.

Z rozdartéj chmury topią nawalnice,
Wezbrane szumią z hukiem w dół potoki,
Coraz płomienniéj palą błyskawice,
Coraz okropniéj trzaska grom w opoki.

Lecz któż są one te postacie obie,
Co, jak dwa zgrozie dodane upiory,
Dążą do góry w tak straszliwéj dobie,
Krok ku więzieniu wymierzywszy skory?

Jedna, to Szantrein dowódca żołnierzy,
Którym więzienia straż dziś powierzona;
W niego kardynał, jak sam w siebie wierzy,
Bo niema zbrodni, któréj nie wykona.

On duchownego pryncypała swego
Chytre, zabójcze zamiary rozumie,
A nawet do nich z dowcipu własnego,
Piekielną duszą jadu przydać umie.

Druga, najśmielszy z królewskich siepaczy,
Co mu w noc grzéchu towarzyszy wszędy;
On go też za to swą przyjażnią raczy
I kardynalskie obiecuje względy.

W téj srogiej burzy znalazłszy zaciszę,
Gdzie dwie nad ścieżką wiszą skały nagie,
Stanęli spocząć czarni towarzysze
I biorą zbrodnię raz jeszcze w rozwagę.

„No dziś,“ rzekł Szantrein z radością szatana,
„Nasz się księżulo trochę rozweseli,
„Bo się pozbędzie tego księcia Jana;
„W dobrąśmy porę czynność rozpoczęli.

„Wszak to ten śmiałek zabrany w niewolę,
„Co na nas patrzy szyderczo i hardo;
„Chociaż znał jego wszechmogącą wolę,
„Rozkazy jego odrzucał z pogardą.

„Że się pogniewać umie pan duchowny,
„Są tego znaki na moim sztylecie:
„O tém niewiedział ten książe wędrowny,
„Niech-że się dowie, lecz na tamtym świecie.

„Już wiész co robić: rozpalone wieńce
„Siarki i smoły porozrzucasz wszędzie,
„A ja sztyletem pchnę w serce książęce
„Jeżeli oknem ratować się będzie.

„Ciemno, więc żaden nie dojrzy nas zdrajca,
„A straż spojona duchowną piwnicą;
„Każdy więc powie, że grom winowajca,
„I wszystko będzie wieczną tajemnicą."

Rzucili ścieżkę, poszli manowcami,
Bo im się skrycie działo z tą wędrówką;
Lecz z ich rozmowy pod dwiema skałami,
Ni jedno nawet niezginęło słówko.

---

Pazik miał zwyczaj, nim zupełnie góry
Zmrok poosłaniał, wychodzić na zwiady;
Oglądać w koło zwaliska i mury
I pilnie wszystkie tam uważać ślady.

Często gdy gęste zlewały się deszcze,
Lub grube, ciężkie siadały ciemnice,
Ta jego czujność powiększona jeszcze,
Nawet go w dalszą wiodła okolicę.

I dziś, choć burza groziła surowo,
Poszedł, jak gdyby przeczucia go wiodły,
Aż gdzie dwie skały, i każde tam słowo
Słyszał, co mówił ów najemnik podły.

Przejęty zgrozą wraca do więzienia,
Radby on skrzydła do nóg swych przyprawił,
Pośpiech i trwoga tamują mu tchnienia,
Bieży co siły by pana wybawił.

Usypiaj Janie, nie dójdąc morderce,
Strzeże cię miłość, ta niebios zesłanka,
Własne im ona swe nadstawi serce,
Własném swojego zasłoni kochanka.

Wyścigła zbrodnię i dopadła straże,
Które snem twardym zmorzyła rozpusta;
Znajduje brata i milczeć mu każe
Drżącemi dłońmi przymykając usta.

I gdy z przestrachem coś rzekła do niego,
Z gniewem mu szczękła o ramie rusznica;
A z pochwy błysnął oręż Opackiego,
Jak z ciemnéj chmury zgubna błyskawica.

Nie tracąc chwilki sama idzie przodem.
Prowadząc obu pośród nocy ciemnéj,
I stają spiesznie przed więzienia wchodem,
I cicho zbrodni czekają najemnéj.

---

Jak Lucypera sfora gończych wściekła,
Wysłana ścigać cnotę, i niewinność,
Wśród strasznéj nocy towarzysze piekła
Czarną już swoją poczynają czynność.

Już siepacz murów więzienia dopada,
Kryjąc starannie roztlone łuczywa;
Szantrein się za nim ostrożnie podkrada,
Staje pod oknem, gdzie książe spoczywa.

W tém runął wystrzał i godzi w morderce,
I czarne jego niweczy zamiary:
Kula przeszyła najpodlejsze serce,
A trup się stoczył w przepaściste jary.

Na połysk strzału, jak wściekła poczwara,
Siepacz się rzucił na stojącą z brzegu,
I padła ciosem ugodzona Klara,
I krew trysnęła po jéj łona śniegu.

Cóż, że Opacki doścignął nikczemnika,
I podłe serce przeszył mu żelazem?
Wszystko za późno, Klary życie znika.
Dziewica śmierci staje się obrazem.

---

Jak wiotka lilja wichrami złamana,
Gdy się więdnąca już z wdziękiem rostaje:
Złożona Klara w więzieniu u Jana
Słabe już tylko znaki życia daje.

Z twarzy jéj zmyto barwy tajemnicze,
Odkryto urok czarownéj urody;
Smiertelna bladość pokrywa oblicze,
Gdzie dwie niedawno płonęły jagody;

Rzęsisty warkocz w rozplotach opada,
Skrzepłą krwią dłonie czerwienią się obie:
Krew to jéj własna, którą dała rada
Za wielką miłość co taiła w sobie.

A uśmiech luby, ten jéj uśmiech znany
Tak mile blade usteczka owlekał,
Jak gdyby strumień żywota z jéj rany
Z radością w inny świat lepszy przeciekał.

O, kto w swém sercu ma miłość i cnotę,
Komu w te dary błogosławi niebo;
Temu żyć w obu staje się potrzebą,
Lub umrzeć w obu uczuwa tęsknotę.

Milcząco lekarz ciągle tętna śledzi;
Jan, gdyby posąg żalu, przy nim stoi;
W twarzy i w oku szuka odpowiedzi,
Bo ją z ust jego usłyszeć się boi;

Ostatnie nawet rad-by oddał tchnienia,
Za jedno słówko za jeden rzut oka,
Za jeden słaby uśmiech pocieszenia:
Lecz lekarz stoi niemy jak opoka.

Łzy bohatéra ciężkim żalem płaczą
Z sérca co niegdyś biło tylko sławie,
Nareszcie, jakby porwany rozpaczą,
Zawołał: Klaro! — bezprzytomny prawie.

O, gdyby w niebo jéj duszę lecącą
Z taką boleścią głos jego zawołał,
Z pod samych niebios wrócić by ją zdołał
Ożywić tchnieniem pierś jéj konającą.

---

Gdy wszystko w smutku zgrążone głębokim
Śpiesznie się czegoś krząta Marko stary;
Czyż-by on może doświadczoném okiem
Gdzie promyk życia dopatrzył u Klary?

Jakieś on zioła na zimnéj północy
I jakieś inne na wschodzie uszczknięte,
Zgotował, przyniósł, ufny w bożéj mocy,
Z cicha modlitwy odmawiając święte.

Jak pośród burzy sternik żeglujący,
Gdy mu z za chmury błyśnie gwiazd oblicze;
Między rozpaczą i nadzieją drżący
Jan w leki starca patrzał tajemnicze.

Lecz nie tak Marko,— znał on swoje zioła,
Wsączył je w usta, jakby pewny skutku;
A chociaż milczał, twarz jego wesoła
Wszystkim w ponurym ulgę niosła smutku.

Cicho, że mógłbyś słyszeć lot motyla,
Mógł słyszéć modły słane myślą skrycie;
Ciężko się waży niepewności chwila,
Co śmierć, lub drogie ma rozstrzygnąć życie.

Wtém wolno piersi dziewicy się wzniosły,
Jakby głębokiém dźwignione westchnieniem,
A oczy, życie zwiastujące posły,
Błędném w około toczyły spojrzeniem.

„Uratowana! miłosierny Boże!"
Zawołał książe— „ach uratowana!"
A z serca jego wylało się morze
Kornéj wdzięczności pod tron niebios Pana.

I Marko, oczy utopiwszy w niebie,
Modłę dziękczynną zmawiał najgorętszą:
„Tyś Panie wsparł ją Twą łaską w potrzebie.
„Tyś Twą litością wybawił najświętszą."

Oczy dziewicy, jakby z mgły obwoju
Dwie gwiazdki, słabym błyszczące urokiem,
Szukać się zdały kogoś w niepokoju
I, ach! już z Jana spotkały się okiem.

I w niém spoczęły tak czule, tak błogo,
Z takim niebiańskiéj rozkoszy wyrazem,
Jaką anieli tylko uczuć mogą,
Co wiecznie Boga cieszą się obrazem. —

---

Wenseńska twierdza dzisiaj w ruchu cała,
Bo tam polskiego oczekują księcia;
Aby więzienia pozoru niemiała,
Pilnie ją stroją dla jego przyjęcia.

Bo król wolnością tych nieśmie obdarzać,
Którym ją możny kardynał zniweczy;
A że o zdradę śmiał księcia oskarzać,
Nawet winnego posłuchania przeczy.

Ale, że dzisiaj stał w wojnie z Hiszpanem,
Wzgląd i na Polskę mieć mu wypadało;
Chciał więc łagodniéj obchodzić się z Janem,
Po tém, co zaszło nad Cistrońską skałą.

Przeniesionemu więc w Wenseńskie mury,
Choć i tam miała straż nań, baczne oko —
Pozwolił zabaw, lecz książe ponury
Wszystko odrzucał z pogardą głęboką.

Jednego razu przybyli śpiewacy
Wpuszczeni w skutek królewskiego znaku;
Jan ich nie słuchał, lecz byli tam tacy,
Którym dźwięk pieśni przypadał do smaku;

Bo tak się do nich przyjemnie odzywał,
I tak do serca przemawiał im miło;
Że prawie każdy z śpiewakami śpiewał,
Cały porwany tego dźwięku siłą.

## Nuta Krakowska.

W stepie buja rumak młody,
Niewie że na grzbiecie
Nieść z innemi ma w zawody
Jeździca gdzieś po świecie.

W stepie buja rumak młody,
Ucieszcie się dzieci;
Bo to ptak dla wojewody,
Na którym przyleci.

Już siodłają, rumak pryska,
Grunt kopytem grzebie;
Już siadają, zbroja łyska,
A Bóg dobry w niebie.

Choć się niebo czasem chmurzy,
Bywa i pogoda;
Miléj czuje się po burzy,
Szczęście i swoboda.

Chwila smutku już nie długa,
Bliski kres niedoli,
Wierny w służbie stoi sługa,
Z nim się miłość spóli.

Jeszcze ostatnie nie przebrzmiały tony
Gdy książe piosnkę jął uważać pilnie;
Dźwięk jéj w rodzinne unosił go strony,
Serce tęsknotą uderzało silnie.

Kazał powtórzyć i zdziwion zawoła:
„Wszak to głos Klary — litościwy Boże!“
l chmura smutku usuwa się z czoła,
I, co to znaczy, sam pojąć nie może.

I słucha okiem, słucha uchem rzewny,
Słucha w nim serce, dusza, istność cała;
I, czy to Klara? i wątpi i pewny,
A pieśń z dziewicy wrzącéj piersi drzała.

Wtórzył Opacki, ów syn kasztelana;
Dał znać królowi; co się z bratem dzieje;
A teraz przybył uspokoić Jana
I dobrą wieścią obudzić nadzieję.

On-to i Klarę wyuczył piosenki,
Którą śpiewała z nim czule i składnie;
Choć obce słowa i obce jéj dźwięki,
Wszystko przez miłość pojmowała snadnie.

Jan chciał przemówić, lecz rzewność niezwykła
Więziła słowo w rozczulonéj piersi;
Tymczasem para śpiewająca znikła,
Ci przyjaciele serdeczni, najszczersi.

---

Co jesień z pełnéj wysypała dłoni,
Niesie na sprzedaż dziś chłopków gromada;
I wóz za wozem na gościńcu goni,
Bo dziś w Saint-Germain roczny targ przypada.

Lekko na głowie, jakby ślubny wianek,
Kosz niesie dziewcze z wesołem obliczem,
A przy niéj chłopak, to pewnie kochanek,
Nad gnuśnym mułem wytrzaskuje biczem.

Gościniec w podłuż, jak-by wstęga siwa,
Przed ich oczyma leży rozpostarty;
Ale go znacznie w rozmowach ubywa,
Znacznie wesołe skrócają go żarty.

Ciszéj! za nimi słychać tentent koni;
Tuman kurzawy bałwani się drogą,
Jak wichrem party coraz bliżéj goni,
Już w nim i jeźdców rozpoznawać mogą.

Zkąd? — kto wy? dokąd prowadzi was droga?
Zdumione chłopstwo jednogłośnie pyta;
Lecz niewstrzymana jazda wiatronoga
Odpowiedziała tententem kopyta.

Tyle co pomknąć trzy razy powieką,
Już tuman rzeszę pytającą schłonął;
Już ją i minął, już przed nią daleko,
Już hen za górą, jak-by w mgle utonął.

„Pewnie to jacyś z obczyzny rycerze;
„A jaki każdy i żwawy i śmiały!
„A jakie stroje, a jakie pancerze!
„A jaki piękny ptak na hełmach biały!

„A ten co przodem jak-by wicher gonił,
„Rycerz to jakiś grzeczny i bogaty:
„Jak-to on ładnie nam się wszystkim skłonił,
„Jak ciężkie złotem miał zbroje i szaty!“

Tak, z kurzu czyszcząc świąteczne odzieże
Na targ ciągnąca rozmawiała rzesza.
Już się Saint-Germain pokazały wieże,
Dokąd im kroku ciekawość przyśpiesza.

Był to Smoleński dzielny wojewoda,
Co od Tatarów nieraz kraj wybawił;
Krzysztof Gąsiewski a z nim szlachta młoda,
Ich-to Władysław z poselstwem wyprawił.

„Idźcie!"—rzekł z gniewem, „niech Ludwik zdradziecki
„Natychmiast brata mi uczyni wolnym,
„Tak chce, nie prosi król polski i szwedzki
„Co o nic drugim kłaniać się niezdolnym.

„A gdyby niechciał zważać słowa mego,
„To mu powiedźcie niech pamięta o tém,
„Że nie tak zbytnie dalekim tron jego,
„Bym go nie dosiągnął polskiéj broni grotem!"—

„„Gąsiewski, królu, niezwykł wracać marnie.""
Rzekł wojewoda kornie lecz surowo.
„Spieszcie książęcia zakończyć męczarnie,
„Bóg z wami!" rzekł król i skinął im głową.

Szybko się w drogę wysłani wybrali,
Na dzielnych koniach dzielna jazda znika;
Słowo królewskie jak piorun ich pali
Co ma wystrzelić przed tronem Ludwika.

---

W Saint-Germain w zamku parskają rumaki,
Już się ich jeźdce rozstali z strzemieniem;

Te w polskim stepie wykarmione ptaki.
Gawiedź zamkowa ogląda z zdziwieniem.

W Saint-Germain w zamku o kamienne schody
Brzęczą podkówki złote i oręże;
Przed tron Ludwika śladem wojewody,
Śmiało sarmackie postępują męże.

Spokojnie niby czekał król na tronie;
Lecz się niepokój duszy zdradzał w oku;
Weszli Polacy, twarz ich gniewem płonie,
I gniewem szable szczękają u boku.

Tu wojewoda odsłoniwszy czoła,
Musnął czuprynę, dumnie skłonił głową
Poprawił wąsa i spojrzał do koła,
I tą do króla odezwał się mową:

„Król polskiéj ziemi i szwedzkiéj krainy,
„Którego, panie, potęga ci znana;
„Chce, więzionego byś tutaj bez winy
„Uwolnił księcia Kazimierza Jana.

„Że przeciw tobie miał skryte zamiary,
„Niósł pomoc w wojnie swym hiszpańskim krewnym,
„Jest fałsz, któremu nie-było dać wiary,
„Jeźliś przez dowód nie był tego pewnym.

„Wszakże z takiego tylko czynić jeńca,
„Kto w jawnéj wojnie przeciwko nam działa;
„A ty, o królu, niewolisz młodzieńca,
„Którego burza na twój brzeg zagnała.“

Słuchał król z gniewem i wstydem głębokim,
Gdy się Gąsiewski tak śmiało wyrażał;
Potém na posła dumnym rzucił okiem,
I księcia Jana uwolnić rozkazał.

---

W pośród Paryża stoi gmach wspaniały,
To Louvre odwieczny, ta kamienna księga,
Na któréj czytasz, jak wznosi w szczyt chwały
I jak z niéj strąca narodu potęga.

Trudno nań patrzeć z myślą obojętną,
Gdzie tyle sławy skonało i żyje;
Gdzie każdy kamień ma przeszłości piętno,
I każdy w sobie przyszłe dzieje kryje.

Tam Ludwik księcia wprowadził z więzienia.
Tam go pochlebstwy i świetnością poił;
By młodzian pośród blasku, omamienia,
Przepomniał krzywdy i żale ukoił.

Ale się mocno w rachubie omylił,
Do któréj liczby kardynał mu stawiał;
Książe ku niemu serca nie nachylił
A wzrok ponury niechęć mu objawiał.

---

Do Louvru dzisiaj śpieszy Paryż cały,
Bo polski książe odjeżdża do domu;
Szereg powozów, do zbytku wspaniały;
W pośród dziedzińca już stanął ogromu.

W bogatych siodłach parskają rumaki,
Ale, że jeźdźce do siodeł nie spieszą,

Te w polskim stepie wykarmione ptaki
W bruk niecierpliwie kopytami krzeszą.

W kątku przy schodach, za plecą żołnierza,
Stoi tam dziewczę w pokornéj postawie;
Oby raz jeszcze ujrzeć Kazimiérza,
To miejsce sobie wyżebrała prawie.

A, by i chwilki nie stracić z widoku,
Pilnie się w schodów wpatruje początek;
Wystawi główkę lub wysunie kroku,
I wyżebrany zapomina kątek.

Wtedy ją żołdak surowo potrąca,
By, co kazano, wypełnić dosłownie;
Dziewczęciu żalu płynie łza gorąca,
Dziewczęciu serce już drgnęło gwałtownie.

Szlachetny ruchem i rzadkiéj urody,
Z twarzą zkąd troski zegnały rumieńce,
Wstąpił Kazimierz na kamienne schody,
Za nim Gąsiewski i polskie młodzieńce.

Było tam także dworskich panów wiele:
Richelieu, Sulli, i Angulem z nimi,
Grzeczni, uprzejmi, niby przyjaciele,
Żegnali księcia wyrazy słodkimi.

Lecz książę na to zważać się nie zdaje,
Chociaż się często zatrzymuje w kroku;
On tylko patrzy na ciekawą zgraję,
Jak gdyby kogoś chciał znaleść w natłoku.

W tem łzami zlana, boleścią wybladła,
Z licem na którem wyraz wszechcierpienia;

Mdlejąca Klara do nóg mu upadła,
On rzekł: „bądź zdrowa, i do zobaczenia“.

Podniósł ją drżący; przycisnął do łona
I rzekł do wszystkich: „Tėj oto dziewicy
Winienem życie; o, gdyby nie ona...“
I zmilkł — i otarł łzę żalu z żrenicy;

I dziewcze w ręku Sullego zostawił,
Żegnając spojrzał na grono przytomne;
Rzekł coś do ludu, co go błogosławił,
A Klarze z cicha: „ja cię niezapomnę!“

---

Szczęście się tylko w snach czarownych jawi,
W marzeniach tylko nam niebo otwiera;
Ale nieszczęście, — to nam życie trawi,
To rzeczywistość co serce rozdziera.

Znikł już sen Klary... po szczęściu w zawodzie
Zostały tylko boleść i wspomnienie;
I znowu biedna i znowu w gospodzie
Czeka usłużna na gościa skinienie.

Lecz gdzież ten jeden, któremu-by rada
W służbę poświęcić to i przyszłe życie?
Serce w tęsknocie bez końca przepada,
Ból coraz większy pożéra ją skrycie.

Każdego sprzętu dotyka się w smutku,
Którego on się dotykał, a nieraz
Każdego kwiatka pyta się w ogródku:
Powiedz mi, powiedz, gdzie mój luby teraz?...

Gdy brat odwiedził był to dzień wesela,
Bo z nim o księciu toczyła rozmowę;
Nie jedno chlubne o nim jej udziela,
Co, choć jéj znane, zawsze było nowe.

Dziś opowiadał jak Szantrein surowy
Chciał księciu zabrać broń w króla imieniu,
I jak go książe i wzrokiem i słowy,
W gniewu szlachetném zgromił oburzeniu:

„Jeźli do szabli król méj ma ochotę,
„Jestem, rzekł Polak królewskiego herbu
„I krwią mu równy, niech sam przyjdzie po-tę,
„Bo jam jéj nie zwykł oddawać bez szczerbu“.

Ta mowa brata — o! to słowo lube
Rozkosze nieba w pierś dziewicy wlewa;
Bo cóż milszego nad kochanka chlubę?
Cóż mocniéj serce kochanki rozgrzewa?

---

„Do zobaczenia! — Ja cię niezapomnę!“
Brzmi ciągle Klarze i serce jéj grzeje,
Ale niekoi jéj bóle ogromne,
Choć konającą ożywia nadzieję.

Z nią nieraz, biedna, pobieży nad morze
Patrzy w noc jasną zkąd przybywał statek;
I noc przeduma aż zabłysną zorze,
I ciężkich westchnień posyła mu datek;

I noc przesłucha, przepatrzy, przeczeka
Czy się gdzie żagiel niepojawi w dali;
Łzami się zlewa bezsenna powieka,
W sercu ofiara boleści się pali.

Lecz ni spokojne, ni burzliwe morze
Nie wraca Jana z dalekiego świata,
Minęły dni już, miesiące i lata,
A jéj tęsknota przeminąć nie może.

Widać jak srogi ból trawi ją skrycie,
Bo coraz słabsza, coraz więcéj blada;
Widać jak zwolna młodziuchne jéj życie
W ciężkiéj żałobie niszczeje, przepada.

A Jan mozolném berłem obdarzony,
Zewsząd narażon na wrogów pociski,
Zbyć się niemoże cierniowéj korony
I tylko myślą i sercem jéj bliski.

Ciesz się, dziewico, niedługo już tobie
Tak wielką nędzę cierpieć na tem świecie;
W krótce kochanek wieniec ci uplecie,
Zleje go łzami i złoży na... grobie! —

---

## NAGROBEK.

Tu leży Klara, szczyt wdzięków i cnoty,
W młodości swojej pochowana kwiecie;
Uległa bólom miłośnéj tęsknoty,
Jaką tu była ujrzysz w innym święcie;
A teraz klęknij, zmów trzy pozdrowienia,
Bo ludzka dusza potrzebna zbawienia!

---

Stał krzyż na grobie, a na krzyżu wieniec
Co dzień świeżemi woniący kwiatami;
Nie jeden pod nim modlił się młodzieniec,
Nie jedno dziewcze zlewało się łzami;

Nie jeden także już wiekiem znękany,
Wspomniał swą młodość nad Klary kamieniem;
Wspomniał, że także był niegdyś kochany
I zmówił pacierz i odszedł z westchnieniem.

Lecz z kąd ten wieniec daremnie-byś pytał,
Żaden ci o tém nierzekł by przechodzień;
A jednak codzień na krzyżu zakwitał,
Bo z swieżych kwiatów splatany był codzień.

Mówiono tylko że był klasztór blisko
A w tym klasztorze jakiś człowiek stary;
Lecz nikt nie wiedział jakie miał nazwisko,
On-to codziennie był nad grobem Klary.

Jako zakonnik odziany w habicie,
Zrana i wieczór modlił się pod krzyżem;
Mało kto nawet znał tam jego życie,
Zwano go tylko ojcem Kazimierzem.

M. B. Antoniewicz.

# RADY I ZWADY
# NIEWIAST
# O WIELOŻEŃSTWO.

(Ze zbioru wiadomości o Krakowie).

JÓZEFA MĄCZYŃSKIEGO.

---

Mądrze nasz Krakowianin, a kardynał Hozyusz w swych *księgach o jasnem a szczerem słowie Bożem* napisał: „Fałsze a chytrości, których różnowiercy przeciwko prawéj pobożności Chrześciańskiéj używają, zdadzą się być podobne klinowi, który z przodu bardzo cienki jest, a nie zda się kiedy go w drzewo biją z przodu, żeby miał bardzo rozłupić drzewo, ale chociaż ostrze jego cienkie, wszakże przedsię drogę czyni téj która za nim idzie miąższości, tak, iż gdzie się przednia część klinu wciśnie tam już i poślednia musi wnijść aż się drzewo rozłupi".

Ten swój klin różnowiercy w Kraków wciskali i wcisnęli tak, że jego mieszkańcy żyją rozłupieni tylko na trzydzieści dwie wiarek. Takie to bolesne ciosy uderzyły w religię katolicką, w tę starożytną opiekunkę królestwa a wszystko pod zasłoną utrzymania swobód narodowych. Lecz cóż nam te swobody dadzą, gdy rozbitkami będziemy a będziemy niemi, jeżeli się nie poprawiem. — Okręt rzeczypospolitéj stał się igraszką rozhukanych bałwanów straciwszy swą kotwicę, którą jest nasza święta wiara katolicka. Tę kotwicę zamiast ująć i do okrętu przyczepić my silem się aby ją wtrącić w głębokie przepaści, wybrane naszem szaleństwem. Szaleństwem, które już u nas niektórych w rzędzie bezrozumnych zwierząt postawiło, bo kacerstwo się rado z bydlęcą cielesnością żeni. Przekonacie się o tem z tego pisma, które dla zawstydzenia różnowierców a dla przykładu katolików stwarzam, dając mu moje myśli za duszę, a za ciało te słowa.

W rynku krakowskim, w domu narożnem pod Barany w komnacie i alkierzu drugiego piętra, co dotykają domu Sapiehów od św. Anny ulicy, mieszkał przybyły w r. 1562 do krakowskiego zboru na mistrza Pauli Grzegórz, ten sam potępieniec który gdy w dzień św. Trójcy przeciw jéj tajemnicy we zborze kazał, piorun w kościół św. Trojcy uderzył i gałkę z wieży strącił, znać Krakowianom dając o jego bluźniernych mowach.

W to jego mieszkanie pod koniec r. 1563 przybył Marcin Czechowicz z syna kmieciego i dzwonnika w Zbąszynie na mistrza kacerza wykierował i powitawszy rzekł:

Nowiny wam przynoszę, lecz jak światowe jedna płacz, druga uśmiech wywołuje. Mówiąc zaś dalej powiedział, że odebrał list z Bazylei od znajomego tamtejszego księgarza Piotra Perny najprzód z tą boleśną nowiną, iż gdy doszły do Zurych napisane przez owego exfranciszkana

i exkapucyna Bernarda Ochina Trzydzieści Dialogów w Pernego drukarni odbite, nieprzyjaciele Ochina zarzucili mu, iż niemi upowszechnia bezbożne i gorszące zdania i cały Zurych przeciw niemu oburzyli a szczególniéj Senat, który wydał na niego wyrok wygnania. I że na próżno Ochin błagał aby przynajmniéj nie wyganiano go wśród srożącej się zimy pomnąc na jego sędziwą starość, słabość żony i wątłe siły czworga małych dziatek. Lecz musiała pęknąć żółć w różnowiercach szwajcarskich, kiedy ich to do litości nie pobudziło i niewstrzymało od wypędzenia go prawie gwałtem z Zurych. I że wtenczas żona jego, owa prosta i uboga dziewucha, z którą się w Genewie przed ośmiu laty ożenił zrucona ze schodów życie utraciła.

Usłyszawszy to Pauli zgrzytnął zębami a trzęsąc się cały od złości zawołał:

Na chlubę, że jesteśmy prawemi wyznawcami ewangelii Chrystusa dość będzie, aby nas upokorzyć zawołać katolikom: Kiedyż ta nieszczęśliwa kobieta została żoną Ochina? Oto wtedy, kiedyście na stosie palili Serweta! A kiedyż umarła? Oto wtedy, kiedyście Ochina z żoną i dziećmi chcieli zamrozić!

Niech ukaja, odezwał się Czechowicz, to wasze sprawiedliwe oburzenie i żal ta druga nowina, którą mi Perny śle. Ochin szczęśliwie wraz z dziećmi dostał się do Bazylei lecz lękając się, aby i tu złość nieprzyjaciół jego nie ugodziła go znów jakim bolesnym grotem umyślił schronić się na naszą polską ziemię, dającą zawsze obronę i przytułek nieszczęśliwym.

Dzięki Ci za to Boże! zawołał Pauli, iż zsyłasz nam w tym mężu światło mądrości, mające nas i naszych rodaków oświecać.

Może Bóg mam go zsyła, mówił Czechowicz, aby tych co już wyswobodzili się z więzów katolicyzmu wraz połączył i żeby znów Polska zaprzodkowała i w tem

innym ludom. Daj Boże, odezwał się na to Pauli.— Lecz czyli szczerze to mówił pytanie — bo on należał do tych ludzi, co w pokoju i w zgodzie nie mogą z ludźmi żyć, i ciągłe miewał swary to z katolikami to z różnowiercami, i ztąd go powszechnie *Niezgóda* zwano.

Następnie dowiedziawszy się od Czechowicza, że Perny pisze iżby Ochinowi można wyjednać schronienie i utrzymanie w domu jakiego pana polskiego, a co może najskorzéj da Mikołaj Radziwiłł, Wojewoda Wileński, Hetman W. X. Litewskiego, do którego Ochin przypisane mu dwa Dialogi o Trójcy wraz z listem śle, aby łaski jego zaskarbić.

Na co odpowiedział Pauli. Twój Perny niezna Polaków, gdy każe, dla Ochina o schronienie prosić. Ja zaś znając, lękam się ztąd jakich nieporozumień, bo nikt nie będzie chciał zrzec się tego zaszczytu, iż przytułek tak wielkiemu mężowi wswem domu daje. Zdanie więc moje jest, aby ten zaszczyt pomiędzy wszystkich dzieląc wynająć mu mieszkanie ze spólnéj składki, na ten cel zrobionéj.

Gdy się wtedy na to Czechowicz zgodził, a potem wszyscy różnowiercy, wynajął Pauli obok swego mieszkania aż pięć komnat, które sadzili się różnowiercy okazale przybrać nawet w obrazy, ale nie jak u nas świętych Pańskich, lecz te pomniki zmysłowości pogańskiéj, wystawiające Faunów, Kapidynów i Wenery. Lecz nie dziwmy się, iż tylko te bożyszcza nierządu tu rozwieszono. — Ich przeszłość ogołoconą z wszystkiego, co jest święte i dobre nic im innego dać nie była w stanie.

— I dla ciebież Ochinie mieszkania twego takie przystrojenie, jakieśmy dawniéj w nierządnych domach tylko widzieli. Nie w takich cię przyjmowano, ty exfranciszkanie, kiedy zostawszy Kapucynów jenerałem w całych Włoszech chwałęś odnosił; — kiedy ostrość życia

nieskazitelność obyczajów, sama postać umartwieniami wycieńczona, twarz wybladła, siwizna sędziwa i po pas broda do czci pobudzały; —kiedy przytem wymowa przenikająca, obfita, powabna jednały ci wziętość Apostolskiego męża, oraz sławę najcelniejszych kaznodziei. Takie przyjęcie znalazłbyś i w Krakowie gdyby twéj dumie oklaskami podłechtanéj, świetnem powodzeniem upojonej, mogłeś milczenie nakazać, gdy cię odwodziła od kościoła katolickiego i od twego powołania, dla tego, iż Papież nie tak skwapliwie, jakeś sobie tuszył twoje zasługi uwieńczał.

Przyjąłby cię Kraków z taką czcią, z jaką przyjmował przed stu laty świętego Jana Kapistrana przybyłego na prośby króla Kazimierza Jagielończyka. I znówbyś jak on rynek krakowski w świątynie zamienił i jak on napełnił ją zewsząd zbiegającym się ludem, aby usłyszał z ust twych słowo mądrości Bożéj. Lecz nie dla ciebie odstępco Boskiéj wiary taka cześć i sława. Tobie Polska niech przypomni Włochy, twoją rodzinną ziemię, z któréj cię wygnano, Anglią która ci schronienia odmówiła i Szwajcaryą, z któréj uchodzić musisz.

I przypomniała mu to Polska, jak posłyszycie, co się daléj w Krakowie dzieje, po pierwszéj tej wiadomości o przyjeździe Ochina. Oto w półtora miesiąca to jest w połowie stycznia 1564 r. znów do mieszkania Paulego przybył Czechowicz z twarzą smutkiem zasępioną i oznajmił mu: Iż na przesłany list do Bazylei od różnowierców krakowskich z podziękowaniami dla Ochina, że ich miasto zaszczycić swoją bytnością raczy, odebrał odpowiedź, ale nie od niego, tylko od tamtejszego księgarza Piotra Perny. — I przeczytał mu jego list zawiadomiający iż Ochina już ten list nie zastał w Bazylei, gdyż ztamtąd pomimo srogości zimy po kilku dniach bytności znów wydalił się w dniu ośmnastym grudnia 1563 r. ledwo żyw, bo sam chory, chorobami

dzieci znękany i ciężarowi nieszczęść jakich doznaje ledwo podołać mogący.

Tak srogie cierpienia Ochina w kimżeby litości nie wzbudziły, a cóż dopiero w tych sercach, w których ołtarz czci i uwielbienia dla niego stał. Różnowiercy też w smutku i żalu wielkim po téj nowinie żyjąc, oczekiwali przybycia jego do Krakowa, a przynajmniéj zawiadomienia o dalszych przygodach.

Do ich smutku, żalu i niepewności przybyła obawa, gdy się dowiedzieli, że nasza Stolica Swięta śledzi i tropi kroki Ochina. Powzięli tę wiadomość z listu pisanego przez kardynała Boromea do Hozyusza, a który przesłał Królowi i Padniewskiemu, biskupowi krakowskiemu. W liście tym pisanym piątego lutego 1564 r. stało bowiem. — „Piszą nam, jakoby ten szalbierz błą„kał się po świecie dążąc do Polski, przeto Jego Świą„tobliwość sądzi zbawienną rzeczą, żebyś Wasza Prze„wielebność Najjaśniejszego Pana chciał ostrzedz o prze„wrotności i szkaradnych obyczajach tego człowieka, „oraz otrzymać ażeby w państwach Jego przyjęty i „cierpiany nie był, któreby zarazą swoją zapowietrzył i „jeszcze sroższemi niezgodami zamieszał.

Gdyśmy w Krakowie pragnęli, aby do nas taki potępieniec nie zawitał, różnowiercy nieznużeni nawet pięcio miesięcznem oczekiwaniem niecierpliwie jego przybycia oczekiwali, wtedy kiedy jak świadomem późniéj było Ochin wypędzan z Mulhauzen to Schaffhausen niecierpian dłużéj w Norymberdze i Frankfurcie nad Odrą do Krakowa tą drogą zmierzał.

Różnowiercy zawiadomieni wreszcie listem, pisanym do Czechowicza o jego wyjezdzie z Frankfortu obliczywszy dnie i godziny potrzebne na podróż z tego miasta do Krakowa wysłali pana Caberti aptekarza J. K. M. aby z nim w miasto wjechał i w mieszkanie przygotowane wprowadził.

Ale im popsuł układy tak zwany powszechnie Bartos ten wartogłów i wydmi kufel, a brat odrodny czcigodnego księdza Kromera Marcina. On to z jakiejś hulatyki odpustowéj czyli kiermaszowéj wracając, zajechał do karczmy w Rudawie na żydowski miodek, a to właśnie, kiedy do niéj przybyły na popas Ochin i z pomocą swéj służącéj przyrządzał posiłek dla czworga zmarłéj swéj niby żony bękartów wołających z bekiem o jadło. Nim zgotowano jedzenie już dzieci utulił Bartos dawszy im skosztować słodkość naszego miodu, za co mu dziękujący Ochin zapytał o jego nazwę. Usłyszawszy zaś, że się zwie Kromer przypomniał sobie, że autor dzieła *De orgine et rebus gestis Polonorum*, które czytał w Bazylei, toż nazwisko nosi, więc go zaraz pyta czyby to on był. Dowiedziawszy się, że to brat jego ksiądz Marcin, powiedział:

Raduję się z tego, iż poznaję brata męża, którego praca z wielką zaletą od wszystkich uczonych jest przyjęta.

A że Bartos poznawszy się z kim, zaraz z nim musiał kuflem trącić, każe przeto dać miodu. Ochin nie lenił się także i do kufla wynagradzając sobie dawną wstrzemięźliwość, więc wkrótce do perełki wypróżnioną flachę podał Bartosz żydowi, aby ją na nowo napełnił. Wiedział Bartosz że Ochina raczy, ale niewdając się z książkami, ani wiedział, co to za ptaszek, a jemu choć miod usta rozwiązał, nie wypuściły jednak ni słówka z kacerskiéj nauki po skrutynowaniu, że to prawy katolik.

Gdy oni w karczmie prawią pocieszne dykteryjki, a przed karczmą bawią się podpaszone dzieci Ochina, nadjechał wysłannik kacerski Caberti w paradnym czterokonnym rydwanie, przystrojonym rozwieszoną szkarłatną oponą, gdyż chciano aby Ochin jak jaki tryumfator wjechał w Kraków. Caberti widząc bawiące się

dzieci i dziewkę z cudzoziemska ubraną pomyślał, czyli to nie dzieci Ochina i dla tego zatrzymać się kazał woźniakowi. Już miał wysiąść z rydwanu, aby się o to zapytać, gdy w tem spostrzegł wylatującego z karczmy Bartosa. Widok tego znanego mu wartogłowy, z którym spotkawszy się trza było albo pić albo się bić, przestraszył tak Cabertego nie lubiącego ani tego, ani tego, że zapomniawszy o co miał pytać, wołał tylko na woźniaka, aby co może umykał. I tak się stało, a nasz Bartos zakląwszy ze złości, iż go taka konfuzya spotkała, wrocił do karczmy, i znów daléj spijali miodek z Ochinem, a to dopóty, dopóki ten mędrzec przytomności i władzy nie stracił.

Na widok tak martwego ojca dzieci w bek, a służąca im wtórowała. Chciał ich pocieszyć podochocony, ale jeszcze nie pijany Bartosz, lecz nie mógł się z niemi rozmówić, gdyż on tylko po łacinie w Bieckiéj się szkole wyuczył. Żyda więc wziąwszy za tłumacza kazał im powiedzieć, że ich nieopuści, ale wraz z ojcem do Krakowa zawiezie. Jakoż, gdy zajechała jego brozka i Ochinowy rydwan w niego zapakował ze służącą dzieci a Ochina na swéj brozce położył i w drogę ruszył.

Czterogodzinna podróż niewytrzeźwiła Ochina, więc za przybyciem do Krakowa Bartos niewiedząc co z nim zrobić umyślił przenocować go w kamienicy księdza brata, kędy i sam stawał będąc w Krakowie. Gdy przed tę kamienicę zajechali, a jego woźniak zapukał bramnem młotem, wyszła stara Anna, co miasto dwornika była a przecierając oczy, żegnając się strwożona, zawołała.

— A gdyćto nie gospoda dom księdza prałata, aby do niego zwodzić Bóg wie kogo.

Niegadaj tylko otwieraj, krzyknął Bartos. —

A gdy usłyszał od niéj. Nieotworzę, jak mi Bóg miły. Gdyby mię za to ksiądz Płaza wypędził.— Krzyknął na swego woźniaka. — Odpędź babę i otwórz.

Z łatwością sługa wykonał pański rozkaz. Brama się otwarła, ale i téj kobiety usta, które takiego hałasu narobiły, że prawie wszystkich przestraszyły w całéj ulicy kanonnéj. Księża kanonicy do okien wtedy wybiegli, lecz zobaczywszy tylko wjeżdzający w dom rydwan myśleli, że tym hałasom powód dał niespodziany przyjazd księdza Kromera, tego naówczas posła królewskiego w Wiedniu.

Na domyśle nie poprzestając ślą swą służbę na zwiady. Lecz te ich posłanniki napróżno kołatają w bramę, zamkniętą przez Bartosza, gdyż ten umyślił nikogo w dom niewpuszczać dopóki swych gości nieulokuje. Ztąd też nie mała ludzi gromada stała przed bramą, kiedy nadszedł ksiądz Tomasz Płaza proboszcz parafii św. Szczepana, któren pod tę niebytność w Krakowie księdza Kromera sprawy załatwiał a w domu jego mieszkał. Pytającemu księdzu Płazie zkąd to zbiegowisko, powiedziano, że ksiądz prałat przyjechał z Wiednia, lecz coś się musiało zrobić, bo był wielki tu hałas, a teraz w bramę dotłuc się nie można. Przestraszony tem ks. Płaza tak zaczął się do bramy dobijać, że aż zamek się oderwał a drzwi się otwarły. Natura obdarzająca ks. Płazę wysokim wzrostem, nadzwyczajną siłą, dała mu i tak silny głos, że gdy wtedy dostawszy się do sieni zawołał: Co się tu dzieje!— w całym domu to pytanie było słyszane. Lecz z odpowiedzią nie pospieszył ani Bartos ani jego woźniak, bo obaj radziby byli uniknąć pierwszego spotkania z ks. Płazą, znając jego porywczość. Nie pospieszyła też i stara Anna, bo postawiła się na warcie przy drzwiach sypialni księdza Kromera,

aby przynajmniéj tam gdzie rozłożone były różne drobiazgi, papiery i książki niewpuszczać nikogo.

Ale też na odpowiedź nie czekał ksiądz Płaza, tylko szybko przebiegł schody i wpadł do izby. Widok w niéj Bartosza z babą i z dziećmi już go zawiadomił co się święci, więc też zaraz grzmiącym głosem rzekł mu —

— Cóż za nowe waryactwo wypłataliście, ale pożałujecie, gdy się dowie ks. prałat o takiem zbezczeszczeniu jego domu.

— Nie potępiajcie księże proboszczu nie wysłuchawszy, zawołał Bartosz.

— Nie chcę nic wiedzieć, krzyknął ks. Płaza, nie chcę nic słyszeć.— I tupnął nogą o podłogę tak silnie, że wszystek sprzęt na niéj podskoczył.

Czas i ta scena trzeźwi do reszty Ochina, do którego przestraszone tem dzieci z płaczem się tuliły, i dozwala odezwać się z tą powagą, co uszanowanie mu zawsze u wszystkich wyjednywała. Jakoż skoro tylko przemówił do ks. Płazy prosząc, aby raczył go zawiadomić, o co rzecz idzie, gdyż tego świadom nie jest, nie rozumiejąc języka, a zaraz ks. Płaza nie gniewnie, ale spokojnie przełożył mu że Bartosz nie był mocen z mieszkania brata gospodę robić.

Co usłyszawszy Ochin usprawiedliwiał się, że bezpotrzebnie i mimowolnie tu go wprowadzono i prosił aby mu tylko wskazano mieszkanie mistrza Paulego lub Czechowicza, a on zaraz się wyniesie.

Dopytywanie jego o mieszkanie dwóch tych heretyków obudza myśl w księdzu Płazie że Bartosz na dobitkę podobnego im opętańca w dom księdza brata wprowadził. Zakłopotany tą myślą, zamiast odpowiedzieć Ochinowi pyta po polsku Bartosza.— Kto to jest.

Wiem tylko, odpowiedział Bartosz, że się zwie Ochin.

Posłyszane nazwisko tego człeka widocznie wstrzęsło księdzem Płazą i wtrąciło go w stan niepewności i na-

mysłu, w którym się niewie, co powiedzieć co zrobić. I w tem stanie nie wyrzekłszy ani słowa spiesznie wyszedł zostawując zdziwionego Bartosza i przelęknionego Ochina. Słysząc on swoje nazwisko wymówione przez Bartosza wiedział że powzięta wiadomość, kto on jest, sprawczynią była przestraszenia i oddalenia się księdza Płazy, więc padł na domysł, że tak gwałtowny człowiek, jakim mu się on okazał gotów jest uwięzić go i oddać jako duchownego pod sąd duchowieństwa. Domysłem takim nękan umyślił jak najspieszniéj wydobyć się ztąd i bezpieczniejszego szukać schronienia. Nie wyjawiając jednak tego domysłu Bartosowi oświadcza mu tylko, że niechcąc go narażać na jakie przykrości opuszcza w téj chwili to mieszkanie.

— Nie będzie nic z tego zawołał Bartosz.

— Wy tego wzbronić nie możecie, przecież ja nie wasz więzień.

— Aleście u mnie gościem, odpowiedział Bartosz więc nie dozwolę żeby was ktokolwiek lub cokolwiek odemnie wyganiało.

— Kiedy ja was sam proszę, abym w tem wolną wolę miał, mówił Ochin, trzęsąc się z bojaźni i złości.

— Ani gniew ani prożby nic tu nie wskórają, bo teraz każdyby myślał, iż ja was wydaliłem zmuszon do tego. Dla zasług księdza brata szlachectwem ubogacon zostałem od naszego króla i Ferdynanda cesarza, więc już niezasłużenie ten klejnot posiadam, nie chciejcież, abym go jeszcze kalał czynem mogącym mi hańbę przynieść.

— A narazicie się może na hańbę większą, odrzekł mu Ochin gdyż na hańbę, którą historya potomności przekaże pisząc, że z namowy księdza brata mnieście tu w dom jego wciągnęli aby oddać w ręce waszych księży.

— Człowieku! krzyknął przestraszony i zdziwiony Bartosz, a któż wy jesteście?

— Jestem Ochin, który zdeptał dane mu jeneralstwo za-

konu kapucynów, stargał zasłonę ćmiącą światłość Chrystusowéj nauki, skruszył...

Tu Bartosz przerwał mu mowę słowami: Dość na tem już wiem kto jesteście, a niechcę spraw waszych znać, żeby nie popaść w przekonanie, iż występek popełniam broniąc takiego jak wy człowieka.

— Obronę mi przyrzekacie, drżącemi usty mówił Ochin, więc myślicie jak ja, że ten tygrys, co tu wpadł porzucił nas na to, aby wrócić z siepaczami.

Być może, bo gwałty wszędzie się dzieją. Ale przysięgam że wprzód trupem legnę, nim ich ręce dotkną się ciebie.

Bartoszowi chciał Ochin robić jakieś przedstawienia, ale on nagle wybiegł z izby. Miał chęć za nim Ochin biedz, ale mu nogi odmówiły posłuszeństwa, tak zadrżawszy, aż musiał ledz na krzesło.

Bartosz zaś wybiegł, aby swego woźniaka uzbroić w podkulek, przywołać w pomoc i zatrzasnąć żelazną kratę zamykającą schody. Jakoż gdy to zrobił, a wrócił zastał jeszcze na krześle siedzącego Ochina z twarzą prawie trupiéj bladości. W takiem to słabem ciele mieszkała Ochinowa dusza, że z bojaźni prawie umierał. Bartosz choć brzydził się tchórzami, litością jednak powodowan, dokłada wszelkich starań, aby go uspokoić, pocieszyć. Jego zaś woźniak przez czas ten drwiąc i dogadując staréj Annie, do takiéj złości ją przywiódł, iż się na niego rzuciła krzycząc: „Oczy ci wydłubię“.

Posłyszawszy Bartosz sztuk i krzyk w drugim pokoju myślał że z przeciwnikami wchodzącymi oknem sypialni Xiędza brata jego woźniak walkę stacza i na pomoc mu spieszy. Ten widząc przybyłego pana z wydobytą szablicą, tłumaczył mu co się stało, ale go Bartosz nie mógł zrozumieć, bo Ochin głośno wzywał pomocy Boga, a dzieci i służebna krzyczały i płakały. Zniecierpliwiony i zgniewany tem, zaczął głośno kląć i narzekać, a to

powiększyło krzyk i płacz dzieci. Uchodząc przed temi wrzaski, wybiegł do sieni, a choć te słyszał i tu przez zamknięte drzwi jednak dosłyszał i dobijanie się do kraty na schodach. Zapytał więc: — Kto tam? — A gdy odebrał odpowiedź: „Ja Bartosie“ — poznał głos księdza Płazy i zeszedł do kraty pytając: — Czego księże Proboszczu żądacie?

— Słuchaj ino— powiedział do niego X. Płaza a to głosem łagodnym, domyślać się każącym, że przybył aby z nim zgodę zawrzeć.— Jakoż tak było, gdyż usłyszał: — Czyliż wy wiecie, kto jest Ochin, któregoście w dom przywiedli. Lecz wam niebędę tu o sprawach jego prawił— Wystarczy do waszego poznania ta wiadomość. — Ojciec nasz święty przysłał nam listy ostrzegające o przybyciu tego, jak go nazwał szalbierza.

— O ratujże mię Przenajświętsza Maryo! żegnając się zawołał Bartosz.

— Da wam ratunek tylko usłuchajcie rad, które niosę z porady Prałatów Myszkowskiego i Krasińskiego, od których wracam.

— Musi być mądra rada, gdy jest od nich.

— Ona i mnie od popełnienia głupstwa odwiodła. No! odryglujcie zasówkę kraty, bo gdzież po ciemku i na schodach rozprawiać.

— Tu klucza trza, bo ja ją zatrzasłem.

— A toście dopiero zrobili! klucz od kraty skradzion.

— Tam do licha! Lecz potem o tèm, a teraz mówcie raczéj książe Proboszczu, co radzą, gdyż mi jest tak, jakbym stał na rozpalonéj kracie.

— Oto radzą Bartosie, aby się postarać, iżby o bytności Ochina w domu Xiędza brata waszego najmniéj ludzie mówili, bo między mówiącemi znaleźliby się może tak złośliwi, którzyby o stosunki z nim obwiniali Xiędza brata, chcąc zaufanie, jakie w nim Duchowieństwo pokłada, zachwiać.

— Więc mówcież, Xięże Proboszczu, co robić, bo ja głowę tracę, lękając się o sławę i pomyślność mnie tak wielce miłego brata.

— Trzeba Ochina już do rana dotrzymać, bo wydalenie w noc różneby domysły wywołało i do większego gadania dawałoby sposobność.

— Mądra rada i moją osobę zadawalniająca, bom się lękał abyście go w waszych Lipowieckich więzieniach nie chcieli osadzić.

— Jam był tego zdania i z niem pospieszyłem do Xiędza Prałata Myszkowskiego.

— Chwała Bogu, Xięże Proboszczu, że waszego zdania nie przyjęto, bo tylko po trupie moim droga do niego.

— Nie słucham tego, bo to gniewa Pamiętajcie tylko raniuteńko tego opętańca z domu wydalić. Niechcąc zaś pod jednym dachem z nim zostać idę na nocleg, do Xiędza Kanonika Dąbrowskiego.

— Nie dalibyście mi klucza Xięże Proboszczu do waszéj izby?

— A to na co?

— Tam musi być jaka butelczyna, a ja z pragnienia umieram.

— Nie dziś ale jutro, jak wrócę, jeśli się dobrze spiszecie, odpowiedział X. Płaza, a niezważając na wołanie Bartosza, zeszedł ze schodów i wyszedł z domu.

Bartosz wróciwszy do Ochina, gdy uspokoił choć w części jego trwogę upewnieniami i zaręczeniami, rozkazał swemu woźniakowi zejść do koni, a sam zbliżył się z łagodném uśmiechem do dąsającéj się Anny, chcąc ją udobruchać, a potem prosić, aby swą pościel dla Ochinowych dzieci odstąpiła. Lecz ledwo wymówił — Moja kochana Anno — a przerwał mu mowę jego woźniak, który wróciwszy powiedział — A niech Jegomość otworzy kratę. To mu dopiero przypomniało, że krata zamknięta, a klucza niema, a o czem zapomniała zajęta

myśl wyproszeniem jakiego napitku od Xiędza Płazy. Gdy wszystkie sposoby użyte do otwarcia kraty zawiodły, postanowiono już spokojnie oczekiwać wyswobodzenia się z téj niewoli, skoro dzień ludzi zbudzi i na ulicę wyprowadzi. Lecz po północy Ochin któremu obawa zasnąć nie dawała posłyszał silne do kraty dobijanie, czem przestraszony taki hałas zrobił, że przebudzony Bartosz myślał, iż go kto dusi. Ale wołaniem Ochina — Ratunku! już wyłamują kratę — zawiadomiony, co się dzieje, porywa szablę i wybiega z pokoju przywołując swego woźniaka do pomocy.

Ciemność dozwoliła mu dopatrzeć jedynie po za kratą tylko kilku ludzi stojących. To go trochę zmięszało, ale tego nikt nie mógł się domyślić słysząc grzmiącym głosem wołającego:

— Do miliona diabłów, kto i po co o ten czas nachodzi nas?

— Zmitygujcie wasz gniew — odezwał się ktoś z za kraty — i pozwólcie naprzód wiedzieć, komu na to pytanie mamy dać odpowiedź.

— Mnie, Bartłomiejowi Kromer.

— Wyście to Bartosie! — odezwało się kilka głosów, a jeden odpowiedział — Dowiedzcie się, że nie jak mówicie do miliona djabłów, ale do ciebie diable przybywam ja Sarnicki.

— To to wy Stasiu! a kto z wami — Zapytał Bartosz

— Nasi przyjaciele.

Pińczowianie!, zawołał Bartosz, chcąc Sarnickiemu tem dokuczyć, gdyż tak zwią także Aryanów z któremi ten zwolennik Kalwina ciągle spór wiódł.

— Kiedyindziéj przypomnę ci tych Pinczowianów, mówił Sarnicki, a teraz mi odpowiadaj, czyli to prawda, że tu jest Bernard Ochin.

— Cóż wam prawo daje do tej inkwizycyi?

— Twoja przyjaźń dla mnie, Bartosińku.

— To co innego mój Stasieńku, więc wam powiem że jest. —

— No to Bartosie, puszczaj nas, bo my przyszli do niego z odwiedzinami.

— To być nie może, tak nie może— odpowiedział Bartos.

— Jak to nie może,—zawołał Sarnicki, głosem okazującym iż gniewliwy jego charakter już mu krew wzburza.

— Tylko się nie unoście mój Stasiu, bo cóż ja winien kiedy puścić was do Ochina nie jest w mojéj mocy, gdyż ta krata obu nas tutaj więzi.

— Któż się na to odważył? zapytał Sarnicki.

W odpowiedzi od Bartosza usłyszał opowiedzenie całego zajścia jakie miał z xiędzem Płazą, tylko z dodaniem, że on to zamknął tę kratę, aby jak się domyśla nie uleciał ptaszek złapany w potrzask, nim przybędą ci, których poszedł zawiadomić o jego złapaniu.

Na tę wiadomość przybyli chcieli wyłamywać kratę— chcieli biedz o pomoc na ratusz, ale ich od wszystkiego powstrzymał Bartosz przekładający:

Gwałty, gwałty rodzą, więc na co się na to narażać,, kiedy Ochina da się uprowadzić ztąd w skrytości, tyl ko potrzeba do tego najprzód wina, aby przywróciło siły Ochinowi z przestrachu ledwie na nogach utrzymać się mogącemu i uśpiło starą Annę, na straży przy Ochinie przez X. Płazę postawioną, by hałasu nie zrobiła. Potem przywołacie ślusarza, który zamek, kraty otworzy, i weźmiecie sobie wasze bożyszcze

Rad Bartosza usłuchano i w moment było wino, był ślusarz, który gdy otworzył kratę, Bartosz do Ochina już poprzednio o wszystkiem zawiadomionego wprowadził Sarnickiego i Czechowicza, bo ich towarzysze nie przybyli z nimi tylko wartowali na ulicy.

Kiedy ci dwaj heretycy po przywitaniu Ochina wynurzali mu swoją radość, iż mogą nieść pomoc ochraniającą go od gwałtu, który jak się zdaje chciano po

pełnić, wtedy Bartosz umocniwszy swoje gardło butelką wina wypitego, tak się odezwał:

— Tę drugą butelkę podobnie jak pierwszą duszkiem wypiję za zdrowie wasze panowie fundatorowie, a to przez wdzięczność, że dopomogliście spełnić moje przyrzeczenie dane X. Płazie, iż przed wschodem słońca oczyszczę mu to mieszkanie z tego...

— Więc nam kłamstwo sprawił, przerwał mu Czechowicz.

— I myśmy mu się dali uwieść, zawołał Sarnicki.

Na co im Bartosz, gdy odjął od ust wypróżnioną butelkę śmiejąc się odpowiedział: — A czyliż to tylko wy macie moc kłamstwa prawić i ludzi uwodzić, moi mistrze? —

Obraziło to Sarnickiego i już porywczy Rusin brał się do szablicy, ale go powstrzymały perswazye Czechowicza.— Upewniwszy przeto tylko Bartosza, że jak szlachcic tak mu tego niezapomni i niedaruje, zajął się mniemaném wyswobodzeniem Ochina.

Następna niespodzianka utrudziła te jego chęci. Anna bowiem uradowana że się już wynoszą, zeszła do stajni do woźniaka Ochinowego, aby zaprzągał, a wróciła z wiadomością, iż tego nie ma w domu a stajnia zamknięta.

Domyślił się Czechowicz i Sarnicki, co się z nim stało, bo to on był tym heroldem, co ogłosił przybycie Ochina. Gdyż ten stary furman niemiecki z Frankfurtu nieraz bywając w Krakowie, lubił uraczać się piwem Swidnickiem, a wiedząc, że go dostanie w piwnicach ratusznych, w tych tak zwanych Indyach, więc do nich powędrował. I tu popijając, opowiadał drugim piwoszom, że przywiózł jakiegoś Ochina, któren choć najmniéj sto lat liczy, ma czworo malutkich dzieci. Posłyszał to Jurga Ludgisarz królewski, który tego Ochina miał na pamięci, bo mu go co tydzień już od pięciu miesięcy

przypominał Bracki ze Zboru wołający— Dajcie szeląg na Ochina mieszkanie. Pyta więc furmana czyli on z nim pod Barany zajechał. W odpowiedzi zaś dowiedziawszy się, że go piianego zabrano w dom X. Prałata Kromera, upatrzył w tém jakąś zdradę katolików i z odkryciem jéj do Paulego pospieszył, co niemałą trwogę pomiędzy różnowiercami rozniósłszy, poprowadziło ich w dom X. Kromera.

Czechowicz i Sarnicki, jak powiedzieliśmy domyślając się z tego, że ten furman spity zapewne, leży pod ławą w Indyach, kiedy dotychczas nie wrócił, namówili Ochina, aby zostawiając przewiezienie rzeczy do jutra, sam z dziećmi szedł do przygotowanego dlań mieszkania.

Wystawcie sobie pochód starego Ochina prowadzącego za rękę najstarszego syna ośm lat mającego, a obok niego Czechowicza dźwigającego śpiącą jego sześcioletnią córkę i Sarnickiego podobnie unoszącego drugą czteroletnią córką postępującą za niemi sługę piastunę dwóchletniego Ochinowego syna. Wystawcie sobie powiadam, a łatwo pojmiecie, że ten widok mógł tak rozśmieszyć podochoconego Bartosza, iż zanosząc się od śmiechu, słowa rzec nie mógł. I dobrze się stało, bo ten wydmikufel ubodłby ich jakim bolesnym żartem, a nasz sąd jest, że ten widok do litości raczéj powinien pobudzić i nieść naukę o nieszczęściach człowieka na się sprowadzonych przez własną dumę.

Pochód ten gdy przybył do bramy pod Barany, Sarnicki rzekł do Ochina: — Zrobiłem jako Polak, com powinien był zrobić zawiadomiony o waszem położeniu, a teraz gdy niema już żadnego niebezpieczeństwa, żegnam, bo w dom, gdzie mieszka Aryanin, który Chrystusa i Ducha świętego innemi od Ojca bogami czyni, Sarnicki nie wchodzi. — A oddawszy niesioną czteroletnią córeczkę Ochinowi oddalił się, nie będąc przez

niego zatrzymanym, bo ani czas i miejsce, ani umysł Ochina, wypadkami dnia tego skołatany niebył zdolny do dysput. — Uradował się ale i zasmucił widząc że i w Polsce tli już ogień tych niezgód heretyckich, który go już dobrze we Włoszech, Anglii, Szwajcaryi i Niemczech poparzył.

Z takiemi myślami i uczuciami przybyłego Ochina powitał Pauli pięknem przemówieniem, mówiąc mu w końcu i to, że po przebytych burzach wpłynął w bezpieczny port, zamieszkały przez lud, którego oświata daje każdemu wolność wiary, a szlachetne uczucia raczą serdecznem i gościnnem przyjęciem.

— Wiem ja o tem, odpowiedział na to tylko Ochin, gdyż z tego słyną Polacy na świecie i zdaje mi się, że w nagrodę mych prac, trudów i cierpień łaskawy Bóg przywiódł mię na tę ziemię obiecaną, która niech mi grobem będzie a matką tych dzieci moich.

Ochin uściskał potem w koléj obecnych, a było ich z półkopy, bo aż tyla się zeszło, choć w tak późną noc dowiedzieli się o jego przybyciu. Ściskając zaś Paulego dziękował mu, iż mówiąc do niego, mówił po włosku, bo go uraczył mile tym głosem rodzinnéj mowy.

— O miła to mowa, rzekł Pauli, jest i dla mnie, bo choć zrodzon na polskiéj ziemi, to włoskiéj ziemi miasto Brescia ojca mi dało.

Po tem zapoznaniu i powitaniu, zaraz się rozeszli mając wzgląd na późną noc i znużenie Ochina. A rozeszli się uradowani obietnicą, iż jutro przed południem usłyszą jego nauki.

Z nowiną tą od rana biegali różnowiercy jedni do drugich, i do wiedzy wszystkich doszła, bo jakby processyą szli heretyki do swego zboru na Szpitalną ulicę. Już na godzinę przed przybyciem Ochina tak go napełnili, że nietylko w sali, ale na schodach i w sieni peł-

no ich było, bo kiedy go słyszeć nie mieli, chcieli przynajmniéj widzieć.

W pięknym rydwanie zajechał przed zbór Ochin. — Był on wcale inny jak wczoraj, kiedy ze strachu drżał gdyż w jego oczach teraz tryumf, jakby z odniesionego zwycięztwa malował się, a bladą twarz rozpłomieniał ogień radości. W postawie zaś jego była ta szlachetność i powaga, co poszanowanie u wszystkich zjednywała. Gdy przeszedł sień i wstąpił na kilka schodów, zatrzymał się i przemówił, wywodząc żale, iż w Krakowie który jak wie, jest drugim Rzymem dla licznych a okazałych kościołów, oni w tak ciasnym domku swoje nabożeństwa odbywać muszą. W pocieszeniu przywiódł ich pamięci stajenkę Betleemską w któréj się narodziło Słowo Boże, Syn Przedwiecznego Ojca i daléj to im prawił:

Stajenka ta niebyła odpowiednia godności tego, który się w niéj narodził, aby umrzeć dla zbawienia ludzkiego. I krzyż, na którym umierał, stał pośród krzyżów łotrowych. Więc i my prawi wyznawcy nauki Chrystusa w téj n széj stajence, w pośród krzyżów łotrowych dążmy do spełnienia dzieła wielkiego, bo wyswobadzającego świat z pod przemocy katolicyzmu. Pomnąc zaś, że życie doczesne jest bolesném porodem chwały wiekuistéj, nie zrażajcie się żadnemi przeciwnościami, tak jak ja niezrażam się témi cierpieniami, które prześladowcy na mnie tak zsyłają, iż wszystkich Apostołów cierpienia z mojemi porównać się nie dadzą.

Ochinowe to pierwsze choć jego pychę, zdradzające odezwanie się publiczne w Krakowie zaraz mu serca słuchaczów zjednało i powiodło ich w takie uniesienie, iż porwawszy go na ręce wnieśli aż do katedry. Postawion w niéj ręce złożył, oczy w górę podniósł i przez chwil kilka był jakby w rozmyślaniu zatopion, a wreszcie się odezwał głosem nieopisanéj przyjemności i tak silnym, że aż w sieni był

słyszanym. Wprawdzie téż w niéj jak i w sali wielka cichość panowała, gdyż wszyscy z chciwością każde słowo jego chwytali, jak mannę Izraelici na puszczy. Czarnémi kolorami odmalował im obraz nieszczęść w jakie popadli ludzie, żyjąc na łonie kościoła katolickiego, a przeciwnie najżywszemi kolorami przedstawiał szczęście, jakiem darzy nowa ich wiara. Prawiąc to okazał Ochin, że mieszczon być powinien w poczecie tych ludzi, o których rzec można to potwory pod względem moralnym, a znakomici pod względem daru wymowy i zdolności umysłowych. Gdyż jak z jednéj strony Ochina przewrotność i chytrość przestraszała, tak z drugiéj strony jego bystrość umysłu i obszerność nauki podziw i uwielbienie dla niego zjednywały. Ale takim podwójnym człowiekiem okazał się Ochin nie zagorzałym kacerzom, ale tym którzy niewyrzekając się wiary ojców, idąc za panującym zwyczajem uczęszczali do Zboru nie bojąc się Boga, tylko bojąc się ludzi, którzy za wielkiego prostaka każdego mieli, co Zbór mijał doń nie wstąpiwszy.

Jak w dniu tym, tak i w następnych trudno było dostać się do Zboru, aby go usłyszeć. Gdyż bezprzesadnie twierdzić można, że tylko duchowni ubraniem swojém powstrzymani nie zaspokoili ciekawości wiodącéj tu wszystkich. A choć go prawiącego po włosku wielu nierozumiało, to przynajmniéj radzi byli widzieć tego powszechnie nazwanego wtedy w Krakowie *Oczka*, dla oka wady, stwierdzającéj tę prawdę — Łys — Zéz — Kuternoga, jeżli się uda, łaska Pana Boga.

Zbytną rzeczą prawić w jak bolesny smutek popadło duchowieństwo w Krakowie, słysząc o przybyciu Ochina i o tych, że tak powiem, jego tryumfach; gdyż dość wiedzieć, że przybywała mu nowa a silna przeszkoda w usilnéj jego pracy podejmowanéj tak jak Bóg żąda w miłości i zaparciu się własném. Powiemy więc tyl-

ko, że w tym bolesnym smutku pogrążony naczelnik tego duchowieństwa Biskup krakowski X. Filip Padniewski, postanowił przedewszystkiem dołożyć wszelkich starań, aby podźwignąć Ochina z upadku tak ciężkiego. Kogóż mógł zawezwać do téj pracy, jeżeli nie Xiędza Inkwizytora Melchiora Mościckiego, tego słynnego z nauk i gorliwości Dominikana, który już w roku przeszłym jak tylko posłyszał o jego do Krakowa przybyciu, ogłosił drukiem list do Ochina, wzywający go do upamiętania.

Wstąpił X. Inkwizytor w bezbożnika tego mieszkanie i znów powtórzył mu owe słowa listu swego. „Niesteˮty czemuż obalasz coś dźwignął? Trwonisz coś zebrał? „Przykładem twoim z błędnego toru zprowadzonych, „znowu tymże przykładem do rozwiązłego życia kie„rujesz? Bezwstydnie grzesząc, bezwstydniéj jeszcze „się usprawiedliwiasz. Codzień złość do złości przy„kładasz i nad przebraną miarę raz wraz okropniéj „przesadzasz! Pokaż się prawdziwym kościoła synem, „znajdziesz w nim czułą matkę, która cię do swojego „łona przytuli“.

Lecz taka w duchu Apostolskim mowa nietrafiła do serca Ochina, a słowa jego w odpowiedzi usłyszane przekonały X. Inkwizytora, że niepochlubi się znów zdobyciem i tego grzesznika, a co uważał za większy dla siebie zaszczyt, aniżeli zdobycie całego świata.

Nieprzestawał ten zbieg z pod chorągwi krzyża pod chorągiew rozkoszy, swym głosem złowrogim i ziejącym zepsucie, wywoływać w Krakowie wszystkie niecnoty potępione przez Ewangelią. Ale mu to nie dość było, chciał jeszcze obałamucić i ukoronowaną głowę naszego Zygmunta Augusta. Wiedział on, że kiedy puścił w świat swoje różne pisma powstające przeciw zasadom i nauce Kościoła katolickiego, że wtedy niecna Królowa Bona, co niejedno złe do Polski przywiozła, i

te jego pisma sprowadziła i obdarzyła niemi swego spowiednika Franciszka Lismanina, a Franciszkanów polskich Prowincyała. Wiedział także Ochin, że temi pismami powiedzion Lismanin na potępienie, starał się pociągnnąć za sobą i króla Zygmunta Augusta, jakoż już go o tyle struł, iż około r. 1553 wysłał go za granicę dla zniesienia się z Kalwinem o zaprowadzenie reformy religijnéj w Polsce. Ale nie wiedział Ochin że łaska Boska oświeciła dobrego Augusta, bo gdy doszła wiadomość, że Lismaninowi najpilniejszém było zrzucić mniszy kaptur, a zostać żonkoszem w Genewie, wtedy poznał, że ten jego uwodziciel i nauczyciel był jednym z tych nowotworców religijnych, którzy niczem innêm nie są, jak tylko ludźmi mającymi za główny cel używanie rozkoszy a rozpustę swoją chcą okryć płaszczem religii, ale takiéj religii, któraby niebyła wędzidłem powstrzymującém wybryki umysłu i serca, ani wiodła do ciągłych ofiar i poświęceń, jak nasza religia rzymsko-katolicka.

W téj niewiadomości żyjąc Ochin, właśnie to, przez co August pozostał wiernym synem kościoła, uważał za najlepszy środek jego obałamucenia i mniemał, że pragnącego zerwania związku małżeńskiego z Katarzyną, córą króla Ferdynanda Rzymskiego, skorym go znajdzie, do pójścia za jego radą. Uważał ją za wyswobadzającą go ze zmianą religii z tych ciężkich dla Augusta związków, zawartych bez poprzedniego wysądowania, że jak mowa, tak zwyczaje i obyczaje, skłonności i nawyknienia inne są w Katarzynie od tych, które August miał dane sobie po części od natury, rodząc się z Ojca Litwina z właściwą im serdecznością, a z matki Włoszki, co jak Rej z Nagłowic mówi mają wichrowate główki. I wiedział jeszcze Ochin, że właśnie pod te czasy znikła zupełnie nadzieja otrzymania tego rozwodu, który powiem choćby to kto za złe wziął, stanowił

może o przyszłym losie jego a może i Polski, bo Bóg wiedzieć raczy, czyliby rozwód ten nieodwrócił od Ojczyzny naszéj téj strasznéj klęski, jaką zapowiada nam ten tron elekcyjny.

Lecz wracając do projektów Ochina, powiémy, iż znając, bo nieraz doświadczał, jaki wpływ wywierał w rozmowach swą wymową przenikającą a powabną, niczego bardziéj nie pragnął, jak rozmowy z Augustem. A tu jakby na przekór jemu niebyło nawet nadziei przybycia króla do Krakowa, bo w Parczowie Panowie i Ziemscy posłowie Bóg wie, jak długo sejmować będą. Więc z Paulem w radę, co robić i uchwalono, że niemożna czekać z założonemi rękami, ale trzeba działać i korzystać z tych zdarzeń, które w rozpaczy pogrążonego Augusta rzucić mogą w ich szatańskie objęcia.

Bo cóż zrobić nie gotów ten, który woła z ciężką boleścią i łzą nawet pomimowolnie cisnącą się w oczy, jak wołał król August do Commendoniego podówczas Legata w Polsce Ojca ś. Piusa. V — „Wolałbym umrzeć, niż żyć z tą kobietą! Któż z prywatnych ludzi „w stadle małżeńskiém, jak ja, jest nieszczęśliwym? „Nie mam żony, przecież więzami małżeństwa skrępo„wanym zostaję. Prócz mnie niepozostaje i jednéj la„torośli z królewskiego szczepu! W sile wieku i zdro„wia nieszczęsny widzę zniszczoną wszelką nadzieję „potomstwa, co jedyną było i domu i życia pociechą i „jedyną Rzeczypospolitéj podporą. Ten ród Jagiełłów „na zawsze przecina się i gaśnie ze mną. I w téj tak „ciężkiéj niedoli ni sposobu ni końca nie widzę: z żo„ną bezżenny, mąż bez żony, dziwowiskiem małżeństwa „we wszystkie wieki w oczach świata zostanę“.

Więc kiedy się zgodzono, że z tak rozpaczającym Augustem Ochin ma widzieć się i rozmówić, zaczęto

radzić, jak on tę drogę do Parczowa odbyć ma i jak tam działać.

I mieli nad czém radzić, bo nie taili przed sobą, że aby spełnić ułożone projekta, nie dość jest pokonać wszelkie zawady, jakie Ochinowi stawiać mogli katolicy, ale co gorsza i heretycy. Gdyż trza wiedzieć, iż gdy oni w Polsce w katolikach nie znaleźli swych prześladowców, stali się sami swymi prześladowcami i wówczas szczuli jedni drugich, aby na tym sejmie Parczowskim domagać się wypędzenia z Polski Aryanów. Tych co się nazwali Braćmi polskimi, a byli braćmi czartowskimi spłodzonymi u nas przez Fausta Socyna Włocha, który na ziemi krakowskiéj, uświęconéj tvlu świętych zwłokami w szale obłędu a w zapędzie oszustwa, targnął się na wypowiedzenie należnéj czci Trójcy świętéj! Który tę ziemię naszą skalał swemi zwłokami, umierając w swéj wsi Łuklawice. A właśnie pod jego chorągiew tak Ochin jak Pauli zaciągnięci, znani byli jako Aryanie walczący przeciw Bogu w Trójcy Św. jedynemu.

Radzić więc mieli co o téj podróży do Parczowa, ale nic przez kilka dni uradzić nie mogli. — Trudno bowiem dojść końca z takim człowiekiem, coby to chciał, ale się boi, a takim był Ochin, gdyż niebezpieczeństwa doznane nie hartem jego duszę przejęły, ale tchórzostwem. Przeto w licznych propozycyach Paulego niewidział on dla swéj osoby dość bezpieczeństwa. Lecz wreszcie po długich namowach przystał na jechanie do Parczowa z udającym się tam panem Hieronimem Mazzi, zawiadowcą poczty włoskiéj J. K. Mci.

Chętnie ten Wenecyanin wziął z sobą swego rodaka, bo go Pauli okłamał, iż jedzie wezwan od Barbary Giżanki królewskiéj kochanicy, a on temu dał wiarę, bo wiedział że Ochin i Giżanka to para godna siebie, która dla dogodzenia swym żądzom i namiętnościom żyła

w kacerskiéj matni. — Tymczasem Pauli dał tylko Ochinowi list do Giżanki, w którym prosił, aby wystarała się o rozmowę z królem. Wreszcie gdy Ochin pragnął przez swoją bojaźń, a jak ją nazwał ostrożność, aby ta podróż była dla wszystkich tajemnicą, więc Pauli po Krakowie ogłosił, że Ochin zajęty jakąś pracą nieprzypuszcza nikogo do siebie. I Mazzego znowu okłamawszy, że Giżanka żąda, iżby nikt o jéj widzeniu się z Ochinem niewiedział, skłonił go do tego, iż przyrzekł dołożyć wszelkich starań, aby niedowiedziano się z kim wyjeżdża i kogo wiezie.

I szczęśliwie się to udało, bo nikt o tém się niedowiedział. Dopiero ósmego dnia obiega miasto nowina że Ochin jest w Parczowie, a to z namowy Paulego i tam obałamucił króla Augusta, swoją przewrotną nauką, wykładając mu, że prawa Boskie nie mogą być sprzeczne z wymaganiami natury, więc, gdy na jednéj żonie mąż poprzestać nie może, wolno mu pojąć więcéj. I, że już do tego przyszło, iż król postanowił nietylko iść za jego radami, ale że dokłada wszelkich starań, aby na sejmie zniesione było prawo karzące utratą czci i życia biorącego drugą żonę, a było zaprowadzone w Polsce wielożeństwo.

Puszczona w miasto taka nowina w moment do wszystkich uszów doszła, ani jéj trzeba było ogłaszać przy dzwonku Ratusznéj wieży. I większa część wierzyła że tak jest, bo najrozsądniejsi myśleć mogli: to do prawdy podobne. Prawdopodobném zaś b ło gdyż katoliki mówili — U Ochina nie tak jak u nas Sakrament Małżeństwa jest wielki w Jezusie Chrystusie i w Kościele. A jako Chrystus ma jednę Oblubienicę swoją to jest Kościół rzymsko-katolicki, i ten jeden ma się utrzymać na wieki nieskazitelny, nienaruszony, tak też i my katolicy przy Sakramencie Małżeństwa jednéj oblubienicy zaprzysięgając wiarę, mamy ją dotrzymać,

aż do zgonu. Więc Ochin, co się targnął na nasz Kościół Rzymski tę jedyną Oblubienicę Chrystusa, czegożby się lękał targnąć na oblubienicę człowieka i zważać na to, że niemi są kobiety, które Bóg przez wcielenie i Boskie macierzyństwo Maryi podniósł na zaszczytne stanowisko u Chrześcian.

Heretyki zaś świadomsi, jego spraw mówili — Jeżeli Ochin odważył się myśleć, pisać i drukiem ogłaszać, że wielożeństwo jest Chrześcianinowi dozwolone, to cóż dziwnego, że króla na to namawiał. A wraz katolicy i heretycy z krzywdą naszego króla wierzyli w ten wieczną hańbą okryć go mający upadek, pomnąc na jego przykry los w małżeństwie, na niedozwolony rozwód, a to wszystko przy znanéj im uporczywości i zaciętości tego króla.

Własna żona Paulego była mu pierwszą zwiastunką téj głoszonéj po mieście baśni. Usłyszał ją jakby przez tubę bo wrzaskliwy głosik jego małżonki, gdy była w złości, wyrównywał głosowi tuby. A właśnie do najwyższego stopnia jéj złość dochodziła, gdyż jak wyszła na targowicę po sprawunki, znane i nieznane jéj kobiety prawie opadły ją i chórem zapytały — Czylito prawda o tem wielożeństwie? A gdy powiedziała, że o niczem nie wie, obruszyła na siebie wszystkie i usłyszała wśród złorzeczeństw i przekleństw rzucanych na jéj małżonka, że i ona jak poznają spikła się z mężem na ich poniżenie i że za to tak ją, jak i jéj dzieci zemstą swoją ścigać będą.

I kto wie, na czemby się ten napad na Panią Mistrzową zakończył, gdyby na jéj szczęście idący i widzący to zbiegowisko Hutman miejski nie był przywoławszy sobie w pomoc Ceklarza ratusznego stanął pośród nich. Wywiedziawszy się zaś o co rzecz idzie, gdy niemógł przemówieniem uspokoić rozjątrzonych kobiet, ani użyć swéj władzy do ich rozpędzenia, zoczywszy

między niemi i Panie Rajczynie więc tylko wyswobodził tę ich biedną ofiarę, wyprowadzając ją z pośród nich i odprowadzając do domu.

Z takiego to tańca uwolniona Paulego połowica nic dziwnego, że mogła w ówczas opowiedziawszy mu co ją spotkało, tubowym głosem zawołać na niego — Ty głupcze, czegoż się chcesz dowojować — Ja sama gdyby to prawdą być miało oczy bym ci wydrapała — Ja sama.... Lecz już niedokończyła, co powiedzieć miała, bo złość jéj przeszła, że tak rzekę w wściekłość, w któréj kobieta niema słów tylko płacz, a który właściwiéj u téj kobiety nazwać bekiem trzeba. I bekiem tym tak głuszyła słowa uniewinniającego się małżonka, że on na niezwykłą mu odwagę zdobywszy się zaklął i umilkł. Milczeć gdy kobieta ledwo nie pęka ze złości, jestto skrapiać wściekłego wodą: to też po kilkochwilowem tem milczeniu, widziałeś ją w spazmach leżącą na ziemi. Nie przestraszył się tem Pauli, gdyż oswojon był z taką słabością téj złośnicy, więc ją tylko położył w łóżko i czekał, aż spazm minie, a nastąpi po niem osłabienie, czyniące ją zwykle powolniejszą.

W tym stanie gdy była, dopiero powiedział jéj, że sądzi, iż nieprzyjaciele ich ogłosili taką nowinę, a to jakoby wyszłą z ust Mazzego, a on wrócić tak prędko niemógł z Parczowa, a gdyby i wrócił, to wraz z Ochinem, a przynajmniéj z jego listami. I że trzebaby mu iść w dom Mazzego, żeby się o tem wywiedzieć, lecz lęka się, aby go na mieście, coś podobnego jak jego małżonkę nie spotkało. Więc umyślił wysłać tam na zwiady mieszkającego także pod Barany, Scypiona szewca.

Jakoż wkrótce udał się ten poseł do Mazzego, a zastawszy go powiedział, że Pauli się dowiaduje, co się z Ochinem stało. Dość było temu porywczemu Włochowi usłyszeć te dwa nazwiska, żeby zaraz zczerwie-

niawszy, a nadąwszy się, nie przyskoczył do przelęknionego tem biednego szewca, a uchwyciwszy go za ramię, i trzęsąc nim, wykrzyknął:

— Powiedz temu szatanowi, żeby nieważył się nasyłać do mnie swoich posłanników, a tem więcéj sam w dom mój przychodzić, gdyż niewiem cobym z nim zrobił, za to co on mnie zrobił, wysełając z tym Ancychrystem Ochinem.

Scypio usłyszawszy to i pomyślawszy, po co mnie budzić na się licha — nic mu nie odpowiedział i już się za drzwi chciał wynosić. Wtem Mazzi przypomina sobie o będących u niego rzeczach Ochina, przeto powstrzymuje Scypiona, a oddając mu zawiniątko z temi rzeczami, tak mu prawi:

— Zwróć te Paulemu graciele po Ochinie i powiedz, że on tak zwaryował jak Lismanin, co pierwszy chciał zheretyczyć króla Augusta i jak on w roku przeszłym rzuciwszy się w studnię utopił się, tak Ochin gdy to samo chciał teraz zrobić z królem, podobnież życie zakończył topiąc się w rzece Piwonii pod Parczowem.

— A to kara Boska! zawołał Scypio.

— Taka kara dosięgnie i innych uwodzicieli i Paulego, powiedz mu to wszystko ode mnie. A teraz wynoś się z domu mego, bo się lękam, aby rzeczy tego potępieńca nieszczęścia mi jakiego niesprowadziły.

Pauli z boleścią i żalem wysłuchał Scypiona powtarzającego słowa Mazzego, i przerzucił przyniesione przez niego rzeczy, a widząc całą przyodziewę Ochina, zawołał:

Ta suknia i te pieniądze w jéj taszce mówią, żeśmy stracili najpotężniejszy taran, burzący kościół katolicki. Paulego zaś małżonka dodała, spoglądając ze łzami na dzieci Ochina. — A one straciły ojca! — I jako jedna z tych kobiet co to w złości i czułości nie mają miary, zaraz zaczęła ściskać i całować te dzieci, a skropiwszy je rzęsistemi łzami, zawiadomiła o śmierci ojca. Zostaw-

my ją ściskającą i pocieszającą niedające się utulić na tę wiadomość nieszczęśliwe sieroty. Zostawmy i jéj małżonka zakłopotanego i niewiedzącego, jak pogodzić ma te dwie podług niego tak przeciwne sobie wiadomości, namówienia króla do wielożeństwa i téj śmierci rozpaczą Ochinową przyspieszonéj. Chodźmy zaś do miasta i posłuchajmy co się w niém działo, gdy te dwie nowiny obiegały jego mieszkańców. A że krótsza rzecz ze śmiercią Ochinową więc powiemy, że jedni nad tem myśleli co myślał Pauli, drudzy, a to ci, którzy niechcieli uwierzyć w ogłoszone wielożeństwo, do wieści o śmierci Ochina dodali, że on za podobne namowy skarcon od króla w rozpaczy życie sobie odebrał. A najwięcéj było takich, jakich masz na świecie, co radzi dawali wiarę obydwom nowościom i utrzymywali, że mógł Ochin namówić króla na to szaleństwo i sam do reszty oszaleć i odebrać sobie życie. I dodamy do tego, że tak katolicy jak i heretycy wyjąwszy Trydeistów i Anababtystów niebyli zasmuceni śmiercią Ochina, bo on był im solą w oku.

Ale nowina o wielożeństwie, jakby trzęsienie ziemi popłoch i trwogę rozniosła po całym Krakowie, a wstrząsły niem kobiety, gdyż można niemijając się z prawdą, powiedzieć, że niebyło domu w Krakowie, w którymby choć nie sam dom, ale w nim ten pokój domowy, stanowiący szczęście rodzin, niebył wstrząśniony a to tem wszystkiem co wielożeństwo zrodzić mogło w sercach i głowach kobiet, pobudzając je do skarg i lamentów. A nawet i u tych szczęśliwych żon; ślepo wierzących w miłość swoich małżonków wkradająca się obawa, że tę miłość z drugą podzielić może będzie trzeba, zachmurzała horyzont domowego ich pożycia.

Lecz wieść was w te wszystkie domy, abyście się o tem, co piszemy, przekonali, nie trzeba nam. Dość będzie, gdy was poprowadzimy na te jakby sejmikowe

narady kobiet odbywające się wówczas na rynku Krakowskim w stojących trzystu pięćdziesięciu kramach i niemal w takiéj liczbie straganach. Wreszcie i w tych Bogatych Kramach wystawionych przez świętobliwą naszą królową Jadwigę dla mieszczek krakowskich z obowiązkiem modlenia się za pomyślność kraju.

(*Dokończenie w następnym zeszycie*).

# PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

---

Teorya postępu zastósowana do tworów fantazyi. — Wyższość pisarzów współczesnych twórczym epokom. — Epoka Mickiewicza przedłuża się w Odyńcu. — *Felicita* Dramat. — Szczęśliwe uniknięcie kontrastów Rzymskiego zepsucia i Chrześciańskiéj cnoty. — Treść pierwszego i drugiego aktu:

W chwilach, którebym nazwał twórczemi, a które przychodzą w dziejach literatur czasem raz tylko, czasem kilka razy, wyrabia się jakaś tajemna potęga ducha rozdzielająca się na głowy stojące bliżéj ogniska skupiającego w sobie najwyższą treść i siłę epoki. — W następstwie zazwyczaj słabnie ta potęga duchowa, a choć się zjawiają utwory wykończenie doskonałéj formy, czyli utrzymujące się wszystkiemi tajemnicami sztuki, jednakowoż brak im oryginalnego, twórczego pierwiastku. Już dziś nawet moglibyśmy prawdę tę stwierdzić zastósowaniem w naszéj literaturze na pisarzach występujących po epoce Mickiewiczowskiéj, jak na tych co jeszcze z téj epoki pozostali. Nie jest to żadne uprzedzenie się dla pewnych imion, lub rzecz smaku, ale

rzeczywista wartość tych płodów, które wyniańczyły nową generacyę piszących. Samo przemijające wrażenie, jakie robią ich utwory chociaż nacechowane niezmierną biegłością wierszowania i wyzyskiwania tajemnic i kombinacyj artystycznych, najwymowniéj świadczy, że intuicya, i ciepło, słabną w potomstwie apollinowem. Jeżeli jeszcze co zaświeci, co rozgrzeje i porwie, to tylko taki utwor co wyjdzie z pod pióra owego grona należącego do epoki litewskiego wieszcza przedłużającéj się do dziś, i utrzymującéj naszą literaturę na pewnéj wysokości....

Podług niektórych pojęć o postępie, powyższe twierdzenie policzonoby do ubliżającego bluźnierstwa; lecz jak wiadomo do prawa postępu wcale niestosuje się teorya o przyspieszonym biegu ciał, ale raczéj teorya światła i cieplika. Im się bardziéj oddalamy od głównego ogniska, tem większy chłód ogarnia.... Ogień w odbiciu się niegrzeje.

Wychodząc z powyższéj uwagi znajduję wymowne jéj potwierdzenie w świeżym utworze A. E. Odyńca. Pisarz ten, przyjaciel Adama, wspólnik prac niektórych, acz nieubiegający się o współzawodnictwo z wieszczem *par excellence*, umié w kreacyach swoich utrzymać cząstkę tego wielkiego ducha jaki ożywiał wieszcza i jego epokę. Co tylko wyjdzie z pod jego pióra nosi to niestarte piętno dające się wyśledzić nawet tam, gdzie świetność pisarskiego talentu, siły ducha i czucia, niedosięgają wysokości wymaganéj po arcydziełach. Głęboką prawdą chrześciańską, przepojony duch i serce Odyńca, wyciska na jego utworach piętno nadające im wartość wewnętrzną i odróżniające od tylu innych pisarzy co hołdując samemu bożyszczu sztuki, poprzestają najczęściéj na powierzchownych przymiotach, znachodzących chwilowe tylko powodzenie i uznanie. Słowem jest to pisarz z treścią, mąż wyrobiony wewnętrz-

nie; dla tego myśli jego mają siłę zapładniająca, zostają w czytelniku, i zmuszają niejako łamać się z niemi, roztrząsać w sumieniu, i jeśli nieprzyznawać im zupełnego zwycięstwa, przynajmniéj wyciskać dla nich szacunek, jak dla wszystkiego co dobre i piękne. Nie jest to pisarz wstrząsający światem wyobrażeń, z rzędu tych co wszystko ciągną pod pręgierz opinii, co serce biorą na próby przysłuchując się kiedy ma pęknąć, co uniewinniają każdą namiętność, a zwycięstwo nad namiętnością poczytują za brak temperamentu, czyli raczéj niewierzą, aby zwycięstwo zdało się na cokolwiek — przeciwnie, u niego panuje cisza i spokój siły wewnętrznéj, a w blasku świętéj prawdy dającéj mu natchnienie, nawet szpetności natury zepsutéj, nie rażą swoją potwornością. W tym tu punkcie spotyka się u niego klasycyzm grecki z klassycyzmem poezyi chrześciańskiéj — tamta przez harmonijne uczucie proporcyi i konturów, upiękniała nawet cielesne brzydoty, ta przez uczucie wielkiéj miłości Chrystusowéj, upięknia moralne.

Odyniec w dramacie swoim *Felicyta* ogłoszonym po raz pierwszy przed dziesiątkiem lat, a teraz powtórnie wydanym w Poznaniu, umiał wybornie utrzymać ten wysoki klasycyzm chrześciański, chociaż nasuwała mu się łatwa sposobność skorzystania z wszystkich dogodności kontrastu, przez zestawienie potworności zepsutego społeczeństwa rzymskiego, z zawiązującem się społeczeństwem Chrześciańskiem, tak pełnem niewinności, tak gotowem do poświęceń się, tak bohatyrskiem w prostocie ducha i wiary. — Każdy, mniéj katolicki poeta byłby niezawodnie niepominął tych przeciwieństw; choćby dla tego, że gruby cień szpetności, podniósłby świetne i białe postacie męczenników i niejako uwydatnił ich kontury. Lecz użycie kontrastu, jak w malarstwie, tak w poetycznéj kompozycyi, należy tylko do sposobów i środków któremi rozrządza sztuka, chociaż prze-

to niestanowi saméj treści, i ducha utworu. Poeta przeniknniony wielkiem uczuciem chrześciańskiem, snowa i piękne i szpetne i wzniosłe i niskie obrazy życia, z tego nieśmiertelnego źródła, które ma początek w Bogu a światłość niebiańska cienie i dysharmonie łagodzi; dla téj przyczyny, niepodobna mu robić się artystą potworów natury ludzkiéj w upadku, studiowanych z rzeczywistości z całą drobiazgowością, i z tak gorącem zamiłowaniem, że możnaby nieraz posądzić poetę sztukmistrza, jako piękność i szpetność moralną uważa synonimicznie, jako go nieobchodzi przedmiot podług wewnętrznéj swojéj wartości, ale podług te o, jak poetyczniéj da się na tem tle fantazyować. — Cały grzech tak zwanéj romantycznéj literatury w tem sposobie pojmowania miał swoje źródło; najlepiéj go też wyjaśnia, potępiona dziś, acz bardzo jeszcze uprawiana teorya: Sztuka dla sztuki.

*Felicyta* Odyńca uważana z tego względu ma niezmierną wyższość nad dramatami jakie nietylko u nas, lecz i zagranicą pisano. — Poeta poszedł całkiem inną drogą jaką mu rutyna tak nazwana historyczna wskazywała. Zazwyczaj bowiem pisarz zabierający się do historycznego dramatu czy poematu, niezaniedbuje robić starannych studiów, żeby i bohatyrom swoim włożyć w usta właściwą mowę, i ubrać ich archeologicznie, i wprowadzić obyczaje odpowiedne wiekowi, i osobom fizionomię zatrzymać ściśle historyczną, zgoła w cały ten zewnętrzny przybór wkładana bywa wielka pilność i skrupulatność — co wszakże nieprzeszkadza, że większa część tego rodzaju płodów, bardzo może szacowna pod względem historyczno-starożytniczo-archeologicznym, spada jednak do zera, pod względem twórczości poetycznéj. Są to zazwyczaj kombinacye sceniczne oddawna zwietrzałe, przeżute, tysiąc razy kopiowane, tem niby tylko osłonięte w swojéj nicości, że im dano szaty no-

we, brzmiące historyczne nazwiska i dekoracyę malowniczą. — Autor *Felicyty* uniknął tego wszystkiego, a jednak nikt mu zarzucić niemoże, żeby dramatyczny jego obraz męczenników kartagińskich niemiał głębokiéj historycznéj cechy w prawdzie serca ludzkiego.

Ani wątpić, że zamierzywszy utworzyć Felicytę, musiał poznać ówczesną historyę Rzymu, stan umysłów, doktryny filozoficzne, obyczaje pogańskiego społeczeństwa; jak nawzajem, co było główniejszém zadaniem, przejąć się opisami prześladowań Chrześcian na początku 3go wieku w Afryce, i wyznaniami pochodzącemi od samychże męczenników jak św. Perpetua i Satur, niemniéj oprzeć się na świadectwie Tertuliana, który był świadkiem męczeńskiéj ich śmierci poniesionéj w cyrku kartagińskim. Poeta Chrześcianin przejęty Boskim duchem tych świętych ofiar za prawdę wiary, wcielony niejako w ich życie i myśli, rozlewa odblask swéj miłości nawet na katów, i robi ich raczéj ślepemi, posłusznemi narzędziami władzy, niż przeciwnikami potężnymi przekonaniem i wiarą w nieomylność i zbawczość pogaństwa. — W tym też względzie schwycił mistrzowsko ducha epoki. W Afryce, oddalonéj od Rzymu środka władzy Cezarów, tępiała owa zawziętość nieubłaganych prześladowców, duch ogarniający ojczyznę Orygenesów, Tertulianów, Cyprianów, Augustynów, musiał oddziaływać i na wykonawców srogich ukazów rzymskich.

Wreszcie w owéj epoce stan umysłów w państwie rzymskiem miał już podwójny charakter różniący się między sobą. W małéj liczbie zaczęła się objawiać przeczuciowo jakaś niepewna wiara, jakaś mistyczna nadzieja w przyszłość niezależną zupełnie od woli i siły ludzkiéj — były to dusze wybrańsze, po części wtajemniczone. — Większa zaś massa ogółu oddawała się samym bezowocnym żalom za straconą przeszłością, tra-

pił ją fatalizm nieuleczony, myśl rospaczy na widok nieuchronnego upadku.

Ten podwójny stan umysłów, maluje się jeszcze w poezyjach Wirgilego. Kiedy jest wierzący, natchniony, kiedy jak prawdziwy wieszcz cudownym instynktem poety zbiera rozsiane prawdy śpiewane przez wyrocznie rzucane na wiatr z Sybillińskich lochów — wtedy zwiastuje początek nowéj ery w dziecięciu „które matka wydała na świat po dziesięciu miesiącach boleści, widzi on drogiego bogów potomka, i mieni go „*wielkim Jowisza przyrostem*“ — Wtedy w przepysznem uniesieniu wzywa wszystko stworzenie, aby oddało pokłon temu dziecku bogów — i już widzi „świat chwiejący się kulistym ogromem, i wszystko cieszące się z wieku co teraz nadchodzi“. — To był rzeczywiście proroczy wybuch, lecz raz tylko, bo już potem nierozumie głosu wyroczni, i zapadając w ciasną ciemnotę natury ludzkiéj, przeraża się fatalnością, która wszystko i świat i ludzi pędzi ku gorszemu. W Georgikach losy ludzkości porównywa do łodzi którą siła wioślarzy z trudnością tylko pcha przeciw prądowi rzeki; niech tylko na chwilę ręce ustaną, a prąd porywa czółno, i siła fali rzuca je wstecz daleko....

Takie poddanie się fatalizmowi, przy zwątpieniu w siebie, wyrodziło jako konieczne następstwo, ową rozpaczliwą rospustę, ową zwierzęcość obok wyrafinowania materyalnéj cywilizacyi; wybitne cechy przy upadku społeczeństwa pogańskiego. Obrazy to nęcące i jaskrawe — poeta mógł tylko siągnąć po nie, aby niemi upstrzyć swój dramat i efektowemi kontrastami uderzać i oślepiać czytelnika. — Lecz idea dodatnia chrześciańska przemogła i wszystkie te ujemne strony umiała powlec pięknotą boskiéj nauki..

Dla téj przyczyny dramat ten przepełniony pięknościami pierwszego rzędu, zalecający się czystością i

wdziękiem postaci wyprowadzonych na scenę, niemógł sprawić tak ogólnego wrażenia, jak niejedna rębacko-pijacka gawęda — co nieprzeszkadza zająć mu bardzo wysokie i zaszczytne miejsce w utworach oryginalnych jakiemi poszczycić się może nasza literatura.

Sama świętość przedmiotu użytego w dramacie, już-by wstrzymała mię od rozbioru pod względem prawideł poetyki i estetyki, bo zawsze się przypuszcza i wierzy, iż kto taki przedmiot obiera, nie robi sobie artystycznéj zabawki, ale jak w modlitwie, składa najczystsze swoje uczucia, przekonania i wierzenia Panu Bogu w ofierze.

Słowa autora wyrzeczone w przedmowie jeszcze mię więcéj utwierdzają w tem przekonaniu. Zaczyna on od wyrazów: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! i dodaje: „Ta myśl i to uczucie (na chwałę Chrystusa) przewodniczyły téj pracy i w tym duchu i w tem uczuciu przyjm ją i osądź Chrześciański czytelniku.“ Pokazuje się, że nieżąda innego sądu, tylko takiego, coby wykazał uchybienia niezgodne ze świętością przedmiotu; że zaś tychże trudno dopatrzeć w utworze pełnem namaszczenia religijnego i wzniosłości duchowéj, przeto winienem pominąć drobniejsze, podrzędne niedoskonałości, wynikające ze zbytniego rozmiłowania się w wyczerpywaniu argumentów świadczących o nieomylności wiary naszéj, przez co powstały w niektórych scenach niepotrzebne dłużyzny, zapuszczania się w dogmatyzowanie i dydaktykę wstrzymujące pochód i akcyę dramatu. Poeta wyznając na wstępie, że dramat ten dla saméj treści, tak przeciwnéj dzisiejszemu duchowi teatralnych widowisk, niebył pisany dla sceny — już tem wyznaniem chciał odsunąć od siebie zarzuty jakie możnaby mu zrobić; chociaż z drugiej strony, nieby nieuwłaczało Felicycie, żeby ją był w doskonalszéj formie i proporcyach wykończył, tem więcéj że niedostatku nie-

widać, ale owszem zbytek pochodzący z szlachetnéj chęci wypowiedzenia tych wszystkich myśli i prawd jakie się nasuwały poecie przejętemu wielkością i świętością przedmiotu. Sama natura rzeczy tak wzięła nad nim przewagę, że się jéj poddał, niemyśląc wcale czy wdzięk i harmonia artystyczna natem nieucierpi — wszakże względ konieczny zrobienia wrażenia silnego na czytelniku, uniesienia go w świat tych ideałów doskonałości moralnéj i poświęcenia się, powinien był przeważyć nad szerokiem rozwodzeniem się i wykładem tajemnic i prawd chrześciańskich które i systematyczniéj i ściśléj i zupełniéj są wyłuszczone w księgach poświęconych téj nauce. Dwóch celów naraz ścigać niemożna, bo się z obydwoma można minąć. Nieśmiem jednak powiedzieć, żeby Felicytę zarzut ten dotykać mógł w całéj obszerności; ale to pewna, że większa ściśliwość niebyłaby zaszkodziła jéj wewnętrznéj wartości, a czytelnik łatwiéj ulegałby wpływowi cudownego uroku jakim tchną te wzniosłe postacie kartagińskich męczenników.

O całym tym utworze niepodobna zdać inaczéj sprawy, tylko przebiegając treść jego, jak się sama rozwija, scenami i aktami. — Rzecz dzieje się w Afryce, w Kartaginie na początku 3go wieku za panowania Cesarzów: Gety i Karakalli. Prokonsul Afryki Olimpiusz wita powracającego z Rzymu prefekta Kartagi a osobistego swego przyjaciela Aspera, i dowiaduje się niepokojących dla siebie wieści: że dwór Cesarski nie jest zadowolony z jego zbyt łagodnych rządów w Afryce; niejaki Vulpiskus służalec Karakalli a zacięty wróg Olimpiusza, tak uprzedził przeciw niemu obu Cesarzów, że wydali edykt upominający go o surowsze postępowanie, mianowicie z Chrześcianami; co więcéj, ten sam Vulpiskus za chwilę stanie w Afryce z owym edyktem, i będzie miał oko na rządy Olimpiusza wzbudzające podejrzenie. — Ta wieść napełnia Olimpiusza

przerażeniem — przyznaje się Asperowi, że niepojmuje za co Chrześcianie cierpią tyle prześladowań, bo on znając ich niewinność, niemoże przenieść na sobie tych okrucieństw

I nieraz w myślach, sam z trwogą się prawie
Na sąd przed sobą Prokonsulem stawię.

W tem kapłan przychodzi w imieniu Arcykapłana z zaproszeniem do świątyni na obchód uroczysty zdobycia Kartagi, która

Sama czcić musi pamięć swéj zniewagi...

Na tym obchodzie Olimpiusz zdradza się oburzeniem na słowa chóru opiewającego, że ktokolwiek chciałby być wrogiem Romy, dla tego niema przytułku w całym świecie — myśl buntu przeciw edyktowi budzi się w nim — Kapłani szepczą między sobą, że Prokonsul jest skrytym Chrześcianem — drugi przeczy, powiadając że zakochany w Felicycie córce Arcykapłana. — Tymczasem Felicyta kapłanka Feba ma ogłosić wyrocznie ludowi....

Gdyż właśnie

Samotna, u stóp wieszczego trójnoga
Czeka natchnienia złotéj lutni Boga...

W tem wpada kapłan i donosi Arcykapłanowi, że Felicyta, jego córka, zniknęła z przybytku, że znalazł na ziemi ztargany wieniec i białą zasłonę Dyany.

Na tę wiadomość Arcykapłan domyśla się, że jego córka została porwaną. Któż sprawcą gwałtu?... .tu przystępuje do Olimpiusza:

Słuchaj Rzymianinie!
Słuchaj! wiesz co mam mówić. Gad i żmija
Gdy je zbyt depcą, ma jad, co zabija.
Myśmy zdeptani — lecz krew co w nas płynie.
Wiedz, że dojrzewa ogniem tego słońca,
Która wyradza i lwy i szkorpiony...

Ten wybuch uciśnionego obywatela nieszczęśliwéj Kartagi pełen wielkiego efektu dramatycznego, wprawia w zadziwienie Olimpiusza, który nie wie o porwaniu Felicyty i z trudnością tylko w obec zrozpaczonego ojca uniewinnia się z podejrzenia, aby mu wyznać: że kocha Felicytę, i właśnie dziś postanowił prosić go o jéj rękę. W zniknięciu jéj widzi tylko niepojętą zawiłość, i błaga aby ją odszukał.... W tak gorącéj chwili niepewności odgłos trąb zwiastuje przybycie rzymskiego gońca — Vulpiska!

O! trzebaż losu! by wróg mego życia
Wybrał tę chwilę swojego przybycia!

Woła Olimpiusz w rozpaczy i zaklina Arcykapłana aby spokojnie przyjął gońca Cezarów.

Przybywajacy Vulpiskus odczytuje edykt cesarski karcący Olimpiusza że dopuszcza Chrześcianom odprawiać bezbożne obrzędy — lecz wina przebaczona mu będzie, jeżeli się poprawi, przyczem obwieszcza jako boska cześć ma być oddawana posągowi zmarłego cesarza Sewera.

Ty sam, kapłani i lud cały społem
Palcie kadzidła i bijcie mu czołem.

Kto zaś doniesion byłby do urzędu
Jako uczestnik Chrześcian obrzędu
Ten, prócz palenia kadzidł i pokłonu
Winien poprzysiądz u podnóża tronu
Cześć naszym Bogom i nam posłuszeństwo
Łaska pokornym, śmierć za przeciwieństwo.

Widzimy w tym edykcie zawiązek do nowego prześladowania, przypominający Szyllerowską czapkę Geslera, nie przeto, żeby poeta nasz był naśladowcą téj myśli, lecz że to jedna ze zwykłych form tyranii wystawiających na próbę posłuszeństwo niewolników. — Olimpiusz poddając się woli obu Cezarów, usiłuje tłumaczyć swoje postępowanie z Chrześcianami.

Że łez nie piję, że w krwi się nie pławię,
Toć przecie w żadném niekazano prawie,
Ani mieć chciano Prokonsula celem
By sam był sędzią i donosicielem.

Trudno ścigać winnych kiedy ich nikt nie donosi, kiedy Cesarze: Antonin, Pius i Marek Aureliusz kazali fałszywych donosicieli karać.

Miałożby prawo uwłaczać powadze,
Że się niewinny niekarze w Kartadze,
Lub że w niej świadectw fałszywych narzędzia
Znaleźć nie może, i nie szuka sędzia?

Wreszcie jakiż owoc przyniosły srogie męczarnie i prześladowania? Czyliż Chrześcianie dali się zachwiać temi okrucieństwy, oni,

Oni co ból szczęściem, a śmierć zwą zwycięztwem?...

Polityka nakazywała mu lekceważyć tę sektę, która w prześladowaniu rosła... lecz jeśli inaczéj chce wola Cezarów — ogłasza, że jutro rozpoczną się igrzyska na cześć Septima Sewera, i każdy, ktoby odmówił ofiary śmiercią zginie. Po tej urzędowéj scenie Olimpiusz oddala się z Vulpiskiem — a wbiegają kapłani wyprawieni na odszukanie Felicyty, zdając sprawę, że zbiegłszy wszystkie ścieżki świętego gaju, dowiedzieli się od pasterza jako widział dwie niewiasty, jednę podeszłą, drugą młodą spieszące w stronę pieczar Chrześciańskich gdzie się odbywają tajemnicze ich obrzędy.

Wiadomość ta rozpala zemstę w arcykapłanie; chwyta się tego pozoru tem silniej, że fanatyzm jego rozbudzony został świeżo ogłoszonym edyktem — Wszakże lubo nie przypuszcza, żeby tą młodą niewiastą mogła być jego córka, postanawia iść na czele straży szukać jej w pieczarach, i ten sam rozkaz wydaje kapłanom:

Idźcie! a hasło — „na śmierć Chrześcianie!“—

Na tem się kończy akt pierwszy pełen akcyi, scen patetycznych i silnie zawiązanego interesu.

Akt drugi w pieczarach Chrześcian, zgromadzonych na obrzęd przyjmowania Ciała i Krwie pańskiéj, zaczyna się wspaniałym religijnym hymnem. — Zebraniu przewodniczy Satur biskup kartagiński; oświadcza on swoim owieczkom, jako zewsząd doszły go listy pełne nadziei dla krzewiącéj się wiary.... Deodatus Trybun legii Afrykańskiéj, wybucha całą zapalczywością żołniesza wierzącego w miecz, że czas już położyć koniec tym cierpieniom, że:

Co ma być kiedyś, czyżby ludzką siłą
Niemożna sprawić, aby rychléj było?

Wszakże Rzym coraz popada w niemoc, a Chrześcianie coraz silniejsi i liczbą i duchem — Niech tylko hasło dane będzie, a

Tysiące braci jak dziś na męczeństwo,
Czyżby nie radziéj biegli na zwycięztwo
By z mocy piekieł Niebu podbić ziemię,
I stargać więzy, które ludzkie plemię
Wlec jeszcze musi przez wiekowe lata,
Nim je przegryzie rdza krwi i łez strata?!

Satur, święty biskup, poskramia porywczość młodziana

O Deodacie! tybyś krwią Chrystusa
Chciał tylko spełnić dzieło krwi Brutusa;
Krzyż zrobić godłem krzywd rzymskiego ludu...

Poklasnąć tylko tym prześlicznym wierszom, odającym tak wybornie to usposobienie niektórych umysłów stosujących religię do politycznych widoków... Cała ta odpowiedź Satura należy do najpiękniejszych miejsc; trzebaby ją całą powtórzyć, tyle w niéj głębokiéj prawdy; przynajmniéj ten ustęp przytoczę, gdzie kreśli, co ma czynić Chrześcianin względem swéj ziemskiéj ojczyzny:

.. Chrześcianin w ojczyznie widoméj,
Nie służyć tylko jéj chwale znikoméj,
Lub grzesznéj pysze: lecz całą swą siłę
Czynić ma, Bogu by się stała miłą.
A w jakich cnót ją chce widzieć ozdobie
Takie ma naprzód rozwijać sam w sobie.
W onczas, jeżeli Pan przyjmie te chęci,
W pomoc mu przyjdą aniołowie święci,
Słowom i czynom jego, Boską władzą,

Nad ludźmi siłę Boskiéj woli dadzą.
Aż na wzór jego stanie naród cały
W wieńcu tryumfu i cnotliwéj chwały.

Artaxiusz filozof szkoły Alexandryjskiéj uzupełniając niby zdanie Satura, dodaje że prawda nietylko siłą oręża się krzewi, ale i słowem — że wprzód należy słowem roznieść prawdę między ludźmi, rzucić iskry, które Bóg późniéj w płomień rozdmucha. — Na tę teoryą propagandy, jakże zwycięzko odpowiada Satur. Mylisz się jeżeli sądzisz że ucząc co sam umiesz, staniesz się obrazem Mistrza.

W słowie Chrystusa był czyn i cud razem...
Czyn, Bóg w człowieku; cud, moc Ojca w Synu.
Nam grzesznym cuda niedane; — lecz czynu
Na wsparcie prawdy naszych słów potrzeba
By w nie cud łaski moc swą natchnął z nieba.

Daleko zatem pewniejsza droga

Nie jak wieść drugich, lecz jak iść do Boga.
Bo w onczas każdy prostując w pokorze
Własne swe ścieżki i bratu też może
Dać wzór i radę, lub go w błędnéj drodze
Wstrzymać, miłością nie pychą w przestrodze.

W téj odpowiedzi Satura skreślił poeta całą pychę tych narzucających się mędrków i całą jałowość ich nauki opartéj na gołym rozumie, niechcącéj nic wiedzieć o działaniu Łaski Boskiéj na słowo, nic o pokorze i miłości.

Z wiary w szatana są filozofowie,
Co sami prawdą głoszą się w swém słowie,

I jak kłamliwych Sybilli wyroki
Myśli swe plączą w słów ciemnych obłoki;
Jakby chcąc przez to ujść za Bogów w tłumie,
Że ich niepojmie nikt i niezrozumie.

Obaliwszy zwycięzko argumenta wyznawcy siły materyalnéj i wyznawcy rozumu, zostaje Saturowi trzeci jeszcze przeciwnik Kwintus, młodzian libijski, uosobienie młodzieńczego zapału, który dowodzi mu potrzebę ofiary męczeńskiéj — wszakże, jak powiada, — kiedy wszędzie tylu wyznawców idzie na stosy, lub na pożarcie zwierząt, dla czegóż tak mało ognia w kościele Kartagi, dla czego tulim się pod łaskawe skrzydło prokonsula rzymskiego? dla czego czas marnujemy na modlitwach, rozprawaah i posługach w pielęgnowaniu chorych? Czuję, że niezgrzeszę, jeżeli niepomny na nic, wyrwę się i wyzwę do walki Romę i bogów pogańskich. —

W kim duch mnie równy,— ze mną na męczeństwo!
Im więcéj ofiar, tem bliższe zwycięztwo.

Deklamacyę pyszałka nieoglądającego się na wolę starszych, potężnie ściera Satur.

Że krew młodzieńcza wre ogniem w twych żyłach,
Zkąd śmiesz tak ufać w ducha twego siłach?

Wszakżeś niecierpiał jeszcze, byś marzył tylko o zwycięstwach. — Bóg chce ofiary ale z powinności nie z szału, ofiary z posłuszeństwa, nie z pychy.

Lecz chcieć być nadto w uniesieniu dzikiem
Nie już ofiarą, lecz i ofiarnikiem;

Prześladowania stawać się pochodnią
O! to już nie jest szaleństwem — to zbrodnią.

I w rzeczy saméj gdy przyjdzie chwila próby na ognistego młodzieńca, on jeden się zaprze i niedotrzyma. Wszystkie te trzy postacie są wiernym wizerunkiem trzech głównych typów grających zazwyczaj rolę we wszelkich walkach gdzie idzie o zwycięztwo jakiéj prawdy czy religijnéj czy politycznéj.— Siła, puste gadulstwo, i nierozważna gwałtowność zapaleńca — są to żywioły psujące najświętsze dzieła, bo co chwila ster ich wytrącają z poważnych rąk mędrców pańskich, lub mężów powołanych do przewodniczenia. — Długa ta scena zbyt za długa, bo więcéj w rozumowaniach niż w akcyi odbywająca się, przeszkadza może szybkiemu biegowi dramatu, jak może przeszkadzać rozłożysta kita piór na hełmie rycerza — w boju, chociaż czyni go groźniejszym i okazalszym. Opuścić tę scenę byłaby prawdziwa szkoda, bo to perła w swoim rodzaju — można tylko — było mniéj pokazać w niéj intencyi dania przestrogi teraźniejszości; te same myśli bardziéj przelane w działanie, mogłyby silniejsze wywrzeć wrażenie. Ależ to uwaga tylko, zaiste niewczesna, kiedy całość już związana przemawia tak silnie do duszy czytelnika. Podczas gdy te rozprawy toczą się w gronie Chrześcian, jeden z wiernych oznajmia przybycie dwóch niewiast pragnących mówić z Saturem na osobności.— Satur przypomina sobie sen tajemniczy téj nocy i przewidując nadchodzącą chwilę ciężkich doświadczeń, oddala i błogosławi obecnych. Niewiasty te,— to Felicyta i jej powiernica Kryspina. — Satur przewiduje jakie klęski spadną na jego owieczki przez przybycie córki Arcykapłana, lecz nieodpycha jéj, bo nieszczęśliwa przychodzi wzywać pomocy. Tu następuje długie wyznanie Felicyty, jak będąc kapłanką Dianny ujrzała raz Olim-

piusza w czasie uroczystości i pokochała go całą siłą duszy, jak znowu raz w poświęconym gaju, zadumana przy świetle księżyca, ujrzała go nagle przed sobą — w jednéj chwili spełniały się najpiękniejsze jéj marzenia, ziemia pod nią drżała, wzrok ćmił się... lecz dumny Rzymianin zamiast dzielić jéj wzruszenie, jéj tajemną trwogę — te godła tajemnicze świętości uczuć — z tryumfującem, spokojnem obliczem, jakby zstępujący z nieba bożek po należną mu ofiarę

Pierwszem słowem, śmiałem, poufałem,
Jak pan ku brance: serca mego wiarę
Zabił ku sobie, i z dumnym zapałem
Postąpił ku mnie i podniósł ramiona
Jakby mię z łaski przygarniał do łona....

W oczach Afrykanki odmalowała się wzgarda obrażonéj czystości dziewiczéj, serce czuło się upokorzone... Odtąd zaczęły się straszne dla niéj męczarnie — Sierota, bez matki, nie miała komu zwierzyć swoich udręczeń— Ojciec kochał ją, ale niemógłby zrozumieć, bo owszem mając sobie za szczęście związek z Namiestnikiem Romy, rozniecał raczéj ten ogień w sercu córki i zalecał jéj występować w publicznych ofiarach i ceremoniach. Z początku dogadzało to Felicycie, bo wtedy mogła patrzeć na luby przedmiot — lecz po owem strasznem dla niéj spotkaniu — wolałaby raczéj pójść za przykładem zrozpaczonéj Safony, niż wystąpić przed Olimpiuszem na czele chóru.... — Piastunka jéj Kryspina przyjęła zwierzenia się dziewicy, i stała się jedyną ulgą w cierpieniach — Kryspina bowiem była Chrześcianką, ona nawet jéj matkę przy śmierci ochrzciła...

W zwierzaniu przed nią wszystkich mych boleści
Znalazłam echo w jéj duszy niewieściéj,

I głos zbawienia poczułam w jéj słowie.
Ojcze! tyś resztę dokonał; tyś wiarę
Moję oświecił; ty oznaczył drogę
Myślom i sercu, ty wskazał ofiarę
Którą uczynić chciałam i nie mogę.

Bo Olimpiusz zawsze panuje w jéj duszy — poczuła to, gdy wewnętrzny głos woli Bożéj kazał jéj wyrzec się całkiem lub ziemi, lub nieba.... Właśnie wczoraj Arcykapłan objawił wolę swoję, żeby wystąpiła na czele chòru w uroczystości publicznéj. —

Błagała — ojciec był nieubłagany — Cóż począć?
Uledz? lub jawnie złamać posłuszeństwo?
Wyrzec się Boga, lub iść na męczeństwo
Bez żadnéj siły w duszy, prócz rozpaczy?

Ogarnęły ją myśli samobójcze — lecz Kryspina podała jéj sposób ujść z świątyni i dostać się do pieczary Chrześcian aby prosić o chrzest, jeżeli godna téj łaski, a potem aby ją wyprawić gdzie na puszczę Tebaidy dla uniknienia zemsty Arcykapłana i Rzymian...

Satur każe przygotowywać do obrządu chrztu mającego się spełnić na Felicycie, tem spieszniéj, że właśnie przyniesiono wieść, jako każdy musi składać ofiarę bałwochwalczą przed posągiem Sewera, a ktoby się wzbraniał, umrze...

Następuje ceremonia chrztu Felicyty — śród chórów wiernych wyznawców Krzyża; poczem Satur powierza obie niewiasty Deodatowi i każe mu zaprowadzić je do biskupa Scylity, aby je ukrył w jakiéj jaskini.

Tymczasem coraz bardziéj przerażające wieści nadchodzą z miasta. — Satur każe się rozpierzchnąć Chrześcianom i szukać bezpiecznego ukrycia. — Gwałtowny młodzianin Kwintus wybucha przeciw niemu, że wie-

dzie w błąd owczarnią każąc jéj unikać najpiękniejszéj sposobności do poniesienia męczeństwa.... Gromi go Satur za ten czczy zapał wzdętéj pychy i jako pasterz trzody sam może się poświęcić za nią ale nikomu niechce narzucać poświęcenia się.... Następują błogosławieństwa i pożegnania, lecz gdy już opuścić mają podziemne schronienie, otaczają ich straże Arcykapłana, który pałający zemstą za porwaną córkę każe imać i wiązać Chrześcian... kilka tych scen jest pełnych dramatycznego życia — między innemi epizod żołnierza Pomponiusza, który między Chrześcianami znajduje Perpetuę, żonę własną z dziecięciem... Wtem przyprowadzają dwie niewiasty w zasłonach — Arcykapłan posuwa się, aby odkryć twarz jednéj z nich.... Satur go wstrzymuje

Ty nie przeczuwasz co się pod nią tai...

Felicyta podnosi zasłonę:

Jam jest mój Ojzec!

*Arcykapłan.*

O córko! o Febie!
Teraz pojmuję — ty byłaś ich branką,
Smiercią ich wszystkich pomszczę się za ciebie;—
O pójdź, pójdź!

*Felicyta.*

Ojcze! jam jest Chrześcianką.

To wyznanie uderza gromem Arcykapłana Feba, który pada zemdlony na ręce kapłanów...

Aczkolwiek zemdlenie nie jest nową sytuacyą w wielkich katastrofach dramatycznych, jednakowoż tutaj nie razi i odpowiada zarówno charakterowi osoby, jak wyobrażeniom religijnym. Arcykapłan Kartagińczyk służąc urzędowéj religii narzuconéj temu narodowi przez Romę, niemoże być fanatykiem gotowym zamordować własne dziecko odstępcze.... Widzieliśmy przytem jakiemi uczuciami wybuchnął przeciw Olimpiuszowi, gdy go posądził o porwanie córki.— To pewna że w początku trzeciego wieku pogańskie wyobrażenia wszędzie były zachwiane i podkopane nietylko samym wpływem Chrześciaństwa, ale przez filozofów i przez tych samych Cezarów nawet, co różnych Bogów sprowadzali do Rzymu, lub sobie cześć boską wyrządzać kazali... Wszystkie też charaktery pogan w dramacie Odyńca, są zachwiane i miękkie, wyjąwszy jednego Vulpiska, który nie w imie wyobrażeń religijnych stoi niezgięty i spełnia okrutne wyroki Romy, ale jako reprezentant władzy Cezarów — surowy urzędnik, którego zapewne mało obchodzą różnice wyznań, a wszystkiem jest litera prawa i własna posada.

Drugi ten akt zakończa się pięknym obrazem miłości Chrześciańskiéj, przebaczającéj prześladowcom, a nawet niosącéj pomoc i ulgę cierpiącemu prześladowcy. Satur, już jako więzień, wydziera się swoim oprawcom i sam jeden trzeźwi i przywraca do życia nieprzyjaciela swego Arcykapłana; spełniwszy zaś ten chrześciański uczynek, obraca się do kapłanów i mówi

Teraz jam znów więźniem waszym.

(*Dokończenie w przyszłym zeszycie*).

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

# KORAN I SCHYZMA.

Dwa lata upłynęło jak Turcya przyjętą została w poczet państw europejskich. Żądano od niéj za ten zaszczyt, aby zdołała pogodzić konieczność swego istnienia jako państwo muzułmańskie, to jest utrzymanie Koranu, z wymaganiami również koniecznemi państwa europejskiego, czyli cywilizowanego, to jest z uszanowaniem Chrystyanizmu. W celu zaś ułatwienia jéj może tak trudnego zadania, a więcéj jeszcze w widokach położenia zapory zaborczym dążnościom sąsiadów i utrwalenia tym sposobem ogólnego pokoju, zaręczono jéj niepodległość i nietykalność granic.

Zaręczenie takowe może być dostateczne dla państwa, którego istnienie na traktatach wyłącznie jest oparte, jak na przykład Grecya lub Belgia. Lecz Turcya czuje się na sile i w prawie bronienia swéj niepodległości, a skoro raz ma sobie przyznane miejsce w rzędzie państw europejskich, czuje się w obowiązku zachowania go w całéj godności i powadze tak zewnątrz

jak i wewnątrz. Na téj też drodze widoczne od lat dwóch ciągłe jéj usiłowania. Spierała się o granicę besarabską, podpisała konwencyę państw nadbrzeżnych co do żeglugi na Dunaju, sprzeciwia się połączeniu Multan i Wołoszczyzny, odmawia firmanu na przekop Suezu, protestuje przeciw zajęciu wyspy Perim, pospiesza z nominacyą Fuada paszy na przyszłe konferencye paryzkie, we wszystkich swych rozporządzeniach stara się wprowadzić ducha centralizacyjnego odpowiedniego idei państwa, a nareszcie wysyła wojsko na utrzymanie w karbach buntujących się krajów słowiańskich berłu swemu podległych.... Wszystko to na pierwszy rzut oka ściąga się do utrzymania niepodległości państwa i zachowania jego godności.

Lecz nie wchodząc, czyli i jak dalece potrzebne są te usiłowania, bo przecież niepodległość i nietykalność Turcyi ma solidarną Europy całéj rękojmię, to jednak pewna, że nie widać w nich jeszcze wcale dążności ku wykonaniu warunku nałożonego na Turcyę, a który jedynie mógł usprawiedliwić przyjęcie jéj w poczet państw europejskich, i przyznanie głosu w naradach mocarstw chrześciańskich. Kwestya tak zwana Chrześcian poddanych Turcyi, leży dotąd odłogiem. Zadanie to miał rozwiązać *hattihumajon* równouprawnieniem muzułmanów i Chrześcian. Firman ów istnieje od d. 18 lutego 1856 r., ale podobnie jak *hattyszeryf* z Gulhany ogłoszony w d. 3 listopada 1839, nie został dotąd wprowadzony w życie. Że do dziś dnia nic nie dokonano w Turcyi dla polepszenia rzeczywistego położenia rajasów, byłoby to zbytecznem dowodzić, zwłaszcza po dowodach jakich dostarczyły ostatnie powstania w Hercegowinie i w Bośnii. Również atoli zdaje się wątpliwości nie ulegać, że Turcya jest w chęci dotrzymani obietnicy na kongresie paryzkim uczynionéj, ale napo-

tyka teraz jak napotykała dawniéj przeszkody, których przezwyciężyć nie jest w stanie.

Nieraz już zdarzała się na tem samem miejscu sposobność wypowiedzenia, że główną przeszkodą w tym kierunku jest Koran, czyli co na jedno wychodzi; charakter turecki, bo charakter ten jest taki jakim go Koran wyrobił. Dezorganizacya jest prawdziwym i właściwym stanem Turcyi. Turek wtedy się czuje w swoim żywiole, gdy zamiast ładu i prawa widzi samowolę i anarchię. Dopóki próby wyjścia z tego stanu są połowiczne, a wykonanie ich kończy się niekonsekwencyą, to jeszcze pół biedy; ale w istotném zastósowaniu prawa i w konsekwentnem zaprowadzeniu porządku upatrywałby tylko naruszenie drogich sobie zwyczajów. Przystaje on lubo niechętnie na to aby dawną dumę swą miarkować; chcieć jednak w miejsce przesądów narodowych zaprowadzić w Turcyi porządek publiczny i nową machinę państwa utrzymywać w ruchu, to nazbyt dla niego męczące. Przyobiecano rajasom równość w obliczu prawa, to prawda; ale formułować prawo, które jeszcze nie istnieje, wypełnić próżnię w któréj równouprawnienie się gubi, to zawsze w oczach muzułmańskich okropny zamach na Koran. Turek oświecony chwali i wielbi łagodność i sprawiedliwość Sułtana, który radby zaprowadzić u swoich poddanych równouprawnienie; ten sam oświecony Turek piastując nawet najwyższe godności zwala na starowierców po prowincyach, że dobrotliwe zamiary Sułtana nie są wykonywane; wszelako wyznaje on, że jest bezwładnym, aby położyć stanowczo tamę uporowi starowierców po prowincyach, i aby równouprawnienie przeprowadzić w rzeczywistości za pomocą takiéj ustawy, którąby miała równą wagę i powagę tak u wyznawców Koranu jak i Ewanielii. Turek lubo jest prawdziwym mistrzem w sztuce znoszenia nieładu i anarchii, lubo jest niesły-

chanie zręcznym w zachowywaniu całéj flegmy jaka przystoi godności panującego, choćby tę godność ze wszech stron obrażano a to aż do chwili w któréj znowu w obronie jéj wielki uczyni zamach, trudno mu jeszcze taki zaprowadzić porządek rzeczy, aby pod jego opieką mogły się swobodnie poruszać przeciwieństwa tak religijne jak narodowe. Kłopoty w jakie go wprawia ciągła walka tych przeciwieństw, wrodzone mu uczucie sprawiedliwości, przekonanie mniéj więcéj silne, że ratunek znaleść może przez wejście do związku państw europejskich, wszystko to obudza w nim i żywi pociąg do takiego porządku politycznego, — chciałby zostać europejczykiem; ale skoro ma przyjść do wykonania, charakter turecki odzywa się w nim znowu, a w pośrodku w tym chaosie między dążnościami europejskiemi a odrętwiałością azyatycką, ratuje go owa flegma z jaką czeka aż się wycieńczą w walce te przeciwieństwa, których nie może pokonać ani ruchu ich uregulować...

W rysach tych, nader wiernie jakby za pomocą dagerotypu z charakteru tureckiego zdjętych, pożyczonych z pracy znakomitéj jednego z niemieckich publicystów, znaleść można odpowiedź wykazującą jakiego losu doznaje nieszczęsny *hattihumajon*, i jakiego doznał dawniéj *hattiszeryf* z Gulhany. W owym charakterze tureckim, którego tłem jest duch azyatycki a istotą Koran, znajduje się połowa klucza do zagadki przedstawiającéj się ilekroć zastanowić się wypadnie nad stosunkami Słowian podbitych, pięć razy liczniejszych od swych zwycięzców muzułmanów.

Słusznie bowiem bardzo powiada wspomniony wyżéj publicysta, że Turek na tem samem pobojowisku gdzie przemógł Słowianina zagospodarował się jako tako, nie myśląc aby potrzeba było przerobić wszystko aż do dna, a przeciwnik jego wraz z nim na tem samem rozsado-

wił się polu. Niekiedy żyli z sobą w pokoju, niekiedy zaś ujarzmiony porwał się, aby panu swemu przypomnieć, że niebezpieczna to rzecz przez wieki żyć wśród wspomnień rozstrzygającéj bitwy i w obec mogił usypanych z kości poległych. W końcu jednak pogodzono się znowu, i ujarzmiony poprzestaje na tem, że jego pan żądania jego przynajmniéj jakoś uregulować przyrzeka, zamiast je oddać na samowolę podwładnych urzędników; co do reszty zaś wolno mu urządzić się jak się mu tylko podoba. Owoż cała Turcya jest takiem pobojowiskiem. Wszędy żyją jeszcze wspomnienia tych dni nieszczęśliwych, które położyły koniec udzielnym dziedzinom słowiańskim tego półwyspu; wszędy boleść po utracie niepodległości tak jeszcze świeża, jak gdyby ów cios straszny dopiero wczoraj nastąpił; wszędy panowanie niepewne i tylko na sile oparte; nigdzie ustalonego prawego porządku. Turek żyje z dnia na dzień, i w imie prawa zdobyczy żywi się przemocą i wymuszaniem; Słowianin pociesza się z dnia na dzień, że przyjdzie chwila oswobodzenia w którą wierzy niewzruszenie, a przecież znów się uspokaja, jeżeli zwycięzca pozostawia mu przynajmniéj nad cząstką jego nabytku prawo własności.

Takiem jest położenie Turków względem Słowian i takiem od dawna. I czemuż przypisać należy, że Turkom udało się przykuć niejako do Konstantynopola te państwa słowiańskie, którym się cesarze bizantyńscy obronić nie zdołali? Dokazali oni tego nie tylko samym orężem, nie tylko postrachem baszowskich rządów swoich, ale tem głównie, że oni dopiero rozbudzili w Słowianach południowych uczucie wspólnego pochodzenia i zabezpieczyli ich kościół naprzeciw Zachodowi. Dopiero pod zasłoną panowania tureckiego Kościół bizantyńsko-wschodni samodzielnie się urządził. Turcy zburzyli zamki frankońskich baronów, którzy w Pelo-

ponezie i na stałym lądzie greckim szerzyli lennicze prawo Zachodu; Turcy znieśli Kościoły i biskupstwa katolickie, które powstały obok zamków rycerzy zachodnich i zagrażały kościołowi Wschodniemu; wraz z rycerstwem i kościołem rzymskim wyparowali nakoniec ze Wschodu licznych i potężnych osadników weneckich i genueńskich. Tureczczyzna pozyskała sobie narodowości południowo-słowiańskie przez to, iż stała się wybawicielką kościoła Wschodniego. Oto co wiąże zdobywcę, mimo wszelakich błędów jego z ludem podbitym i wzmacnia zarazem jego panowanie.

Jeżeli więc Koran rozwięzuje w połowie zagadkę stosunków Turcyi do jéj chrześciańskich poddanych, to wdrugiéj połowie rozwiązuje ją Schyzma w któréj ludy słowiańskie są pogrążone. W rzeczy saméj, jednakowe pojmowanie stósunku Kościoła do Państwa ułatwiło pokój między zdobywcą tureckim a kościołem greckowschodnim. Obaj czuli że są sobie pokrewni i zeszli się z sobą we wspólnem przeciwstawieniu widokom Zachodu; obaj byli stanowczymi nieprzyjaciołmi rozdziału między Kościołem i Państwem. Państwo na Zachodzie broniło się od przewagi Kościoła, Kościół walczył przeciw przesadzonym wyobrażeniom o władzy Państwa. Na Wschodzie nie pojmowano tego. Tu religia i polityka to jedno, rozdział władzy świeckiéj i duchownéj wydaje się czemś potwornem. Na tronie panować musi dogma, a władzca świecki musi być zarazem głową Kościoła. Tak chce Koran i Schyzma. Ztąd poszło, że Grecy tak prędko się pocieszyli kiedy na miejscu swojego cesarza teologicznego ujrzeli w Sułtanie monarchę kapłana na tronie. Zmieniona tylko nazwa, ale zasada się utrzymała. Nie panowali wprawdzie grecy w Bizancyum, ale na prowincyi i w gminie pozostał im w juryzdykcyi cywilnéj duchowieństwa udział ich również w nierozdzielnéj władzy duchownéj i świeckiéj,

a Dogma stawszy się jedyną tarczą narodowości, większego jeszcze nabyło wpływu na codzienne życie, aniżeli za cesarstwa.

Wszakże ta właśnie wspólność zasady staje się nieprzezwyciężoną trudnością w przeprowadzeniu stosunku prawnego jaki był zamierzany tak *hattyszeryfem* z Gulhany jak i obecnie *hattihumajonem.* Słowianie południowi pod panowaniem tureckiem ograniczeni zostali do życia gminnego; religia stała się wyrazem ich narodowego uczucia, a kościół przedstawicielem i rękojmią ich jedności plemiennéj. Według *hattihumajonu* mają wyjść z odosobnienia swéj gminy, zasiąść z Turkami składającemi klasę wyłącznie dotąd panującą i uprzywilejowaną na sądach, radach gminnych, powiatowych wiecach i zgromadzeniach prowincyonalnych, wspólnie z niemi obradować i w dotychczasowym wrogu swoim widzieć współobywatela równouprawnionego. Uznanie to polityczne swego przeciwnika musiałby Słowianin opłacić kosztem swéj zasady żywotnéj. Jako chrześcianin bowiem ma on przeświadczenie że jest wyższym od muzułmanina, że ma przeznaczenie cywilizacyjne. To przeświadczenie poświęcić musi celowi zbudowania państwa.

Tego uczynić niechce również i Turek, i również jak Słowianin z zasady. W imieniu Koranu rości on sobie zawsze panowanie, tak jak Słowianin w imie Ewangelii oczekuje zwycięstwa. Jeden i drugi nie pojmuje państwa obok swojéj religii, państwa na równi z nią będącego, a tem bardziéj pośredniczącego i wyższego nad nią. Dla obu religia jest prawem tak w politycznem jak i w towarzyskiem znaczeniu tego słowa; dla obu znów prawo ma ważność religijną. To też żadna dotąd reforma na tem polu nieudała się, żadna zmiana przyrzekająca rajasom równość z Turkami w obliczu prawa nie mogła się na prawdę utrwalić. W każdéj

z nich Turek upatrywał cios śmiertelny zadany Koranowi, a Słowianin przyjmował z pogardliwą miną dar, mający mu przypominać niższość jego stanowiska, a nadto z obawą utraty autonomii gminnéj i swobodnéj ustawy prowincyonalnéj.

Z tych kilku ogólnych uwag któreby można poprzeć mnóstwem przykładów, okazuje się, że w tych dwóch wyrazach: *Koran i Schyzma* zamyka się istota stósunków jakie wiążą Słowian z państwem Ottomańskiem, że w nich leży istotnie cała trudność owéj kwestyi Chrześcian poddanych Turcyi, którą załatwić obiecała Porta na kongresie paryzkim. Śmiało powiedzieć można, że nie będzie w stanie obietnicy téj zupełnie uczynić zadość, bo nigdy Islamizm z Chrystyanizmem zlać się nieda tak doskonale, aby zdołał utworzyć harmonię jakiéj Państwo wymaga. Jest wszakże jak się wykazało, pewna styczność między Koranem i Schyzmą, która ułatwiła dotąd panowanie Turkom i sprawiła głównie, że powstania Chrześcian były słabe, bo im brakowało jedności. Jedność tę Porta sama chciała ułatwić, wprawdzie nie w celach niepodległości Słowian, ale w celach łatwiéjszego oddawna rządzenia nimi. Jedność narodowości i religii jaka cechuje gminę grecko-słowiańską chcieli Turcy użyć za narzędzie rządowe, i dla tego wciągnęli duchowieństwo wyższe w swój interes, wszystkie wyższe dostojeństwa kościelne zamienili w przywilej fanaru, a naczelny zarząd téj machiny kościelnéj powierzyli patryarsze Konstantynopolitańskiemu. Takowe urządzenie zmieniające kościół grecko-wschodni w turecką machinę rządową, zapewniło zdobywcom kontrolę nad instytucyą kościoła, przywiązanie naczelników duchownych, którzy z pomocą symonii urzęda nabyli, a zarazem posłuszeństwo gmin, które nie śmiały podawać w wątpliwość władzy karnéj swoich duchownych kierowników. Uczucie wszelako narodowe plemion słowiań-

skich już od pół wieku buntować się poczęło przeciw kościelnemu przywilejowi fanaru. Powstanie bułgarskie przed dwudziestu i ośmiu laty, wywołane był) po części także przez ucisk obcego duchowieństwa. Kiedy w téj chwili mieszkańcy Bośnii i Hercegowiny oburzają się na zdzierstwa wyższego duchowieństwa, bulgarczyk pracuje nad unarodowieniem swojego kościoła, stawia cerkwie dla odprawiania liturgii w swoim języku i zmusza duchowieństwo greckie do uznania wymagań jego.

Podobna dążność separatyczna odbija w całym dzisiejszym ruchu słowiańskim. Sułtan nie będzie mógł długo się opierać uznaniu tej narodowéj dążności oddzielnych plemion. Słowianie stracą przez upadek fanaru duchownego dotychczasową reprezentacyą jedności kościelnéj, która jednak widocznie była tylko pozorną i przeciwną ich narodowym uczuciom.

Nie było więc i niema dotąd żadnéj spójni między plemionami słowiańskiemi poddanemi Porcie. Nie mówi się już o zawiściach i zazdrościach nieodłącznych od krajów różnoplemiennych przez wieki pod obcem zostających jarzmem. Zawsze też powstania były częściowe tylko, i ulegały w końcu przemocy tureckiéj. Owa flegma o któréj wyżéj, zawsze dotąd odpowiadała potrzebie Porty w jej stósunkach z południową Słowiańszczyzną.

Czy tym razem wystarczy? czy powstanie obecne w Hercegowinie i Bośnii, poparte grożną postawą Czarnogóry spełznie także na niczem jak tyle innych? Czy powstania w tych prowincyach posłużą tylko Turcyi do zaprowadzenia ściślejszéj jedności państwa? Na zachodzie nieraz powstania prowincyj do zaprowadzenia silniejszéj centralizacyi tylko posłużyły. Turcya tym razem przemawia głosem europejskiego państwa. Mówi tylko o swojem wszechwładztwie, głosi zasadę państwa, oświadcza, że naprzód przywrócić musi porządek, a po-

tem postara się ukrócić nadużycia. Ani jéj znać na myśl nie przychodzi, że gdy powstania nadużyciami sprowadzone zostały, najlepszym sposobem przywrócenia porządku jest zapobieżenie, aby nadużyć nie było.

Wprawdzie Turcya nie przyznaje, aby nadużycia istnieć miały: jako państwo europejskie widzi ona w ruchu słowiańskim obce wpływy. Na nicby się nieprzydało chcieć w téj mierze prawdę odgadnąć. Lecz wspomniawszy o wpływach obcych państw, powiedzieć należy, że właśnie od obcych mocarstw zależeć będzie głównie wypadek obecnego powstania. Jakikolwiek obrót weźmie przedsięwzięta przez Turcyę kampania do Hercegowiny, zawsze z pewnością spodziewać się należy, że Europa zażąda od niej spełnienia przyrzeczonéj obietnicy, polepszenia losu Chrześcian pod jéj berłem zostających. Jeżeli powstanie się uspokoi, natedy zapewne nowa obietnica turecka wprowadzenia w życie *hattihumajonu* wystarczy Europie, a wiadomo że obietnice nie kosztują Turcyę, jako też że dyplomacya jest bardzo cierpliwa. W razie gdyby powstanie przybrało groźniejsze rozmiary, sytuacya ogólna polityczna łatwo zmienićby się mogła, z powodu interwencyi któraby może wtedy stała się konieczną. W każdym razie atoli zdaje się, że sprawa Chrześcian poddanych Turcyi, ostatnia z rzędu punktów o które toczyła się wojna wschodnia, pozostanie węzłem gordyjskim, od rozwiązania którego przyszły los europejskiéj Turcyi zależeć będzie.

Maurycy Mann.

# KRONIKA.

---

**Kraków** w kwietniu.

Kraków w kwietniu przez pierwsze trzy tygodnie palił w piecu, chodził w kożuchu, chuchał w ręce i sztucznemi sposobami rozgrzewał imaginacyę swoją, aby sobie wyobrazić ową najpiękniejszą z pór roku, wiosnę, która tyle natchnień wiązaną i niewiązaną mową wylała na papier. Kraków w kwietniu jadł przez jeden tydzień święcone, przez drugi tydzień resztki jego gromadził dla spóźnionych przyjacioł i gości, odnawiał zaległe przyjaźni, przypominał zaniedbane przez cały rok związki pokrewieństwa, a przez resztę miesiąca zużywał ostatki *seasonu* zimowego, koncertami, teatrem, wystawą obrazów, dobroczynnością i opatrzonemi już modami, a nasyciwszy żołądek, ucho i oko, spełniwszy całe przeznaczenie pobytu miejskiego, począł się nudzić i wzdychać za zmianą miejsca, za nowemi wrażeniami i świeżemi modami. Nie dziw przeto, że ta tęsknota przyprawia go o chorobę. Chcąc się więc z niéj wyleczyć, oblicza się z kieszenią i lekarzem, by jedna i drugi obmyśliły najskuteczniejsze kąpiele, w którychby odzyskać można trudami zimy nadwerężone zdrowie, rozweselić umysł znużony jednostajnością zajęć krakowskich, spotkać

nowe twarze lub zjechać się z niewidzianemi od przeszłego lata. Pod koniec pory letniéj wypadnie może dla uzupełnienia kuracyi zwiedzić dalsze kąpiele, pojechać nad Ren na winogrona, a stamtąd ciekawość bierze zajrzeć do Paryża, czy to żeby widzieć nowy bulwar sebastopolski, czy może dla jakiéj uroczystości która właśnie na ten czas wypadnie, może jakie odwiedziny królewskie lub... któż to dziś przewidzieć zdoła? Do Paryża prowadzi teraz droga na Wiedeń, trzeba bowiem tam wstąpić po wizę paszportową. A i Wiedeń zapowiada coś nowego. Burzą tam mury, bastyony, wytykają nowe ulice, budują kościoły, teatra, stawiają posągi.

Przygotowania więc do téj podróży zajmują ostatnie dni kwietnia, a zajmą zapewne i z połowę maja, potem zaś jak wymiótł — zostaną w Krakowie tylko ci, którzy niemają czasu świętować w dzień powszedni, a rzadko nawet i w świąteczny, którzy niemają za co chorować, ci którzy nieumieją się bawić, a którym same obowiązki nudzić się nie pozwalają. Wprawdzie, większa jest liczba drugich aniżeli pierwszych, lecz na szachownicy życia oni jak piony krok tylko za krokiem posuwać się mogą; pojedynczo wzięci są niczem, a dopiero w masie coś znaczą. Zdarza się wszelako niekiedy, że który z nich zdobędzie sobie obronną pozycyę i uporczywie się na niéj trzyma, lecz najczęściéj bywa, że w powolnych zapasach ginie, lub przynajmniéj zaparłszy się w kąt bezpieczny, siedzi nieporuszony, żadnego w ogólnéj walce nie biorąc udziału.

Łatwiéj przeto mówić o tych figurach, których ruchy raźniejsze, rozleglejsze.

Otóż zbliża się pora wyjazdu do kąpiel. Pierwsze pytanie: do jakich kąpiel, rozstrzyga lekarz; nie ten lekarz którego się w nagłym razie bierze, aby uratować chorego, lecz ten który jako kilkoletni przyjaciel domu zna wszystkie nasze prawdziwe i urojone cierpienia i pod względem ich ważności nie robi żadnéj różnicy, wiedząc, że drugie są niemniéj dokuczliwe od pierwszych a częstokroć rzeczywistą sprowadzić mogą chorobę. Taki lekarz znający wszystkie nasze skłonności, wszystkie potrzeby i kaprysy, a nadto wszystkie drobne i wielkie skrytości i tajemnice, powiernik i przyjaciel, umie wybrać cel podróży tak, że zarazem dogodzi i wymaga-

niom choroby i wymaganiom chorego. Cóż przeto dziwnego, że zamiast do krajowych kąpiel, wysyła go do zagranicznych. W czasie blokady kontynentalnéj damy francuzkie przepłacały towar angielski, chociaż tu szło tylko o grymas. Jakże żądać większego od nich zaparcia się kiedy idzie o zdrowie? Utrzymują, że aby ściągnąć gości do kąpiel krajowych, potrzeba je doprowadzić do stanu podobnych zakładów w Niemczech, Francyi i Belgii. Ależ niedawne to czasy jak najsłynniejsze z tych zagranicznych zakładów były jeszcze lichemi wioskami i mieścinami. Nie daléj jak o jedno pokolenie datuje się ich wzrost, a temu wzrostowi dała popęd nie sama tylko uzdrawiająca moc wody, ale głównie i przedewszystkiem moda. Cała sztuka, aby wprowadzić w modę jeżdżenie do kąpiel krajowych, a po latach kilku powstaną w nich również obszerne hotele, wygodne łazienki, wybredne kuchnie, zjeżdzać będą do nich artyści z całego świata, teatra przeniosą się tam na lato, a gdyby pozwolono założyć jeszcze jaki banczek.... żegnajcie nadreńskie kąpiele, którym już Związek niemiecki zagraża odjęciem głównych waszych ponęt, rozpędzeniem krupierów! Trzeba więc wprowadzić w modę kąpiele krajowe. Graeffenberg mieścił w sobie daleko mniéj wygód niż najlichsze nasze zakłady kąpielne, a tysiące chorych po najgorszych drogach pędziło w ten nieznany dawniéj zakąt, mieszkało po rozrzuconych daleko chałupach chłopskich, jadało czarny chleb i wieprzowe lub baranie mięso, kąpało się pod gołem niebem, niemiało nawet pod ręką wody potrzebnéj do leczenia. Metodę leczenia Priessnitza udoskonalili racyonalni lekarze, zamienili ją w system, pootwierali dla niéj katedry uniwersyteckie, pozakładali łazienki — ale to wszystko na nic — hydropatia utrzymała się jako nauka, lecz Graeffenberg wyszedł z mody.

Cała więc tajemnica zakwitnięcia tych lub owych kąpiel krajowych: wprowadzić je w modę.

Czemże jednak jest ta moda, jeżeli w niéj taka tkwi moc i władza?

Moda jest to hołd oddany przez umysły naśladowcze umysłowi twórczemu. Moda nie jest uznaniem rzeczywistéj lub urojonéj zalety pomysłu, ale tylko owczym trybem. Dla czego pomysł najzbawienniejszy, najrozumniej-

szy, nie potrafi częstokroć zjednać sobie wzięcia, jakie pozyska nieraz rzecz najmniéj tego godna? bo moda nie jest przymiotem rzeczowym, lecz osobistym. Ażeby jednak zyskać naśladowców, to jest zyskać uznanie mody, potrzeba aby wymysł znalazł przysposobione dla siebie pole. Ten tylko przeto wymysł się uda i w modę zamieni, który odgadnie stosowną pojawu swego chwilę.

Zwykliśmy modę brać jedynie w odniesieniu jéj do ubioru, sprzętów, do przedmiotów jedynie zewnętrznych; panuje ona wszelako w tem wszystkiem, cokolwiek nie jest związane z człowiekiem niewzruszonemi prawami natury. Moda w rzeczach poważnych ma odmienną wprawdzie nazwę, lecz swojéj cechy nie zmienia: w znaczeniu politycznem zwie się panowaniem systemu; w społecznem, duchem czasu; w literaturze lub sztuce, szkołą i t. d. Narzucić jéj niepodobna, powstaje ona raz nagle, to znów przez powolne przygotowanie sprzyjających jéj żywiołów; raz jest wypływem chwilowego natchnienia, drugi raz owocem głębokiego zrozumienia obecnéj potrzeby. Iść ślepo za modą jest lekkomyślności oznaką, a opierać się jéj uporczywie będzie zawsze dowodem nie mądrości, lecz dziwactwa albo też dumy, stawiającéj siebie ponad resztę świata.

Ponieważ moda najwyraźniéj odbija się w codziennem naszem życiu przez to co jest powierzchowne a co łatwéj ulegać może zmianie, przeto najrozleglejsze panowanie rozciągnęła moda nad odzieżą. Mniéj ruchliwa i dziwaczna w męskiéj, przerzuca odzieżą niewieścią co chwila, a przecież i w niéj rzadkie odbywa przeskoki od jednego kierunku do drugiego. Znaczną część udziału w przesileniu finansowem w Ameryce przypisują ekonomiści tamtejsi zmienności mód w strojach kobiet. Wielkie miasta są siedliskiem mód; do Krakowa dochodzą ich wyroki nierychło i wykonywane bywają z umiarkowaniem i skromnością. Darmo gadamy o zbytkach, zbytków niema u nas wcale; niesłychać, aby która z pań tutejszych wodziła rej w strojach, aby chodziła ubrana jak model żurnalu paryskiego, aby rujnowała się dla dogodzenia próżności. Kraków zbyt szczupłym byłby dla takich tryumfów teatrem, a przytem jest w obyczajach jego coś z owéj purytańskiéj skromności, która każdy wybryk cechuje znamieniem publicznego zgorszenia.

Dla kronikarza mającego zdać sprawę z całomiesięcznego ruchu życia miastowego, szczupły nader zostaje zakres, kiedy mu się odbierze to gdzieindziéj niewyczerpane źródło skandalicznych zdarzeń, kiedy mu się za trzecim powrotem każe opisywać też same powtarzające się co roku obchody zwyczajowe, jarmarki, wystawy, i teatra, też same fizyonomie, które codzień widząc nie dostrzega w nich zmian powolnych „zębem czasu“ dokonanych. Cyklus ten z małemi odmianami jest zawsze ten sam, a cała różnica opisu kronikarskiego zależy na tem, że coraz bardziéj ścieśnia się rozmiar spostrzeżeń, jeśli się uniknąć pragnie zbyt częstego powtarzania. W obawie, aby rozmiar ten nie zeszedł do niewidzialnego prawie punkciku, ogarnia piszącego duch sknerstwa, który aby się nie wypotrzebować naraz jeden z całego zasobu nader ograniczonego, każe mu, jak w twierdzy głodem zagrożonéj, zmniejszać wciąż racye, a zawsze nie tracąc nadziei, że na przyszły miesiąc nadejdzie odsiecz, w formie pożądanego jakiego wypadku, który łatwo zapełnić dozwoli wypróżnioną śpiżarnię sprawozdawcy miesięcznego.

---

## **Wiedeń** w kwietniu.

Powrót pierwszych powiewów wiosny wywołał w życiu tutejszem, zamkniętém ciągle w ścisłych granicach jednostajności, te same objawy, o których wam już zapewne pisałem o tej samej porze w roku przeszłym. Jedna, o ile sobie przypominam różnica między temi dwoma obrazami, byłaby w gwałtownych upałach, na które przeszłoroczna wiosna czekać musiała dłużej, a które od dni kilku dochodzą już do 20⁰ Reaumura. Drzewa w połowie tego miesiąca jeszcze zupełnie obrane z liści, rozwinęły się tak nagle, iż jeśli ich jaki niespodziany wiatr z północy za tę porywczość nie ukarze, będziemy mieli maj świeżo i prawdziwie zielony. Jest to wielka i łatwa do pojęcia dla mieszkańców miasta pociecha, dla tych zwłaszcza, którzy przewidują, że na wieś przenieść się nie będą mogli. Ci, a takowych liczba stanowi prawie summę całkowitą ludności,

cisną się już na Prater, wymieniając nadzieję przyszłych roskosznych przechadzek pod cieniem starych, rozłożystych drzew, wśród chłodzących wyziewów Dunaju, za kurzawę nieznośną, którą teraz jeszcze karmić się tam muszą. Panuje tu bowiem ciągle ten odwieczny przesąd, że ulice tak w mieście jak za miastem, latem tylko skrapiać trzeba. Przesądu tego, tak nieznośnego i łatwego do usunięcia taka jest siła, że mu Cesarstwo, Arcyksiążęta i cała bogata, a w tej tylko porze roku na Prater wyjeżdżająca arystokracya, chcąc nie chcąc, podlegać muszą. Były już o to od dawna długie rozprawy i narady, były nawet rozporządzenia i rozkazy — i pozostało wszystko po staremu, nawet machina do skrapiania, której wynalazek sięga niepamiętnych i z dzisiejszemi w Europie przyjętemi narzędziami nic wspólnego nie mających czasów. Pomimo tych i tym podobnych niedogodności, *Prater*, to jedyne Wiedeńczykom od natury dane na lato wytchnienie, przedstawia już widok ożywiony, lubo nie nowy. Widziałem i widzę od lat dziesięciu wytaczające się tam codzień i o tej samej godzinie, karety, kocze, kabriolety, faetony. Powozy, konie, ludzie, *wszystko tak jak było, tylko się ku starości więcej pochyliło.* Gniewam się nieraz na czas, że idzie za prędko, więcej na tutejsze głowy i nogi, że idą za powoli: ale napróżno. Upartość wiedeńska jest zahartowana jak stal: trzeba ją złamać, żeby pokonać. Dzieło trudne, gdyż opinia publiczna, którąby mogła to spełnić, zależy od ludzi, a ludzie wyrośli i przeżyli długie, i jak powiadają dobre czasy, w nałogach.

Zmiana wszakże tak w ruchu wewnętrznym, jak w postaci zewnętrznéj miasta, zaczyna być coraz wyraźniejszą, i to z dwóch powodów: naprzód, ze zniesienia paszportów, powtóre, z wyroku już wchodzącego w wykonanie, rozszerzenia miejsca przez obalenie bastyonów. Źródłem obu tych rozporządzeń, przeciwko którym prócz nałogu walczyły długo rozmaite twierdzenia polityczne i administracyjne, jest ta sama chwalebna i szczęśliwa myśl postępu, która nietylko w Austryi, lecz w całéj, śmiało powiedzieć można Europie, stała się główną sprężyną poruszającą rządy i narody. Wiedeń winien już tej myśli liczne ulepszenia, i znajdzie w niej najpewniejszą rękojmię swojej świetnej przyszłości. Prace

około burzenia bastyonów rozpoczęte od miesiąca, idą tak śpiesznie, że nad kanałem Dunaju w znacznéj przestrzeni ujrzymy wkrótce prócz wspaniałego widoku, nowe ulice i następnie nowe budowy. Napływ cudzoziemców, który w téj chwili wzbogaca nielicznych oberżystów, przyniesie wówczas dla całéj ludności miejskiej te korzyści, z jakiemi w każdéj stolicy łączy się dłuższy pobyt obcych przybyszów. Mieszkania staną się tańszemi i wygodniejszemi, życie łatwiejszem i weselszem, ruch handlowy i przemysłowy żywszym i obszerniejszym, praca mniéj trudną do znalezienia i lepiéj wynagradzaną, a nareszcie byt ogólny ludności wyrobniczej lepszym i trwalszym. Wiedeń z położenia swojego jest powołanym do śpiesznego na téj drodze i wspaniałego rozwoju. Dochody miasta się zwiększą, duch przedsiębiorczy się rozszerzy. Rząd ma to przekonanie, i umysły ludności zaczynają się z niém coraz więcéj oswajać.

Że w tym zakresie popęd rządowy musi być pierwszym i głównym warunkiem, to wątpliwości nie podpada. Niech ten popęd się zwolni lub ustanie, a wszystko się zatrzyma i wróci do dawnéj ospałości. Są ludy które trzeba hamować; są inne które trzeba popychać. Opatrzność jednym i drugim zakreśliła cel jednakowy, zostawiając w wyborze dróg i sposobów, wolność rozumu opartą na prawach. Wiedeń od lat kilku postawiony jako stolica państwa na czele całego ruchu, który ożywia Austryę, musi być zarazem jego źwierciadłem i ogniskiem.

Handel i przemysł, których postępowe usiłowania tak żywo się objawiają w rozmaitych prowincyach, znalazły już w tych ostatnich latach, prócz rozporządzeń rządowych wypływających ze stolicy, pewne zakłady, których Wiedeń jest siedliskiem, i z których pożywne soki rozlewają się na wszystkie strony. Jednym z nich jest Instytut kredytu ruchomego; drugim Bank narodowy z rozszerzonym i uproszczonym działania zakresem. Idą następnie administracye rozmaitych dróg żelaznych i żeglugi parowéj na Dunaju. Każda z nich przyjdzie z czasem do usadowienia się w osobnym gmachu. Administracya *Lloyda* już ma wspaniały dom nad kanałem. Instytut kredytu posuwa śpiesznie budowę jeszcze wspa-

nialszego, który stanie za lat parę na placu *Hof*. Budowa nowéj Giełdy wznosi się także i odpowie swemu przeznaczeniu pod względem smaku i architektury. Są oprócz tego projekta rozszerzenia niektórych ulic, otworzenia nowych przechodów, przebudowania rozmaitych domów, jednem słowem, jest chęć i wola upięknienia i powiększenia stolicy.

Wesoła i przedewszystkiem do zabaw pochopna publiczność ma nadzieję, że nowy teatr dla Opery wzniesie się w przeciągu lat dwóch lub trzech najdaléj. Ma on stanąć po za teraźniejszą Bramą karyncką, która równie jak przyległe bastyony, skazaną jest na zniesienie. Teraźniejsza Opera pozostanie zapewne na swem miejscu, i da się użyć z pożytkiem dla przejeżdżających artystów, i dla cudzoziemskich płodów sztuki. Może, że przyjdzie kiedy myśl usadowienia w téj budowie wodewillu i opery komicznéj francuzkiéj.

Lecz jakiekolwiek Opery teraźniejszéj będzie daléj przeznaczenie, życzyć trzeba, żeby stan jéj obecny pod względem urządzenia wewnętrznego, polepszonym został. Cierpliwość w téj mierze płacącéj publiczności, jest nie do pojęcia. Zamknięte na parterze damy nie wiedzą co począć z sukniami i ze strojem głów, wystawionych na wszelkiego rodzaju i ze wszech stron niebezpieczeństwa. Mężczyzni uprzejmi kurczą się jak mogą; mniéj grzeczni lub śmielsi walczą po prostu o zapłacone miejsce. Szczęściem, że przedstawienia nie trwają jak gdzieindziéj do północy, gdyż kończyłyby się bezwątpienia dziwnemi scenami w sali. W lożach ta sama niewygoda, ta sama nieznośna woń rozmaitego rodzaju gazów i wyziewów. Przy wyjściu z téj łaźni, wiatr wiejący w sprzecznych kierunkach przy drzwiach, i deszcz z którym się ominąć niepodobna przy wsiadaniu do powozów, są ostatnią każdéj takowej wieczornéj zabawy nagrodą. Ile ztąd chorób, ile smutnych nawet wypadków śmierci? Lecz przyzwyczajenie doszło szczęściem i tu do nadzwyczajnego stopnia.

Towarzystwo włoskie osładza przynajmniéj wszystkie te niedogodności zachwycającym swym śpiewem. Jest ono w swym składzie tak zaspokajającem jak w roku przeszłym. Artyści i artystki są prawie wszyscy ci sami; niektórzy może troche lepsi, inni gorsi; stósownie

do chwilowego usposobienia lub atmosferycznego wpływu. Na niektórych, jak np. na Debassinim, i wiek zaczyna działać w sposób nieprzychylny głosowi. P. Bettini ma wieczory pełne życia i porywającego blasku. Pani Medori podoba się jak dawniéj. Pani Charton-Demeur zachwyca w muzyce lekkiéj Rossiniego i w operach Mozarta. Pani Brambilla ma głos nadzwyczajny i niepospolitą wprawę. P. Carrion jest na pierwszem miejscu jako tenor lekki, i przy skromniéjszem występowaniu z łatwością kolorytu, byłby jeszcze przyjemniejszym. Przedsiębiorca p. Merel prowadzi całą tę machinę zręcznie i w sposób życzeniom publiczności odpowiedni.

O innych teatrach, jak zwykle, lepiéj milczeć, niż mówić, gdyż krytyka byłaby za uciążliwą, a korzyść z niéj żadna lub mała.

Między koncertami, których mieliśmy niemało, dwa są godne wspomnienia: koncert Ole Bulla i koncert pani Wortell. Na tym ostatnim liczna publiczność słyszała z nowem uniesieniem p. Rogera, który wracał okryty nowemi laurami z Pesztu, i w tych dniach występuje w teatrze w Bernie. Uda się on potem do Hamburga na kilkanaście przedstawień przed powrotem swoim do Paryża.

---

**Poznań** w kwietniu.

Mówią że poeta powinien wiosnę śpiewać w zimie, wolność w niewoli, a osobę ukochaną podczas rozstania z nią, bo dusza żywiéj sobie wyobraża to za czém się tęskni, jak to czego się używa. Jednakże i od obrazów, które przed oczyma naszemi na nowo się przedstawiają, nabiera się wrażeń obudzających myśli i natchnienia, któreby się bez nich może nie zrodziły. Za pierwszem tchnieniem wiosny wyrastają w duszy poety, jak na odmłodniałéj murawie i łące świeżością tchnące kwiaty. Otóż taki wielkopolski kwiatek, wielkopolskiego poety, drobny, lecz nader wdzięczny, świeży, wonny i dziś z pierwszym promieniem wiosny rozwity, posy-

łam wam, i ozdabiam nim moją pierwszą wiosenną rozmowę.

*Związek serca z naturą.*

Chcesz wiedzieć jak się człowiek z naturą spokrewnia,
Z nią się cieszy, z nią marzy, smuci lub rozrzewnia,
Zważaj młodą dziewicę, co się kocha skrycie,
A ujrzysz jak jéj głębsze, tajemnicze życie
Wiąże się z przyrodzeniem. — Ona wie i słyszy
Czego kwiatki kwiateczkom zwierzają się w ciszy,
Ona sercem wtóruje słowikowi w śpiewie,
Wie co ptaszek ptaszkowi powiada na drzewie,
Wie za czem pszczołka goni, dokąd motyl leci,
Wybrana przez nią gwiazdka, na jéj niebie świeci,
Ona wszystkie promienie, wszystkie marzeń roje,
Wszystkie dźwięki i wonie wciąga w serce swoje,
Dla niéj świat ten niezmierny jest miłości światem,
Jeden rzut oka szczęściem, a łza poematem.

W drugim poszycie tegorocznym pisma literackiego poznańskiego, który się właśnie teraz ukazał, umieszczony jest w poezyi bardzo piękny wiersz o modlitwie, a raczéj o modleniu się, — i na wschodnim pomyśle osnowany utwór poetyczny z tytułem *Hitcher*, wiecznie młody.

Niemniéj kilka miłych poezyj Lenartowicza, jako to: *Pieśni moje; wiersz w imienniku napisany*, i *Okno*. W oddziale krytycznym tego poszytu znajduje się obszerny rozbiór *Gladiatorów* tego pisarza, i w nim recenzya recenzyi krytyka paryzkiego, o któréj dawniéj wspomnieliśmy. Ten artykuł Przeglądu napisany z wyraźną a tak łatwą do pojęcia przychylnością dla autora Gladiatorów i dla jego pieśni, starannie jest obrobiony, z zachowaniem stósownéj miary, tak w pochwale jak w przyganie Recenzent nie zaślepia się życzliwością swoją dla poety, podnosząc zbytecznie wartość i znaczenie tego nowego utworu jego, wylicza błędy, niedostateczności i wady, lecz razem uwydatnia zalety, wskazuje ustępy celniejsze. Przeciw niektórym zarzutom krytyka paryzkiego powstaje, spór o nie wiedzie, i o zbytnią a nawet stronną surowość oskarża go, oddając jednak wszel-

ką sprawiedliwość tyle znakomitéj jego pracy. — Bardzo już wiele, za nadto może pisano o Gladiatorach Lenartowicza. Młodzieńczy i bezwzględny wielbiciel utworów *lirnika mazowieckiego*, korespondent rzymski *Kroniki* warszawskiéj, prawie cały poemat w uniesieniu podziwu, umieścił w swéj korespondencyi. Nowym więc rozbiorem tego utworu nie chcę trudzić czytelników: przedsiębiorąc go, nie pozostałoby jak tylko wykazać dość liczne błędy językowe, lecz że wiem iż pierwsze wydanie Gladiatorów mnogiemi drukarskiemi pomyłkami skażone zostało, wolę te błędy niedbałości druku przypisać, i drugiego wydania się doczekać.

Nasze drukarnie polskie tak są mało staranne, a razem dzisiejsi pisarze, zwłaszcza w poezyach, tak często bez żadnego miłosierdzia kaleczą język, że nigdy wiedzieć nie można, co jest błędem drukarskim, a co autorskim. Gdy błąd ten na rym przypada, jak się to najczęściéj zdarza, gdy rymem jest znieważona gramatyka, skalana czystość mowy, wtenczas, ale wtenczas tylko można być pewnym grzechu pisarza. Wiem że upowszechnione jest mniemanie, że geniuszowi, a po największéj części każdy piszący ma to przekonanie, że jest geniuszem, wszystko wolno; lecz zaprawdę nie jeden z pisarzy z czasów naszych tę wolność aż do swawoli posunął. Że jednak błędy popełnione są czasem winą druku lub oddania do druku niedokładnego rękopismu, mamy świeży dowód w pierwszem wydaniu *Glossy śtéj Teressy*. Zdaje się, że wydawca, który ocenił całą wartość tej poezyi, i w najlepszéj chęci starał się przysłużyć nią publiczności, nie zaopatrzył się w tekst dostatecznie poprawny, jak się z drugiego wydania, które do nas doszło przekonywamy. Znajdujemy w niem bowiem kilka zmienionych wyrażeń na korzyść tego pięknego utworu. Przy rozpatrzeniu się w nim przy pierwszem wydaniu, domyślaliśmy się niektórych pomyłek. I tak czuliśmy, iż między czwartym a piątym wierszem brakuje dostatecznego związku, widzieliśmy zaś, że brakuje rymu; jakoż w istocie opuszczony został jeden cały wiersz mieszczący właśnie tę piękną i powszechnie znaną myśl św. Teressy: *Lub cierpieć lub umrzeć.*

Umrzeć lub cierpieć — a cierpieć bez miary.
mówi poeta. Lecz nie możemy się wstrzymać od téj uwagi, iż św. Teressa odezwała się dźwiękami swéj pieśni i powtarzała: „Umieram, gdyż nie umieram“, w czasie, w którym była trawiona tęsknotą do śmierci, a więc, gdy jeszcze nie znajdowała się w stanie zupełnéj doskonałości duchowéj. Później dopiero, bo przy końcu dni swych mówiła: „Cierpieć lub umrzeć“ i te słowa właśnie przytacza w 40 rozdziale, a więc w ostatnim opisu swego życia. Mówi ona tam: „Cierpienia same „mogą mi tylko znośnem uczynić to życie. Cierpieć, „jest to właśnie czego najgoręcéj pragnę. Ileż razy „z głębi duszy wznoszę ten jęk do Boga. Panie! albo „cierpieć albo umrzeć — o to cię tylko błagam“. — W swoim zaś *Pałacu ducha*, w siódmem dopiero mieszkaniu to jest w ostatniem, mieści tę najwyższą doskonałość, w któréj dusza żądzę śmierci na żądzę cierpienia przemieni... Kiedy więc umierała, bo umrzeć nie mogła, nie pragnęła jeszcze w tym czasie cierpieć lub umrzeć, — a raczéj żyć, aby cierpieć.

Następnie przekonywamy się, że dwa wiersze wskazane autorowi do poprawy w recenzyi „Glossy“ umieszczonéj w *Kronice* warszawskiéj, były w pierwszem wydaniu błędnie wydrukowane, i tak zamiast:

którą byś sprawił dni moich utratę,

znajdujemy:

którą byś spłacił dni moich utratę

a zamiast:

Dźwiękiem dzwięczniéjszym, niż dźwięk sam przez uszy,

czytamy:

Dźwiękiem dźwięczniejszym niż dźwięk ssan przez uszy,

wyraźnie ssan, zamiast ssany.

Wracając do nowego poszytu Przeglądu, powiedzmy,

że jego artykułem wstępnym jest obszerne pismo o Towiańszczyznie, wykazujące wszystkie błędy téj nauki, i mieszczące bardzo ciekawą korespondencyę głównego i najznakomitszego apostoła sekty.

W 88 numerze *Czasu* podaliście do znajomości czytelników polskich przełożoną z francuzkiego mowę pogrzebową, którą w włoskim języku powiedział w Rzymie ks. Hieronim Kajsiewicz na obchodzie żałobnym odbytym za duszę ś. p. kardynała Lewickiego Arcybiskupa grecko-unickiego. *Univers* o tym obchodzie obszerną zdał sprawę w pięknym artykule skreślonym piórem biskupa Lucquet. Przekład téj mowy dokonany przez samego mowcę, podaje Przegląd w swym nowym poszycie. Nie wiele znaczącéj różnicy dostrzedz można między tekstem, któryśmy w dzienniku francuzkim czytali, a tym który z ręki samego autora Przegląd otrzymał. Mowa ta odznacza się nie tyle gorącemi i porywającemi słowy, do których nas nasz celny mowca duchowny przyzwyczaił, jak godnością, umiarkowaniem i sprawiedliwem ocenieniem zasług zmarłego jedynego kardynała Polaka.

Zapowiedzianego dawniej przez nas dzieła *Obrazu wieku panowania Zygmunta III* tom drugi wyszedł właśnie z druku u Kamieńskiego. — Jest to szacowna praca księdza Siarczyńskiego. Ani czas, ani miejsce nie dozwala nam zająć się obszernym rozbiorem tego ważniejszej i poważniejszéj treści dzieła. Ograniczyć się więc musim na krótkiem z niego sprawozdaniu.

Wiadomo jest, iż w czasie, w którym Niemcewicż trudnił się wydaniem Dziejów Zygmunta III, która to praca przez Towarzystwo przyjaciół nauk poleconą mu została, ksiądz Siarczyński obrał sobie także za przedmiot swych poszukiwań i głębokiego rozpoznania tę samą epokę. Mając pod ręką bogaty księgozbiór Ossolińskiego, obeznanym będąc dokładnie z dawném piśmiennictwem polskiem, nagromadził do dziejów téj epoki bardzo szacowne materyały, lecz bądź że z Niemcewiczem nie chciał puszczać się w zawody, bądź że mu czasu zabrakło do użycia tychże materyałów; właściwie historyi tego panowania nie spisał, lecz ograniczył się na podaniu uwag o dziejach Zygmunta III Niemcewicza, i na uporządkowaniu zebranych wiadomości, które

w rozmaitym kształcie przysposobił do druku. I tak, ukazała się najprzód w dwóch tomach część obrazu wieku Zygmunta III, to jest dykcyonarz biograficzny wszystkich tak cudzoziemców którzy jakąkolwiek styczność mieli z Polską, jak i Polaków, którzy w jakimkolwiek bądź zawodzie ślad po sobie zostawili, i w dziejach ówczesnych na wspomnienie lub tylko na wzmiankę zasłużyli. Następnie, pierwszy tom dzieła którem się dziś zajmujem, obejmował wiadomości o religii, obyczajach, naukach, prawie i prawodawstwie w Polsce z téj epoki; dziś wydany tom drugi uzupełnia wizerunek czasów pierwszego Wazy. Każdy z nas przypomina sobie, z jakiem zajęciem czytał dzieło Niemcewicza, tak łatwym stylem, z tak gorącą miłością kraju skreślone, tak ujmującem opowiadaniem zalecające się. A choć dzisiejsze wytrawniejsze wyobrażenia i krytyka historyczna, nie na wszystkie zdania, nie na każde ocenienie autora zgodzić się może, choć i wiele błędów w samych podanych faktach wykazaćby potrafiła, dzieło to jednak jako wykończoną historyę Zygmunta III uważać należy. Przeciwnie praca księdza Siarczyńskiego jest tylko skarbcem bardzo dokładnych i cennych wiadomości. Powtarzamy więc, Niemcewicz napisał historyą, ksiądz Siarczyński przedstawił obraz wieku obejmujący materyały posłużyć mogące do napisania historyi dokładniejszéj od téj, jaką Niemcewicz zostawił.

Ten tom drugi z epigrałem z Horacyusza wziętym : *Faecunda culpa saecula*, zaczyna się od rozdziału VI. W nim autor rzecz czyni o *Wojsku*, a więc o rządzie jego, o trybie wojowania, o pospolitem ruszeniu, o zaciężnych szeregach. Wylicza różne rodzaje jezdnego i pieszego żołnierza, opisuje rozmaitą broń i zbroję z tej epoki. Tłómaczy pochodzenie niektórych technicznych polskich wyrazów wojskowych i nazw broni, — a domysły jego jeżeli może nie zawsze mają pewność za sobą, zawsze są zgodne z prawdopodobieństwem. I tak *n. p.* twierdzi wbrew Czackiemu, że gdy prawie wszystkie zbytkowe roboty, zwłaszcza ozdobne srebrem, złotem, klejnotami, otrzymywaliśmy od Wenetów, wyraz *Karabela* pochodzi od sławnego ich godła wojennego rytego na orężach. „Si vis pacem *para bellum*" tak jak *Kord* nazwany został od innego zwyczajnego napisu

*„Corda fidelium“.* W rozdziale następnym zajmuje się autor duchowieństwem. Z umysłem bezstronnością i zdrowym sądem odznaczającym się, ocenia stanu duchownego zasługi z téj epoki, wykazuje niesprawiedliwość zarzutu o prześladowanie religijne, przypomina, iż właśnie w tym czasie roku 1591, Inkwizycya święta ze śmiercią ostatniego inkwizytora rzymskiego Melchiora Mościckiego koniec wzięła, a razem dowodzi, jak Inkwizycya w Polsce była zawsze łagodna. Następnie wykazuje różnicę między duchowieństwem katolickiem i ruskiem, i przypisuje poniżenie tego drugiego ubóstwu jego i ciemnocie. — Nakoniec obszerny ustęp poświęca zjednoczeniu wyznania greckiego w Polsce z kościołem katolickim. Przedmiotem tym zajmował się z szczególną usilnością ksiądz Siarczyński, i ważne dzieło Hermana Schmidta: „O zgodności i różności między wschodnim a zachodnim kościołem“ przetłomaczył i wydał. Rozdziały następne VIII, IX i X przedstawiające obraz rolnictwa, ludu włościańskiego, przemysłu, handlu, kupiectwa, z czasu Zygmunta III, są bardzo zajmujące, i żałować należy, że dzieło ks. Siarczyńskiego nie ukazało się przed wyjściem na świat pracy p. Edmunda Stawiskiego, tytułem *Poszukiwań do historyi rolnictwa w Polsce* oznaczonéj, o któréj wspomnieliśmy z należytem ocenieniem zasługi autora w jednem z poprzednich *Dodatków do Czasu.* — Pan Stawiski mógłby był bowiem korzystać i z wiadomości zebranych przez ks. Siarczyńskiego, i ze źródeł, jakie on wskazuje. — Stan włościan w Polsce za panowania pierwszego Wazy odmalowany jest właściwemi farbami. Między innemi wiadomościami znajdujemy wzmiankę wyczerpaną z pewnego rękopismu, iż mnożące się coraz w owym czasie tak zwane daremszczyzny i daniny wymagane przez panów od włościan z tak wielką ich uciążliwością, pierwszy Sebastyan Lubomirski Kasztelan Wojnicki wciągnął do inwentarzy. Co dało powód do owego czterowiersza, który jeszcze za życia jego w Polsce krążył:

Hejże! hejże Wojnicki!
Pobije cię płacz ludzki,
Coś za grzyby nałupił,
Piekłoś sobie zakupił.

Znane są z owego czasu wiersze Klonowicza, które w swojem rymowanem piśmie: *Worek Judaszów* umieścił, i w których przedstawia w dotkliwych i ostrych wyrazach prace i cierpienia ówczesne rolnika. Przytacza je ksiądz Siarczyński; ja ich tu nie powtórzę, wiedząc, że Klonowicz był człowiekiem umysłu cierpkiego, rozdrażnionego niepomyślnością losu, i że w obrazie jego jest wiele przesady. Stan wyjątkowy włościan u niektórych złych panów, *furyatów, opilców, pysznych, wszetecznych, gorszych niż pogany,* jak ich Klonowicz nazywa, udaje on jako stan ogólny. Co prawdą nie jest i okazuje tylko nienawiść do szlachty i niesprawiedliwość sądu naszego Sebastyana Acerna. Ksiądz Siarczyński z rękopismu historyi owego czasu Possela współczesnego téj epoce, wiele bardzo korzystał; przytoczone z niego wiadomości i niektóre ustępy zasługują na uwagę i zdają się być godne wiary. W rozdziale XI trudni się autor poborami, dochodami państwa i monetą, któréj rozmaite rodzaje w Polsce ówczesnéj w używaniu będące wylicza. Ciekawe jest wyrachowanie rocznych dochodów państwa, które autor z owéj rozległéj Rzeczpospolitéj polskiéj na 21,000,000 złotych podaje. Biorąc zaś średni szacunek złotego w tym czasie po złotych pięć dzisiejszych, budżet Rzeczypospolitéj, jakobyśmy teraz powiedzieli, dochodził do wysokości, a raczéj do niskości stu pięciu milionów złotych. Dochody królewskie z Korony i Litwy, lista cywilna jak dziś mówimy, wynosiła podług ks. Siarczyńskiego, 1,370,000 złotych, czyli obecnéj wartości miała pięć milionów ośmkroć siedemdziesiąt pięć tysięcy. Opatrzenie królowéj na 250,000 złotych czyli na milion dzisiejszych złotych da się wyrachować. W rozdziale o ludności i rozległości krajów polskich, zbija autor podanie Niemcewicza o 250,960 wsiach królewskich, duchownych i szlacheckich, które na całéj przestrzeni ziemi polskiéj miały się w tym czasie znajdować; stara się zaś okazać, że ich więcéj nad 51,000 być nie mogło. Ogół zas ludności za Zygmunta III w Polsce na 24 miliony oblicza. W rozdziale XIII mieści ciekawe poszukiwania o kopalniach krajowych. Spodziewałem się, że następny, który mówi o związkach z państwami obcemi, dostarczy nam więcéj nieznanych wiadomości wyczerpanych ze źródeł ręko-

pismowych, i wyjaśniających niektóre nierozwiązane jeszcze zagadki historyczne z téj epoki. Rozdział XV wyliczając wszystkie państwa utracone za Zygmunta III, przedstawia bolesny obraz wszystkich błędów politycznych, przez niego i za niego popełnionych. W następnym zaś, osobistość Zygmunta III jest odbita w wiernym wizerunku. Nie zataił autor wad tego króla, lecz razem okazał niesprawiedliwość dotychczasowego sądu o nim, przez pisarzy historycznych głoszonego. Nadto wyliczył wszystkie przymioty tego pobożnego, łagodnego i prawdziwie katolickiego króla. Ostatni rozdział XVII wspomina o znaczniejszych zdarzeniach fizycznych, które dotknęły kraj za tego panowania.

Na tem krótkiem sprawozdaniu poprzestając, nie wątpimy, że ci, którzy upodobali sobie i za obowiązek uważają rozpatrywanie się w przeszłości narodowéj, z zajęciem zapoznają się z tym drugim tomem dzieła ks. Siarczyńskiego. Nam z przyjemnością przyszło podać o niem wiadomość, jako o dziele poważniejszéj treści, mozolniejszéj pracy i korzystniejszéj nauki. Gdybyśmy bowiem porównania szukali dla rozmaitego rodzaju prac literackich, te nędzne, liche powiastki i pisma chwilową tylko rozrywkę, bez żadnéj korzyści przynoszące nazwalibyśmy nowinkami codziennemi, które na krótko tylko zdolne zająć uwagę i to błahych i próżniaczych umysłów, a któremi to wiadomostkami trudnią się drobne i nędzne dzienniki, kiedy praca taka jak księdza Siarczyńskiego odpowiada wartością swoją wiadomościom politycznym większego znaczenia, które dłuższą pamięć zostawiają i któremi się szczególniéj zajmują poważniejsze i celniejsze pisma czasowe.

---

**Berlin** w kwietniu.

Poczyna się piąty główny rozdział kroniki berlińskiéj, skreślony wedle zmysłu czucia czyli dotykania.

Rozdział ten wiele mi sprawia kłopotu. Nie wiem zgoła, zabierając się do pisania, co w nim cechującego stolicę pruską mam zamieścić. Lękam się, aby szanowny kolega paryski, który w samym początku niniej-

széj na pięć zmysłów i szósty wykręt podzielonéj kroniki berlińskiéj ostrzegał mię o niebezpieczeństwie powzięcia takowego do niéj planu, nie miał racyi, przewidując trudności, które w końcu mieć będę w dostrojeniu wszystkich pojedyńczych organów do jednego harmonijnego akordu. Dopóki miałem do czynienia z pojedyńczemi organami słuchu, wzroku, powonienia, smaku, rzecz szła jako tako. Płynąłem jakoby korytem wielkich wprawdzie i obszernych, ale zawsze stałemi i wiadomemi brzegami ograniczonych strumieni. Płynąłem nadto z wodą. Żegluga była łatwa, chociaż niekiedy kręta. Skończywszy jednę, przedsiębrałem drugą, zapisując co szczególniéj wpadało w oczy, a mogło scharakteryzować towarzyskie życie olbrzyma stolicy.

Dziś, gdy po 27 miesięcznéj podróży stanąłem nad brzegiem oceanu zmysłu czucia, który ogarnia i przejmuje zewnętrznie i wewnętrznie cały kontynent ciała, mięsza mi się myśl na widok nieskończoności jego granic; zmysły słuchu, wzroku, powonienia, smaku przedstawiają mi się tylko jako pojedyńcze jego punkta, części lub wentylatory; czuję wszystkiemi naraz zmysłami cały świat zewnętrzny, który mię otacza; czuję własny mój byt i bytu tego zewnętrzne i wewnętrzne objawy, ruchy, tętna, formy i funkcye; czuję zarazem jakąś władzę wewnętrzną, przez którą rozróżniam i poznaję wrażenia, które każdy przedmiot dotykający mych zmysłów na mnie czyni; czuję jedném słowem duszę w sobie i tajemniczy związek jéj z ciałem, a w związku tym źródło rozwoju i poznania całego zmysłowego i duchowego świata.

Ten to właśnie ogrom całego fizycznego i duchowego świata, przechodzącego przez zmysłowe czucie i duchowe uczucie do naszéj wiedzy, ambarasuje piszącego, chcącego zastósować go do pewnéj ograniczonéj społeczności, którą ma zamiar scharakteryzować okazaniem indywidualnéj właściwości przejmowania i pojmowania przez nią tego nieskończonego rzeczy widomych i niewidomych ogromu. W istocie jest to jednak tylko „*embarras de richesse*“, który nim być przestaje, gdy się wie co z bogactwem tém zrobić, to jest, jakie mu dać miejsce i przeznaczenie.

Nasamprzód wyłączyć możemy z tego ogólnego zmysłu czucia cały świat partykularnych zmysłów, w poprzednich rozdziałach w główniejszych zarysach przedstawiony: świat zmysłów słuchu, wzroku, powonienia i smaku. Następnie wyłączyć możemy z niego cały świat właściwych uczuć, moralnych i estetycznych, prawnych i religijnych, które, czy to początek swój mają w zmysłach, wedle zasady: *„nihil est in intellectu, nisi quod antea fuerit in sensu"*, czyli go mają w duszy; mogą być dogodniéj w następnych rozdziałach traktowane.

Pozostaną nam, po tém wyłączeniu, funkcye i pojawy zmysłu czucia w najdalszém, to jest, w niezmiernie ścieśnionem znaczeniu. Staje się on w takim razie, przy ogólnym swym charakterze, zmysłem partykularnym fizycznego czucia, które się objawia zewnętrznie i wewnętrznie w naszém ciele, i daje nam poznać stan i różne przyrodzone właściwości tegoż. Ich przedstawienie, zastósowane do organicznego jestestwa czyli zwierza, zowiącego się Berlinem, stanowić zatém będzie treść niniejszego rozdziału.

Organem zmysłu czucia w wskazaném znaczeniu jest całkowity system nerwów roztaczający się w całym składzie naszego ciała. Należą zatém do niego wszystkie te czucia, które się w jakimkolwiek punkcie ciała naszego, czy to zewnątrz na jego powierzchni, czy wewnątrz w różnych jego częściach, już to same przez swój ruch przyrodzony, już pośrednio przez zewnętrzne przyczyny, odzywają. Należą więc do niego, wyraźnie mówiąc, nie tylko czucia sprawiane przez zetknięcie się ciała z przedmiotami zewnętrznéj natury, jakoto: czucia ciężkości i lekkości, ciśnienia i leżenia, twardości i miękkości, stałości i płynności, chropowatości i gładkości, śpiczastości, ostrości i tępości, mokrości i suchości, wreszcie ciepła i zimna i t. d.; ale także czucia wewnętrzne głodu i pragnienia, wszelakiéj cielesnéj boleści i rozkoszy, a nawet i czucia rzeżkości, ochoczości, siły, słabości, mdłości, otrętwienia, nudności i t. d.

Zewnętrzne czucie, którego główne siedlisko jest w powierzchni ciała czyli w skórze, nazywamy także, z powodu ciągłego stykania się ciała naszego z przedmiotami otaczającéj nas natury, dotykaniem, a sam zmysł czucia zmysłem dotykania. Wielka ilość nerwów, zbie-

gających się w końcach palców, czyni je zdolnemi do najsubtelniejszego i najdelikatniejszego rozróżniania wszelakich przedmiotów i ich właściwości, a niezmierna łatwość poruszania ręki i palców we wszystkich kierunkach czyni zmysł dotykania jedném z najważniejszych narzędzi do pojęcia, nawet bez pomocy oczu, postaci przedmiotów. Nie jest on w równéj mierze na całéj powierzchni ciała rozszerzony, ale nie masz na niéj punktu, w którymby go nie było. Wreszcie najpośledniejsze gatunki zwierząt obdarzone są zmysłem czucia, który u niektórych jedynym jest organem, to jest, całem ich życiem.

Lecz i człowieka życie zależy głównie od tego zmysłu. Nazywamy go też dla tego, mianowicie ze względu na wewnętrzne jego funkcye, zmysłem witalnym, żywotnym, czyli zmysłem życia. Można żyć, nie mając żadnego innego zmysłu, prócz zmysłu czucia. Są ludzie głusi, są niewidomi, są głusi i niewidomi razem; są którzy stracili zmysł powonienia: ludzie np. wiecznie zakatarzeni. Znałem pewnego barona meklemburskiego, który latem po wszystkich wodach jeździł i w każdéj pięknéj polce się kochał, ale każdą od siebie oddalał, bo zawsze był zakatarzony, i gdziekolwiek się pokazał, powietrze i osoby katarem zarażał, czyniąc to jakby umyślnie i z upodobania. Gdym mu jednego razu zrobił uwagę o tym nieprzyzwoitym stanie i jeszcze nieprzyzwoitszém zachowywaniu się jego nosa, bo znałem się z nim bardzo dobrze z czasów uniwersyteckich, odpowiedział mi z całą dobrodusznością i naiwnością słowiańsko-meklemburskiego junkiera: że katarem odprowadza wszystkie inne choroby od siebie; że gdy go traci, natychmiast się albo starą chustką, których zawsze kilka nosi w kieszeniach, albo zbliżeniem się do zakatarzonéj osoby, mianowicie do pięknéj młodéj dziewczyny, nanowo zaraża; że najmilszą mu jest atmosfera powietrza zakatarzonego; że cieszy się, gdy kogo zarazi, będąc najmocniéj przekonany, że dobry zrobił uczynek, przyczyniając zdrowia bliźniemu; że bardzoby się pragnął ożenić z osobą, najchętniéj z polką, któraby się zgodziła na dzielenie z nim nieustającéj przyjemności katarowego w nosie łechtania. Ten baron meklem-

burski stracił zupełnie zmysł powonienia, bo nie rozróżniał żadnego, nawet piżmowego zapachu.

Są nareszcie ludzie, którzy stracili zmysł smaku. Mówią o Fryderyku W., że smak swój zbytecznėm używaniem korzennych przypraw w jadle tak w końcu przytępił, że brzegi półmisków smarował assa foetidą, którą przy jedzeniu zaostrzał apetyt.

Możemy sobie zatem wyobrazić człowieka, niemającego ani słuchu, ani wzroku, ani powonienia, ani smaku, a jednak żyjącego, ponieważ ma zmysł czucia; ale nie możemy sobie wyobrazić tego stosunku odwrotnie, bo z ustaniem funkcyj zmysłu czucia kończy się zarazem życie samo. W normalnym przebiegu życia ludzkiego zmysł czucia jest także ostatni, który funkcyonować przestaje. Reszta partykularnych zmysłów wcześniéj tępieje i odumiera. Niewłaściwe i nieumiarkowane ich używanie, czyli to dzieje się powolnie czy nagle, zarówno je niszczy, bo powtarzane raz po raz drażnienie nerwów tak samo je osłabia i zużywa, jak nagłe gwałtowne natężenie. W zmyśle czucia objawia się to nadwerężenie lub uśmiercenie nerwów w sparaliżowaniu, ochromieniu, otrętwieniu, nieczułości, niemocy. Nigdy ono jednak nie jest tak powszechne, aby się na wszystkie części i członki ciała rozciągało, zwłaszcza i na wewnętrzne. Dopóki człowiek żyje, to i zmysł czucia funkcyonować nie przestał.

Oceniając ludzi, używamy często w pospolitéj mowie wysłowienia „człowiek bez czucia“, nie przywięzując do niego zbyt surowego znaczenia. Powinnoby być przeciwnie, bo w wysłowieniu tém, czy je weźmiemy zmysłowo czy moralnie, leży zaprzeczenie głównego przymiotu, który odróżnia człowieka i zwierzę od roślin i kamieni. Nie można o nim nic surowszego powiedzieć. Takie mają znaczenie słowa wieszcza: „Bez serc, bez ducha, tu szkieletów ludy“.

Mówimy często, dając sąd o czém, o złudzeniu zmysłów. Zmysł czucia, będąc ze wszystkich najogólniejszym, najczęściéj wystawiony jest w pojmowaniu swém na złudzenie. Oko, ucho, z powodu ściślejszego ograniczenia organu, rzadziéj temu złudzeniu podlegają. Ból, kłucie, rwanie, ściąganie w ciele zdają się nam częstokroć być zupełnie w innėm miejscu, jak są istotnie.

Objawy te zdają się niekiedy rozciągać na całe ciało, gdy w rzeczy saméj wychodzą tylko z jednego punktu. Zawsze jednak cielesne te objawy drażliwości, bólu, przyjemności, są właściwą sferą zmysłu czucia; ze sferą bowiem uczuć idealnych ma on bardzo mało do czynienia. Odwoływanie się do sądu jego w tym względzie, do sądu, który opiera się tylko na zewnętrznem zetknięciu się z przedmiotami, i chwyta tylko zewnętrzne ich właściwości i przymioty, jako ciężkość, twardość, płynność, stopień temperatury i t. d., jest zawsze bardzo nie pewne, i dowodzi tylko braku gruntownego pojmowania rzeczy.

Każdy zmysł ma dążność do uzewnętrzniania się, to jest, do objawiania się w pewnéj formie, postaci, znaku, symbolu, materyi, w których przebija się chwilowe lub ciągłe usposobienie człowieka, w jakie go przenosi ta lub owa afekcya zmysłu. Jest to działanie ducha, który w tém uzewnętrzaniu się zapomocą zmysłów objawia jedność swoję i ustawiczny związek z naturą. Kto sobie wyobraża, że człowiek składa się z dwóch odrębnych części, któremi są ciało i dusza w właściwém znaczeniu, ten nigdy nie pojmie, jakim to sposobem się dzieje, że duch wstępuje w zmysły i tworzy sobie z ich afekcyj bezpośrednią symbolikę swoję, to jest objawia zewnętrznie, postaciowo, własną swoję w nich obecność. Może w działaniu tém być wiele przypadkowego i indywidualnego, ale w rzeczach sztuki staje się ono niezbędnym pierwiastkiem i ich tworzenia i estetycznego pojęcia.

Najzdolniejsze do postaciowania swoich afekcyj są idealne zmysły słuchu i oczu. Mniéj zdolne do tego są zmysły praktyczne, indywidualnie pospolicie bardzo się różniące, zmysły smaku, powonienia i czucia; ten ostatni jako najsubjektywniejszy, ze wszystkich najmniéj zdolny. Do jego sfery należą: giest, mina, postawa, ułożenie, ruch ciała, grymas, jedném słowem mimika. Są to częstokroć bardzo dalekie tylko symbole objektywnego ducha; zwyczajnie są one tylko zewnętrznemi znakami afekcyj fizycznych. Wiadomo jednak, jak daleko np. Włosi mowę mimiczną doprowadzili. Wiadomo, jak ważną rolę mimika odgrywa w sztuce dramatycznéj. Oderwała się ona całkiem od afekcyj ciała, stała się udzielną sztuką, która zmieniła ciało na swoje narzędzie, wyda-

jące ruchami swemi pewne czucia, które mu w gruncie rzeczy są obcemi.

Kończę na tém tę szkolarską lekcyą o zmyśle czucia, dla jednych zbyteczną, dla drugich nudną, ale do gruntownego przedstawienia późniejszych rzeczy potrzebną. Każdy ma słuszną pretensyą do zrozumienia najlepiéj indywidualnych afekcyj swego ciała, ale sądząc wedle nich o drugich, nie zastanowiwszy się nad ogólną ich naturą, popadamy w błąd, bo świat zmysłu czucia, w pojedynczych swych objawach, nie zawsze i nie wszędzie jednakowo się przedstawia. Przysłowie: „jaki kto smaki, myśli że każdy taki“ — może zarozumiałemu służyć za przestrogę.

Zima się skończyła, wiosna budzi w naturze i w człowieku nowe życie. Berlin w miesiącu kwietniu przebywa porę pośrednią pomiędzy zimą i wiosną, porę piątą, którą w korespondencyi przeszłorocznéj nazwałem „wietrznicą“; oddycha piątym żywiołem, nieznanym gdzieindziéj, nieznanym przynajmniéj w takiéj postaci i mierze, który się nazywa „pył“. Jak się do téj piątéj pory i do tego piątego żywiołu ma jego piąty zmysł czucia, o tém i o niektórych innych rzeczach będzie mowa w następnéj korespondencyi.

---

## **Paryż** w kwietniu.

Aura grudniowa — niebo ołowiane — tłok ogromny — toalety przepyszne — wiatr, kurz i grad — oto biuletyn tegorocznego *Longchamps*. owéj niegdyś pobożnéj do Opactwa pielgrzymki, któréjby już dziś pewnie fundatorka klasztoru, siostra ś. Ludwika, nie poznała.— Klasztor Longchamps zniknął bez śladu, a spacer bez celu pozostał, i trwać będzie zapewne długo jeszcze, bo jest modą protegowaną przez kobiety — jeżeli zaś często omylne francuzkie przysłowie „*ce que femme veut, Dieu le veut*“ — to niezawodna prawda, że w tym kraju prawu salickiemu podległym, absolutnie panują kobiety.

Po trosze, podobno zawsze i wszędzie tak bywało, w starym i nowym świecie — boć i ów prokonsul rzymski, jeszcze przed narodzeniem Chrystusa Pana, mawiał

naiwnie: „ja rządzę Rzymem, mną żona, a nią synek dwuletni“ — i nasz arcy-rozsądny biskup Warmiński powiedział: „my rządzim światem, a nami kobiety“ — ale nigdzie zapewne niebyło to regułą tak ogólną, tak niezmienną jak we Francyi, gdzie mężczyzna jeżeli niema babki, matki, żony, kochanki, córki lub wnuczki, którejby mógł być posłuszny, słucha swojéj kucharki. — Znają to oni do siebie — i jest to zapewne przyczyną, dla któréj Francuz tak chętnie Włochowi ster państwa powierza.

Francuzki zwykle w decyzyach swoich niezłomne, mianowicie téż obstają przy wszystkiem co się tyczy ich piękności i toalety; w tym przedmiocie odbywają one pomiędzy sobą walne narady i dochodzą do konkluzyj stanowczych, na które nigdy ani prośba ani groźba męska nie wpływa.

Już blisko ośmdziesiąt lat, jak wielka niwelacya społeczna i radykalna inicyatywa angielska uprościła ubiór francuzów: zniosła galony, krótkie spodnie, sprzączki, fontazie, jasne materye, klejnoty, harcapy, peruki — i tak powoli kasując niepotrzebne dodatki, sprowadziła męzką odzież tak pod względem kroju jak gatunku, prawie do zupełnéj równości. Podczas téj reformy ekonomiczno-niwelacyjnéj, któréj dokonali mężczyźni, co uczyniły kobiety? jakąż, choćby najdrobniejszą ofiarę złożyły postępowi — jaką koncesyą zmniejszyły brzemie mężowskiego budżetu? Żadną.

Podczas kiedy znikały nasze jasne fraki, koronkowe mankiety i żaboty, batystowe koszule, brylantowe guzy, sprzączki, ustępując miejsca czarnym paletotom, czarnym kamizelkom i czarnym krawatom — podczas mówię urzeczywistniania owego pasma idealnéj abnegacyi — kobiety ciągle prześcigały się w zbytkach, stroiły się nie tylko po francuzku, ale po grecku, po rzymsku, po turecku, po chińsku — *à la Marie Stuart*, *à la Medicis*, *à la Venus*, i t. d. i t. d. Kaszemirowe szale ani na chwilę nie wyszły z mody, toż samo aksamitne szuby z sobolami, brylanty, koronki, hafty, złotogłowy i adamaszki — słowem, wszystko co posiada najwyższą zaletę drogości.

Nie dość na tem. W połowie dziewiętnastego wieku, po kilku rewolucyach które cały porządek społeczny z gruntu przerobiły — po napisaniu miliona tomów podających

na ochydę i pośmiewisko czasy Pompadur i Dubarych — na raz przyszła paryżankom ochota przywdziać stroje dam dworskich Ludwika XV — i wnet cała piękna połowa nasza, posypała pudrem roztrzepane tupety, pooszywała tysiącem falban niezmierne robrony, zaćmiła słońce milionami fruwających kokard i spadających koronek — zaprawiła powietrze wonią piżma i znikła do pasa w rogówkach.

Kontrast jaki wypadł z téj niepostępowości kobiecéj, razi co chwila: widząc mężczyznę idącego z kobietą po bulwarach włoskich, rzekłbyś, że to wiek ośmnasty z dziewiętnastym prowadzą się pod ręce, on czarny, prosty, praktyczny, w kauczuk lub grube sukno obszyty, bez pretensyi — ona różowa, wyszukana, wychuchana, zdala pachnąca jasminem lub gardenią, upudrowana, uróżowana, stukająca wysokim korkiem wykwintnego trzewika, zaczepiająca ostrym haczykiem *acroch' coeurów* przylepionych na wybladłéj skroni. — W Paryżu nieodróżni dziś sługi od pana, często nawet lokaj daleko porządniéj ubrany od tych którym podaje półmiski; Cesarz nosi paletot nie różniący się w niczem od paletotu komiwojażera — ale żeby pani jaka, choćby sprzedająca pieprz za komtoarem, ubrała się tak jak jéj służąca, tego dotąd w dziejach ludzkości nie było przykładu. Wszystkie idee równości i postępu o które świat od pół wieku dobija się i walczy, spływają po płci pięknéj jak oliwa po marmurze — najrozsądniejsze teorye jak groch o ścianę odbijają się o jéj kapryśny konserwatyzm. Kto nazwał kobiety płcią słabą, grubo zażartował sobie z ludzi: kobiety są silne, i ciężki wpływ wywierają na najważniejsze sprawy naszego żywota — za to my, na klęczkach, ze łzami w oczach, zaklinając w imie ojczyzny, nie możemy wyjednać skasowania jednéj falbany!

Wyszukanie w zabawach równa się tutaj wyszukaniu strojów. Dać teraz wieczór w Paryżu, wieczór *dystyngowany*, o którymby nieco mówiono i pisano, jest to rzecz nader trudna.... skomplikowana jak chiński obiad — wymagająca pomocy wszelkiego rodzaju artystów wyzwolonéj sztuki — kosztująca kilkanaście a często kilkadziesiąt tysięcy franków. Starożytni Rzymianie, to prostaczki w porównaniu z dzisiejszymi Paryżanami: papu-

zie wątróbki, języki kanarcze, roztopione perły Kleopatry, fijołkowe wezgłowia Heliogabala, Sardanapala wymysły— wszystko to naiwna prostota, któraby tu już nie wystarczyła nikomu. — Na dowód, opiszę ci wieczór, którym baronowa P. tak zajęła tutejszą publiczność, że o nim aż trzy dni z rzędu gadano!

Żeby tego cudu dokazać, baronowa obstalowała najprzód u optyka, ogromnych rozmiarów latarnię czarnoksiężką, w rodzaju tych, które dzieciom na ścianie cienie pokazują.— Na szkłach latarni jeden z najsławniejszych malarzy tutejszych wymalował szereg epizodów z powieści Tysiąca Nocy: *Miłostki księcia Kamaralzamana z księżniczką Badrulbudur.*— Każdy z tych obrazów poeta opisał wierszem i dorobił doń rymowane dialogi, rozumie się zabawne i dowcipne; jeden zaś ze znanych paryzkich operzystów ułożył do tych wierszy muzykę, żywą, nacechowaną wschodnią fantazyą, słowem taką, żeby jéj z przyjemnością mogło słuchać wykwintne towarzystwo baronowéj.

Naturalnéj wielkości cienie latarni czarnoksiężkiéj, przesuwały się po białem płótnie rozwieszonem w końcu sali balowéj. Za tem płótnem była ukryta wyborna orkiestra, oraz najpierwsi śpiewacy (jak Mario i Alboni) którzy, to chórem, to pojedynczo śpiewali słowa włożone przez poetę w usta przesuwających się cieni.

Nie na tem koniec. Po wykonaniu téj skomplikowanéj reprezentacyi, rozpoczęto drugą niemniéj zajmującą. Po témże płótnie, jakby szerokim traktem do potomności, defilowała procesya paryzkich znakomitości; procesya trwała przeszło godzinę! Wszyscy mężczyźni i kobiety mający sławę lub znani obecnie w sztuce, polityce i finansach, jedni za drugimi szli jak żywi, niosąc z sobą wszystkie swe wdzięki i wszystkie niedostatki uchwycone zręcznym ołówkiem paryzkich karykaturzystów. Dla każdéj z tych osób były zrobione miłe, lekko satyryczne wierszyki, które w czasie kiedy osoba przechodziła, śpiewały głosy ukrytych za płótnem muzyków.

Przeszli w ten sposób wszyscy znakomitsi aktorowie paryzcy, wszyscy tutejsi sławni malarze, rzeźbiarze, historycy, powieściarze, poeci, feletoniści, ministrowie, za nimi bankierowie, a za tymi najważniejsza persona, monarcha trzymający w ręku swem cugle świata, szedł

Rothschild cały złoty, pod baldachimem niesionym przez czterech kapitalistów. Orszak zakończyła galerya jenerałów i marszałków wsławionych ostatnią wojną. Pelissier przytomny téj paradzie, śmiał się serdecznie, ujrzawszy siebie z laurami na głowie, w ubiorze nie nadającym się wcale do apoteozy, naszkicowanym wedle zimowéj krymskiéj maskarady.

Po tem widowisku rozpoczął się bal. Podług najświeższéj mody, tańczono menueta, który, jako konieczne następstwo rogówek, wygnawszy *polki* i *ułany*, sam jeden w sali balowéj pozostał, i dla większéj wygody kazał ją sobie wysłać dywanem. Nic pocieszniejszego jak te dygi na miękkim kobiercu wykonywane w poważnéj cichości. Gdyby jaki wieśniak z naszych nadwiślańskich łanów zabłąkał się przypadkiem na taki bal do takiego salonu, zdałoby mu się że widzi obrosłą krzakami łąkę na któréj kłaniają się sobie kopy siana, a pośród nich krąży stado żerujących bocianów . . . myśląc że to czary, pewnie by splunął ów mazur, szepcąc patryarchalny formularz: „na psa urok.“

Ale niepotrzeba Maćka żeby się dziwił obyczajom paryzkim. Ambasador Jego Wysokości Króla Siamskiego który jako brat słońca, ciemnemu słudze pewnieby interesów swego państwa nieporuczył — zasłużył tu sobie na imie wielkiego gbura i barbarzyńca, za to, że wielu rzeczy w paryzkich obyczajach pojąć niemógł.

Był to człowiek dziwnego nabożeństwa, splennik, filozof — chciał wszystko wiedzieć i wszystko sobie wytłómaczyć. Chociaż umiał jako tako po francuzku, przyjął sobie francuza, żeby go oprowadzał po mieście i czytał dzienniki.— Przy jednéj takiéj lekturze uderzył go anons pasztetnika polecającego swoje łososiowe pasztety z truflami na post. Ponieważ przybył właśnie do Paryża w poście i kilka razy słyszał już ten wyraz nierozumiejąc go, zapytał tedy najprzód francuza, co to jest post ? Tłumacz odpowiedział mu, że to jest czas modłów i wstrzemięźliwości, trwający dni czterdzieści, w ciągu których ludzie w tych krajach wszelkiego rodzaju utrapieniami dręczą ciało swoje, chcąc tym sposobem odpokutować całoroczne grzechy.

Siamski filozof wysłuchawszy uważnie tłumacza, zamyślił się, a po chwili milczenia rzekł:

— Musi to być bezecne jadło, ten pasztet postny. Zapewne ten co zrobi najgorszy, najwięcéj ma między wami odbytu? Człowiek cnotliwy który sporządza te pasztety, pewnie mięsza do ryb rzeczy najmniéj miłe powonieniu i smakowi.... Ciekawy jestem zobaczyć tę potrawę ażeby wiedzieć do jakiego téż stopnia Paryżanie dręczyć się umieją.

To powiedziawszy Ambasador wstał, i kazał się zaprowadzić do pasztetnika.— W sklepie właśnie taki jeden pasztet napoczęty stał na stole. Mandaryn zbliżył się ciekawie, a zobaczywszy w środku wielkie trufle bure, rozumiał że to kamyki powkładane w nadzienie na to żeby zgrzytały w zębach, i uderzony mocno tym nowym sposobem dręczenia materyi, spytał kupca jak się zowią te kamyki? Skoro mu powiedziano że to nie kamienie ale trufle, spytał:

— Musi to mieć smak okropny?

— Tak, zapewne, rzekł śmiejąc się kupiec, trufle są bardzo złe dla tych co ich nie lubią.

— Rozumiem, odrzekł Mandaryn, ale czy jest kto co je lubi?

— Niemal wszyscy. Ambasador zdumiony tą odpowiedzią zamilkł. Wtedy pasztetnik ofiarował mu kawałek do skosztowania — czem zafrasowany filozof nuż się wymawiać: Ależ mój panie, ja nie jestem tutejszy... u nas w Siamie ludzie nie znają postu... niemam żadnéj ochoty się mortyfikować — studiuję wasze obyczaje, i dla tego chciałem obaczyć tę waszą postną potrawę... z resztą, jeżeli mi pan zaręczysz że mi się nic złego nie stanie, gotów jestem skosztować — ale pamiętaj, że jeżeli mnie otrujesz, będziesz miał z moim rządem do czynienia.

Po długich namowach, skosztowawszy pasztetu, Ambasador przyznał, iż nic lepszego w Siamie nigdy niejadł — a dowiedziawszy się w dodatku że kupiec sprzedaje ich tyle w ciągu postu, że w parę lat robi majątek — wyszedł kiwając głową i udał się do kościoła chcąc zobaczyć jak też się modlą ci co się tak dręczą.

W kościele trafił właśnie na kazanie. Ksiądz mówił o marnościach światowych, gromił zbytkowne stroje, kokieteryę, rozpustę, kosztowne zabawy, i gorszące młode dusze salonowe teatra. Mandaryn zbudował się widząc

jak wszyscy słów kapłana słuchają ze skruchą... rozrzewnił się nawet ujrzawszy obok siebie jakąś młodą i piękną damę którą głos kaznodziei do łez poruszył tak, że się nie mogła utulić biedaczka.

Wieczorem, będąc zaproszony do pewnéj dostojnéj pani w quartier Saint-Germain Siamski Ambasador opowiadał jéj swoje całodzienne studja i spostrzeżenia. Dama przerywała mu często głośnym śmiechem, mianowicie słuchając relacyi o postnym pasztecie. Mandaryn nietracąc fantazyi, miał już opowiadać o pięknéj płaczącéj grzesznicy co go pogodziła z paryzkimi chrześcianami, kiedy ujrzał wchodzącą ją samą.

— Pójdź kochanko! zawołała pani domu, posłuchaj no tego Siamskiego filozofa, który myślał że my kamienie zamiast trufli kładziemy w pasztety.

— Ha, ha, ha... rozśmiała się przybyła — cóż to pan sądzi, że paryżanie jąkały i chcą się leczyć na wzór Demostenesa? Nie, tak źle nie jest — mamy dzięki Bogu, wszyscy język na swojem miejscu.

Mandaryn ośmielony wesołością pięknéj damy, wdał się z nią w rozmowę, w końcu zapytał czego płakała w kościele?

— Mój panie Siamski, rzekła zapytana, najprzód powiem panu że francuz nigdyby niezadał kobiecie tak niedyskretnego pytania — mogłabym się obrazić... ale przez wzgląd na twą godność, i na to że mnie badasz, jak mówisz, w celu naukowym, otwarcie wyznam ci prawdę. — Kaznodzieja, jakto sobie pewnie przypominasz, mówił dziś rano o znikomości rzeczy ludzkich, o próżności zabaw światowych — a mówił tak pięknie i słusznie, żem słuchając go myślała sobie: wielka prawda! święte słowa! Uciechy światowe są rzeczywiście tylko próżnością, marą.. złudzeniem.. i zaczęłam w myśli przechodzić wszystkie zawody jakich w życiu doznałam. Ostatni, najboleśniejszy, dotąd w piersiach tkwi jak sztylet... wyobraź pan sobie, mieliśmy grać komedyę pod tytułem „*Dym bez ognia*“, w któréj autor mnie przeznaczył powabną rolę pasterki. Cóż powiesz Mandarynie — jakaś jejmość niewiadomo co za jedna, tak podobna do pasterki jak ja do wielkiego mogoła, wydarła mi podstępnie tę rolę!... Tem to okropniéj uczułam, że pewien malarz mój przyjaciel, wymalował mi

już przecudny strój który byłby pewnie wszystkim głowy pozawracał... Z resztą, obaczysz pan sam dzisiaj tę jejmość, i sam osądzisz, czy ona może grać rolę pasterki. Ach! niewyobrażacie sobie państwo tam w Siamie, co to tu u nas za intrygi wrą i nurtują w każdym paryzkim salonie... Ilekroć pomyślę o wrażeniu jakie mogłam była sprawić żeby mnie ta intrygantka niebyła pozbawiła roli, łzy mi się cisną do oczu... tego upokorzenia w życiu mojem nie zapomnę... dziś rano w kościele myśląc o niem, rozpłakałam się ze złości...

Tu ucięła — i znów zaczęła ocierać oczy chusteczką. Mandaryn zapomniawszy o studiach obyczajowych, przysiągł jéj na Ałłaha, że ma szłuszność, że choć nie zna owéj intrygantki, gardzi nią, kiedy się odważyła wydzierać rolę „brylantowéj gwieździe promieniami swemi noc serca męzkiego rozjaśniającéj — róży, upajającéj wonią roje duchów— najbielszéj perle jaką Ałłah ze skarbcu swego w morze wrzucił — tęczy, którą niebieskie hurysy śmiertelników ciągną do siódmego nieba — słońcu, które“... tu mu już francuzkich wyrazów do przenośni zabrakło, resztę więc mowy prowadząc na migi utulił nakonie cierpiącą damę.

Powróciwszy do domu po północy, Mandaryn nakreślił mocno swoje studia nad Paryżem, a w rozdziale o kobietach, dodał przypisek, w którym klasycznym stylem Siamskim skreśliwszy wdzięki dam tutejszych, powiada, że co się tyczy ich wewnętrznéj wartości, téj osądzić nie mógł, bo Paryżanki są toczarownice posiadające dar durzenia swoich sędziów do tego stopnia, że nie tylko na ich grzechy ślepną zupełnie, ale głupieją tak, że najpierwszy filozof na świecie gotów jak żak do nóg im się rzucić.

W Vaudeville grają teraz ładną komedyjkę Dumanoira pod napisem: „*Les femmes terribles.*“ Nie jestto właściwie mówiąc utwór sceniczny, lecz album karykatur nakreślonych z niewysłowionym wdziękiem i szczyplowością które tylko lekki ołówek francuzki pochwycić i oddać mnie. Gavarni twórca tego rodzaju szkiców, mógłby się tak dobrze na *femmes terribles* jak na *enfants terribles* podpisać. Wprawdzie Dumanoir przedstawił tylko jedną *straszną* kobietę, ale ta jedna za tysiąc stanie. — Pani de Ris uosabia złoczynny typ dam z tak

zwanego wielkiego świata, łączących z powabami ciała i toalety, powaby rozumu i gryzącego dowcipu — typ, który w salonach paryzkich sprawia szkody podobne tym, jakieby zrządziło gniazdo myszy w skrzyni koronek ukryte. Pani Ris wyrabia dowcipne słówka jak maszyna śpilki; zakończone ostrzem, haczykiem lub żądłem, eleganckie te tortur narzędzia sypią się z jéj usteczek różowych i najwykwintniejsze zadają ludziom męczarnie.— Nie pomnę gdzie czytałem o jakiejś chińskiéj księżniczce która całe dni spędzała na darciu drogich materyj — ale że prędzéj darła niż robiono — stało się więc, że dnia pewnego, nie mając już nic do szarpania, siadła na stosie złotolitych gałganów, z krzykiem i płaczem domagając się żeby jéj podano coś nowego do darcia... a kiedy całe państwo nie mogło zadość uczynić żądaniu księżniczki, w złości poszarpała sama siebie.

Takie jest życie i koniec salonowéj myszy pana Dumanoir, nie złéj wcale, lecz potrzebującéj coś gryść koniecznie, bo taka jéj natura.

Drugim wybornym typem w téj komedyi jest botanik, pan Pommerol, który chcąc uciec przed wzruszeniami wstrząsającemi wielką ludzką rodziną, schronił się w państwo roślinne; latem żyje w ogrodzie, zimą w szklarni. Rozkwieciny tulipanów, szczepienie róż, sadzenie sałaty i kartofli, są jedynemi wypadkami tego jarzynnego żywota. Przeżywszy życie jak kret, został pochowany w grządce — oto jego biografija i nagrobek.

Zabawny także jest pan Bonassieux, uosobienie banalnéj grzeczności tak zwanych dobrze wychowanych ludzi. Ma on przysłowie: „*j'ai l'honneur d'être votre très humble et très obéissant serviteur.*“ Pusty we środku jak trzcina, Bonassieux należy do rzędu tych co to jeszcze po śmierci kłaniać się będą jak chińskie pagody na kominku, cała bowiem inteligencya zastygła w ich głowie w jedną bryłkę ołowiu.

Do nowości tego miesiąca należą jeszcze: *Czarodziejka* Halevego — wyścigi, i otwarcie Bulwaru Sebastopolskiego.

W pierwszéj są przepyszne dekoracye, oryginalny menuet w formie żywéj gry w szachy, i piękna muzyka w piątym akcie. Pośród panującéj na scenie czczości, takie trzy zalety w jednéj sztuce, to i tak bardzo wiele.—

Wyścigi skończyły się mniéj dramatycznie niż zeszłego roku, bo tylko dwóch jockejów kark skręciło — otwarcie bulwaru było niezmiernie huczne i wesołe. Cesarz wytłómaczył zgromadzeniu cel nowéj drogi. W mowie swojéj powiedział że tą prostą, szeroką i długą ulicą kazał przerznąć Paryż nie tylko na to żeby ozdobić miasto i uzdrowić fizycznie Paryżanów, ale żeby otworzyć kanał cyrkulacyi dla lekarstwa najskuteczniejgo na wszelkie niestrawności moralne — dla kartaczy.

Tłum rozszedł się krzycząc zapamiętale:

„Vive l'Empereur!"

---

**Londyn** w kwietniu.

Zeszłego miesiąca zrobiłem był krótką wzmiankę o kardynała Wisemana wyszłym tu z druku pamiętniku: „Czterej ostatni Papieże". Dziś robię z niego wyciąg. Powodowany do tego jestem nowem prześladowaniem zagrażającem— jak w *Czasie* nadmieniacie — dyecezyi grecko-katolickiej Chełmińskiéj, aby ją przewieść na syzmę. Wyciąg ten z dzieła kardynała, tyczy się odwiedzin Cesarza Aleksandra i Cesarza jego poprzednika w Rzymie i ich tam przyjęcia. Posyłam go wam bez żadnego komentarza; czytelnicy sami mogą swe uwagi nad nim zrobić. Jest on ważnym przyczynkiem do historyi Kościoła w Polsce.

„Nie od rzeczy będzie wspomnieć — pisze kardynał, że teraźniejszy Cesarz rosyjski, jak był carewiczem, odwiedził Rzym, gdzie przyjmowany był z uszanowaniem przez wszystkie stany, i także od Papieża Grzegorza XVI z jak największą łaskawością. Młody ten książe (Aleksander) dał się nieraz z tem słyszeć, jak miłem dla niego było to przyjęcie; mówiono nawet, a mam to od otaczających go osób, że przed odjazdem kazał się postarać o portret Papieża Grzegorza, aby go na zawsze zachować jako drogi wizerunek przyjaciela, dla którego powziął głębokie uszanowanie i szacunek. Jakoż później roku 1842 cesarz Mikołaj ojciec jego jakby wywdzięczając się za tyle uprzejmości okazanéj dla syna, przysłał był Papieżowi kosztowne podarunki:

przepyszną wazę malachitową, która znajduje się teraz w bibliotece Watykańskiéj i wiele różnych pamiątek z tegoż drogiego materyału, dla bazyliki ś. Pawła.— Pomimo to, nieprzestał on obchodzić się surowo a nawet z okrucieństwem z katolikami a osobliwie z Polakami w swém państwie, przymuszając ich tysiącami do przechodzenia na wyznanie greckie i utrudniając wszelkiemi sposobami zachowanie wiary ojców. Pozbawiani byli swych biskupów i księży, w prześladowaniu tem dopuszczano się nad niemi gwałtów, udręczeń, i skazywano z nich wielu nawet na cielesne cierpienia. Niezaniechała stolica Apostolska zanosić w tym względzie skarg swych na piśmie i prywatnie, lecz napróżno; bo nieuzyskano sprawiedliwości, i wielokrotnie powtarzane przedstawienia albo nieprzyniosły żadnéj albo mało ulgi. Nakoniec roku 1845 w grudniu sam cesarz Mikołaj I. przybył do Rzymu. Za przyiazdem jego do téj stolicy, uważano wtenczas we Włoszech,— a jak mi się zdaje także w Anglii, — ile to różnych używano środków ostrożności aby osobę jego ochronić od niebezpieczeństwa spisku: pałac gdzie stanął, jego łóżko, jego pokarm i straż honorowa tak bacznie były urządzone, aby żaden zamach na niego przez skrytych nieprzyjaciół niepodobnym był do wykonania. Jakoż co do tego żadne niespotkało go nieszczęście, wyjąwszy jedno to jakie mu się zdarzyło na pamiętnem posłuchaniu z głową Kościoła, którego niemiłosiernym był prześladowcą, gdy stanął przed Papieżem jako współzawodnik i samowładny zwierzchnik swego tak zwanego „Prawosławia“, i przywłaszczający sobie opiekę nad kościołem całego Wschodu. Według urządzenia, posłuchanie to miało się odbyć prywatnie. Cesarz miał mieć przy sobie tylko jednego Buteniewa, który był wtedy posłem rosyjskim w Rzymie, a Papież jednego z kardynałów. Wybór Papieża padł na kardynała Acton, Anglika. Odwiedziny i widzenie się panujących na takowych warunkach oparte nie mogły wydawać się czém innem jak konferencyą, w istocie też były konferencyą. Papież czuł, iż miał przed sobą uroczysty i przykry obowiązek do wypełnienia, tylko że przedmiot z wszystkiemi szczegółami téj konferencyi,— ponieważ miała zostać tajną, nigdy nie był wyjawiony. Tyle tylko wiadomo, iż przedstawienie

Papieża było krótkie, nacechowane prostotą, i pełne ufności w swą moc: „Wypowiedziałem mu wszystko czem Duch święty mnie natchnął“.... Przypadkiem Anglik jeden znajdował się pod ten czas w téj części pałacu którędy Cesarz przechodził, i widział go tak wchodzącego do pokoju Papieża, jak i wychodzącego po skończonéj konferencyi. Uważał on, że Cesarz wchodząc, szedł jako miał zwyczaj mocnym krokiem i z miną prawdziwie królewską. Okazałą była jego postawa, rysy jéj wybitne jakby posągowe, i układ cały ledwie nie marsowy, krokiem szedł wolnym i mierzonym, z wejrzeniem łaskawém, i ułożeniem grzecznem do witania. Tak przeszedł kilka przedpokojów. Dwugłowy orzeł wspaniale odbijał się z błyszczącego hełmu, obwiewany był pióropuszem, jakby niezmordowany w swym locie, z ognistym dzióbem i szponami na nową pastwę. Naoczny ten świadek widział potem Cesarza wychodzącego, ale jakże był odmienny! Wyszedł z odkrytą głową, z włosem w nieładzie (dishevelled) pomieszany, blady, wydając się jakby w ciągu téj jednéj godziny wystawiony był na najtęższe cierpienia gorączkowe. Krok jego był długi, posuwisty, postać pochylona, niepostrzegał obecnych, niewitał nikogo. Nieczekał aż kareta zajedzie przed schody pałacu, lecz pieszo przebiegł dziedziniec, tak jak gdyby pierzchał z miejsca doznanéj porażki“.

Mnóstwo dzieł wychodzi o Indyach, które niepodobna tu wyliczać i rozbierać. Rząd angielski po zdobyciu Luknowa widocznie bierze górę w Indyach, a powstańcy, osobliwie do wyższych klas należący, jeśli uznani są za winnych, skazywani bywają na wygnanie na wyspy Andamańskie. Już ich wielu tam wywieziono, i ten sam los podobno spotka króla delhickiego, który właśnie teraz zostaje pod sądem. Dołączam tu opis tego miejsca, wygnania na wyspach Andamańskich, gdzie ten ośmdziesięcioletni starzec wraz z drugimi wspólnikami buntu ma ostatnie dni smutnego życia przepędzić, i to pośród najdzikszéj ludności.

Wyspy te leżą w zatoce Bengalskiéj. Do roku 1824 czyli do wojny Anglików z państwem Burmah, ledwie one ze słychu były znane, i położenie ich na mapach geograficznych nie było dokładnie oznaczone. Największa z pomiędzy tych wysp, a leżąca ku północy ma

do 120 mil angielskich długości, a do 20 jest szeroka. Środek jej wznosi się na 2,400 stóp nad powierzchnią morza, a najwyższy jéj szczyt zwany Saddle Peak dla podobieństwa swego do siodła, służy żeglarzom do kierowania się w podróży. Kilka niewielkich strumieni płynie z tych wzgórzy do morza. Niezbywa wprawdzie wyspom tym na rozmaitego rodzaju drzewie zdatnem do budowy łodzi a nawet okrętów; lecz wyjąwszy mangrów, nie ma na nich żadnych drzew owocowych, i nawet orzech kokosowy, rosnący na pobliskich Nikobarach, tam nie rośnie. Ale za to rozmaitych ryb morskich po brzegach co niemiara. Ryby te są prawie jedynem pożywieniem tamecznych mieszkańców, ale jedzą oni także jaszczurki, węże, gwany i szczury. Na największéj z tych wysp znajduje się także gatunek maleńkich świń pasących się trzodami w cieniu lasów. Ich czaszkami i kościami lud wyspiarski ma zwyczaj przyozdabiać swe mieszkania, skąd rozpowszechniło się mniemanie iż lud ten był ludożerczym i co mu z ludzkich zwłok nie służyło na żer, tem swe szałasy przyozdabiał. Jest to najdziksze plemię ludzkie, a przy tem bardzo okrutne. Nie daje przystępu do siebie obcym, odpędza zbliżanie się strzałami z łuków, rzucaniem oszczepów. Plemię to poczytują za spodloną rasę Negrów, i wielkie też ma do nich podobieństwo, bo i włos wełniasty, i wargi grube, i nos spłaszczony. Wzrostu jest małego, rzadko znaleść ludzi wyższych nad 5 stóp; cery zupełnie czarnéj, bez najmniejszego odcienia jaśniejszego koloru, chodzą zupełnie nago lub też w odzieży tak pierwotnéj, jak pierwsi nasi rodzice po upadku. Ich mieszkaniem proste budy na czterech w ziemię wbitych palach, podparte i oplecione gałęźmi. Nieznają żadnéj innéj potrzeby krom pokarmu; za nim się też jedynie ubiegają, to rozsypując się po brzegu morskim, to gramoląc się po urwiskach skał. Najdokuczliwszą plagą dla nich jest mnóstwo owadów, których roje te wyspy wydają; dla obrony od nich nurzają się w wodzie, obrzucają się błotem, które przylgnąwszy do skóry, czyni ją tak nieprzenikliwą, jak skóra hippopotama. Zwyczaj mają malować włosy żółto-czerwoną glinką czyli okrem, co robi ich wejrzenie tem obrzydliwszem. Pomimo tej odrażającéj postaci i dzikości charakteru, nie brak u nich grze-

czności i pewnej ogłady pochodzącéj z wychowania. — Ten, naprzykład uchodzi między nimi za gbura i człowieka bez okrzesania, ktoby nie umiał w pewien sposób przywitać sąsiada podniesieniem w górę nogi i uderzeniem łytki dłonią. Taki jest ten lud i jego obyczaje jak je p. Allen w *Indyjskim Mailu* opisuje.

Pośród takich ludzi i na taką opuszczoną wyspę, ostatni potomek dynastyi potężnego niegdyś Tamerlana skazany ma być na wygnanie, by zakończyć życie i sławę mocarstwa W. Moguła. Jaki obraz zmienności losu i wielkości ziemskich! Wygnaniec miał umysł ukształcony, był nawet poetą w indostańskim języku. Tać to poezya, któréj zbyt zaufał, ostatni mu cios zadała i dobiła go. Wiersze jego, które tu przytaczam, wykryły dowodnie jego winę przed sądem. Przytaczam je w oryginale indostańskim wraz z tłumaczeniem:

„Dila qùvà i-hagg par kar to nazar,
Nazàrâ ki jûti Nazàrà kà sir.

„O serce moje! poznaj moc twego prawa,
Chrześcianin pobił się własnym trzewikiem.

„Kuchh kàm Rûm ne kiyà aur na Rús ne;
Angrez ko tabàh kiyà *kàrtùs* ne.

„Nic niedokazał Rzym, nic wielkiego Rus;
Potężni Anglicy pobici tu jednym nabojem.

„Fauj ne akàr ghirà hai, nind ga-i-aràm gayà,
Jikà jànà thahrà, subh gayà ya shàm gayà“.

„Wojska ich otoczone, sen i pokój odjęty;
Śmierć spotka ich niechybna, a mniejsza to, czy
przyjdzie na nich zrana czy wieczór.“

Wychodzi tu osobny dziennik dla płci pięknéj. *English Woman's Journal.* Przedmioty jakie w nim traktowane, ściągają się do wychowania i ukształcenia kobiet, właściwych im zatrudnień i przeznaczenia; a o sławniejszych daje się zajmujące życiorysy. W numerze na bieżący miesiąc znajduje się ciekawy życiorys dwóch

siòstr Elżbiety i Emilii Blackwell, które odbywszy wszystkie kursa nauk lekarskich, pierwsze z kobiet, jak dotąd, zyskały stopień doktorów medycyny w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Życiorys ten skreślony przez ich młodszą siostrę Annę. Starsza ich siostra Dr. Elżbieta B. po otrzymaniu stopnia doktorskiego podróżowała po Anglii, Francyi i Niemczech, gdzie dla wydoskonalenia się w lekarskim zawodzie zwiedzała uniwersytety i szpitale, zwracając szczególnie swą baczność na słabości kobiet i dzieci.

Za powrotem roku 1851 do Nowego Jorku, zajmowała się wyłącznie leczeniem tych chorób i obszerną miała praktykę. Przeszłego roku za usilnem jéj staraniem udało jéj się tam założyć dyspensaryą czyli aptekę do udzielania lekarstw dla ubogich i oddzielny szpital dla kobiet. Przy tym szpitalu na stałego i w nim mieszkającego lekarza i dozorcę wybraną była inna lekarka, a nią jest (co zapewne wasze czytelniczki nie mało zdziwi) nasza rodaczka „Dr. Maria Elizabeth Zakrzewska“ która, jak się domyślam musiała tęż samą mozolną drogę jak siostry Blackwell pierwéj przebiedz, zanim osiągnęła tak zaszczytny dla siebie najwyższy z uczonych stopni uniwersyteckich. Oprócz w sztuce położniczéj, nieposuwano u nas wyżéj ukształcenia kobiet; pytanie więc zachodzi, czy nie należy rozwijać wyższych ich usposobień, któremi płeć żeńska z natury swéj hojnie na ulgę dla cierpiącéj ludzkości jest obdarzona. Nikt z nas niezaprzeczy kobietom nieocenionych zasług z jakiemi zwykły otaczać łoża chorobą złożonych i owéj tkliwości dłoni z jaką śmiertelny pot ocierają z czoła konającym. One nam stają wszędzie za matki, za siostry, bo ród kobiecy jest zachowawczy.

Statystyka poczty angielskiéj nastręcza ciekawy przedmiot do uwagi, wskazuje bowiem o ile poczty innych krajów są ograniczone jeszcze w swych działaniach. — Z urzędowego wykazu wyczytuję, iż przeszłego roku liczba listów odebranych z poczty wynosiła 504 milionów, więcéj o 5½ % niż zaprzeszłego roku. W przecięciu 21 listów wypada na osobę rocznie w Anglii, 16 w Szkocyi, a tylko 7 w Irlandyi. Ilość listów od czasu redukcyi ich opłaty na jeden pens, pomnożyła się sześć razy. Liczba numerów dzienników różnych przesłanych przez

pocztę roku 1857 wynosiła 71 milionów, tyleż co i poprzedzającego roku; z nich 75 na sto było stęplowanych. Biór pocztowych do przyjmowania posyłek pieniężnych było 2,233; o 138 więcéj jak dawniéj. Ogół posyłek tych w ciągu roku wynosił 6,389,702, a wartość jego 12,180,272 fst; opłata komisowa od nich 106,852 fst. pozostawiając czystego dla skarbu dochodu 24,175 fst. Zważając na tak wielkie korzyści jakie zniżenie pocztowych opłat w Anglii przynosi, rząd zgodził się na zaprowadzenie sześciopensowéj poczty do wszystkich kolonij, jakoteż do Indyj wschodnich, i już w tej mierze toczą się układy z przedsiębiorstwami parowców aby regularnie co tydzień pocztę tam i napowrót przewoziły. Z wymienionéj liczby listów pisanych przez pocztę, można brać miarę ile jest ruchu i życia wewnątrz W. Brytanii, i oraz ile w nich Anglia stosunkowo przewyższa Szkocyę, a ile oba te kraje przewyższają Irlandyę. W miarę też tego, wyższość oświaty, wzrost przemysłu i lepszy byt ludu zdają się w tém mieć również swego wykładnika. Co za różnica we względzie poczt innych krajów do angielskich. W całem państwie rosyjskiem nie było roku 1855 na poczcie więcéj jak 16,400,000 listów, kiedy na jedno angielskie miasto Manchester i jego przedmieścia tyleż ich liczą.

W połowie bieżącego miesiąca miałem sposobność oglądać w porcie Keyham pod Devonportem linę elektryczną *(cable)* mającą być przewleczoną przez Ocean Atlantycki w celu zaprowadzenia komunikacyi telegrafowych między Anglią a Ameryką. Lina ta, przy rozciąganiu jej przeszłego roku przez morze, jak wiadomo, zerwaną została o 300 mil od brzegów, z przyczyny nagłego jej spuszczenia obok wstrzymania na miejscu okrętu, przez co lina zerwała się. Wrócono się z nią na powrót do Anglii i wyładowano w Keyham na zimę w obszernej szopie umyślnie na ten cel zbudowanej. Tam ją oglądałem. Leżała zwinięta w krąg jak postronki na dwa cale w przeciągu gruba, od końca mającego się rzucić od brzegu, a potem stopniami nieznacznie zwężająca się do cieńkości małego palca. Ta cieńsza część ma być rzucona pośrodku morza. Dwa okręty „Agamemnon angielski“, i „Niagara“ amerykański były przeznaczone do rzucenia téj liny przez Ocean. Po

zerwaniu jéj, pierwszy przywiózł część jej na 1250 mil długą, a ostatni na 900 mil. — Teraz oba te okręty przybyły dla zabrania jej z Keyham, i wkrótce z nią odpłyną na rozpoczęcie na nowo roboty przywiozły takiejże liny więcej w dodatku na 3000 mil. Drut liny mający służyć za przewodnika płynu elektrycznego pokryty cały różnej grubości masą kauczukową, powleczony nadto smołą dla zabezpieczenia go od zepsucia. Widziałem robotników po tych krągach lin chodzących i nie broniono im tego — takiej są tęgości i mocy. Prądy jakie bywają w głębiach morza niezerwą jej. Oba okręty mają mieć dodane sobie po jednym parowcu, aby w razie potrzeby mogły ich użyć ku pomocy. A ponieważ jest to przedsięwzięcie nie małej wagi, nim więc okręty odpłyną, ma być zebranie najbieglejszych Inżynierów, którym przedłoży się cały plan według którego drut elektryczny będzie spuszczany, dla zasiągnienia w tym względzie ich zdania i światłej rady, aby nienarażać się znowu na jaki zawód. Jak się im w tem powiedzie, pod koniec lata się dowiemy.

Prawdziwie umysł się gubi na widok tylu olbrzymich przedsiębiorstw dla ułatwiania komunikacyj. Aby żądzy ludzkiéj nieograniczonéj w swych zapędach w tem dogodzić, niwelują góry lub przebijają je na koleje żelazne po nad nurtami rzek i przepaściami rzucają cudownéj budowy mosty, lądy przekopują by połączać morza z morzami. Morze samo niezdolne rozgradzać krajów, od krajów, narody od narodów; wybudowano lewiatany mające z krociami ludzi pruć falistą oceanów powierzchnię, a misterne tymczasem powrzucane są weń druty na rozmawianie przez bezdenne ich otchłanie z ludźmi najodleglejszych części świata. Wynalazczy umysł człowieka niezna granic, niezna przeszkód. Lotem ptaka szybuje balonami w powietrzu, instynktem kreta ryje fundamenta ziemi. Zaledwie kilka miesięcy upłynęło jak zatrudniano się zamysłem, aby za pomocą podziemnego tunelu pod ciaśniną Kaletańską, połączyć Francyę z Anglią, ‹liści już nowy występuje na jaw projekt, a nim jest rzucenie mostu z Francyi do Anglii przez całą tę morską ciaśninę. Proponującym ten plan jako łatwiejszy od pierwszego do wykonania jest inżynier Boyd. Most jego ma być wiszący na zasadzie innych rurowych (tu-

bular) mostów zbudowany, a jakich kilka w Anglii się znajduje (Obacz Tom VII str. 848 Dodatku). Rzucony ma być z przylądku Grisnez przez kanał Kaletański do Dover, na przestrzeni 18 mil angielskich czyli przeszło 4 mil polskich. Składać się ma z 191 arkad, na 500 stóp szerokich. Tuby czyli rury mają opierać się na kolumnach wzniesionych na 300 stóp nad powierzchnią wody na sztucznych wyspach, a te otoczone po brzegach będą poduszkami z kauczuku dla odwrócenia niebezpieczeństwa na przypadek uderzenia o nie okrętów. Koszta tak kolosalnego przedsięwzięcia według obrachunku przez p. Boyd zrobionego, mają wynosić 30 milionów fst. lecz gdyby je uskuteczniono, cały ten nakład, tak kapitał jak jego odsetki wróciłby się za lat ośm, z opłaty mostowéj, pobierając po 10 szylingów od podróżujących. Wam, dla których w kraju trudno o mosty na naszych rzekach, i promami przez nie się przewozicie, przedsięwzięcie to wydawać się będzie niepodobieństwem i bajką. Ja sam jako nawykły do dawnych zwyczajów, wolę je kłaść między bajki, jednakże nie mogę tego nie pisać do *Kroniki* waszéj, gdyż wiele rzeczy co mi się dawniéj zdawały zrazu być niepodobnemi, ujrzałem w końcu wykonane. Szczęść ci Boże, duchu wynalazczy! Ten tor dla ciebie właściwy, z wyższych wyroków wytknięty.

# GAZETKA LITERACKA.

**Kraków.** Do najważniejszych publikacyi należy: *Rocznik* Tow. Nauk. krakowskiego stanowiący 24 tom ogólnego zbioru Roczników. Obejmuje on następujące rozprawy: Zdanie sprawy z czynności Tow. Nauk. dokonanych od 1852 do 1857 r. p. Dr. Piotra Bartynowskiego. Mowa Fr. Wężyka przy objęciu prezesostwa Tow. Nauk. Broń sieczna wogóle i w Polszcze uważana archeologicznie p. J. Łepkowskiego. O Andrzeju Radawieckim Dominikaninie p. K. Mecherzyńskiego. Obrazki wód podgórskich Krynica, Bardyów, Rzegiestów, Zulin p. prof. Skobla. O dwókrotnem zamężciu Księżniczki Lud. Karol. Radziwiłłownéj i wynikłych ztąd w Polszcze zamieszkach p. Zyg. Ant. Helcla. Dodatki: Instrukcya dla komissyi Balneologicznéj. Spis imienny Członków Tow. Nauk. krak. w r. 1858. Dary złożone Tow. Nauk. od 25 lutego 1856 do 25 lutego 1858. Niektóre rozprawy tego Rocznika odbite są osobno i krążą w handlu księgarskim.

*Biblioteka Polska* wydawana p. K. Turowskiego dostarczyła kilka nowych rzadkich przedruków, między innemi: Poezye Mikołaja Sępa Szarzyńskiego i Tobiasza Wiszniowskiego. Następnie treści politycznéj: Zdanie syna koronnego o piąciu rzeczach Rzeczypospolitéj Polskiéj należących przez ks. Piotra Grabowskiego r. 1595. Autor pobudza panów Chrześciańskich do ligi przeciw Turkom. Treści prawniczéj: Ustawy prawa Ziemskiego Polskiego dla pamięci lepszéj krótko i porządnie z statutów i konstytucyi zebrane z przydatkiem: O Obronie koronnéj, i o sprawie i powinności urzędników wojennych JMpana Jana Tarnowskiego niegdy kaszt. krakowskiego. Wydawca donosi iż dokończenie dawniéj zaczętego przedruku: Żywotu J. K. Chodkiewicza niebawem wyjdzie na widok.
— Album widoków Szczawnicy, wydawane p. Szalaya składające się z sześciu zeszytów w każdym po cztery litografie, z tekstem historycznym i opisowym,

niebawem ukończone zostanie; albowiem pierwszy zeszyt już wyszedł i obejmuje: Widok Szczawnicy, Friedmana, Czorsztynu, i Czerwonego klasztoru z opisem tych miejsc bardzo zajmująco skreślonym p. Szczęsnego Morawskiego wybornie obeznanego z miejscowością gór. Prenumerata na 24 litografij z tekstem wynosi 10 złr. w srebrze.

— Czytelnia Domowa Wildta ukończyła wydanie romansu *Afraja* czytanego z wielkiem zajęciem; jestto bowiem jeden z lepszych płodów romansu niemieckiego. Życzyćby należało żeby z podobnym wyborem postępowała nadal ta publikacya.

Wszystkie te książki wyszły w drukarni *Czasu*. Drukarnia Budweisera ukończyła także dziełko: Historya kościoła Ruskiego przełożone na polskie z włoskiego oryginału ks. Franciszka Gusty.

**Lwów.** W drukarni Instyt. Ossolińskich zaczęło wychodzić arkuszami dziełko: *Ustawy* dla posiadaczy dóbr ziemskich w Galicyi potrzebne we względzie politycznym, sądowniczym i finansowym p. L. Biegelmajera nadradcę finansowego. Pismo to obejmie następujące przedmioty: 1) O ustawie względem odkupu, lub regulacyi służebnictw. 2) O stałym katastrze podatku gruntowego. 3) O sposobie wydzierżawienia dóbr ziemskich z uniknieniem procesów, mając szczególniéj wzgląd na ustawy o prowizoryach. Dziełko to wielce potrzebne do praktycznego użytku, zakłopotanych nieraz właścicieli niemogących się zoryentować w mnóstwie ustaw, przepisów, patentów i t d. powinnoby mieć przystępniejszą cenę, niż po 20 kr. w sr. za arkusz wielkim drukiem; najwspanialsze bowiem edycye najznakomitszych autorów, jeszcze niezwykły dochodzić ceny 20 kr. w s. od arkusza.

W drukarni zakł. Ossolińskich wyszło dwa tomy *Materyałów* do dziejów bezkrólewia po śmierci Augusta III i pierwszych lat dziesięciu panowania Stanisława Poniatowskiego. Wydawcą tych materyałów jest Henryk Schmitt. Artykuły zawarte tu, podają naprzód bezkrólewie po Auguście III przez niewiadomego autora. Następnie pamiętnik Murraya, który z Dumourierem przybył do Konfederacyi Barskiéj. Są i korrespondencye z czasu pierwszego podziału pisane po francusku przez jakiegoś pełnomocnika miast pruskich do biskupa Kierskiego, a teraz w Polskim przekładzie podane.

**Zagrzeb.** Prof. Franciszek Racki wydaje tam swą obszerną historyczną pracę w narzeczu ilirskiem pod tytułem: „Wiek i czynności SS. Cyrilla i Methoda apostołów Słowiańskich.“ (*Viek i djelovanie sv. Cyrilla i Methoda*) Zeszyt 1 obejmuje na 77 stronach jako wstęp, obraz stanu politycznego i religijnego Sławian w VII VIII i IX wieku.

Tamże w drukarni Ludwika Gaja wyszedł znanego archeologa Jana Kukuljewi za Sakczyńskiego: Dykcyonarz biograficzny artystów południowo słowiańskich (*Slovnik umjetnikach jugoslavenskich. U Zagrebu 1858*) w 8ce str. 112.

**Wiedeń.** Drukiem Fryderyka Manz ogłosił tamże prof. Alojzy Wojciech Szembera w narzeczu czeskiem napisaną Historyą języka i literatury czeskiéj. (*Dziejiny rzeczi a literatury czeskoslovenske*. Część pierwsza tegoż dzieła obejmująca epokę

najdawniejszą od r. 58 przed Chrystusem (!) aż do r. 1409 mieści się na 208 str. w 8ce.

**Praga.** Nakładem F. Tempskiego wyszło tam ważne dzieło uczonego Pawła Józefą Szafarzyka w języku niemieckim: O początku i ojczyznie alfabetu głagolickiego (*Ueber den Ursprung und die Heimath des Glagolitismus*), w 4ce, str. VIII, 52 i 1 tabl. faxymil. Autor popiera tu mocnemi historyczno-krytycznemi dowodami zdanie które już roku zeszłego Ign. Jan Hanusz objawił, iż alfabet glagolicki wynalazł św. Cyryl dla Słowian w pannońskiéj Morawii około r. 862, podczas gdy litery tak zwane kirylskie przez św. Klemensa biskupa w Wielicy zmarłego r. 916, niemal w pół wieku późniéj od alfabetu głagolickiego, podług osnowy greckiéj dla Słowian bulgarskich ustanowione zostały.

**Medyolan.** O. Dominik Bertolloti wydał po włosku obszerny żywot św. Jacka patrona polskiego (*Vita di San Giacinto dell' ordine dei predicatori apostolo del settentrione e taumaturgo del secolo XIII*) w 8ce str. 263. Jest to już trzeci żywot św. Jacka w języku włoskim ogłoszony; pierwszy albowiem ogłosił Jacek Ghisi-Cibo r. 1594 w Weronie, a drugi uczony dominikan prowincyi ruskiéj, Klemens Chodykiewicz w Wenecyi r. 1749. W języku polskim prócz dawniejszego dzieła wydanego przez Ant. Grodzickiego przeora krak. w Krakowie 1595 dotąd jeszcze nie posiadamy obszerniejszego żywota tegoż świętego.

**Paryż.** Nakładem Bibl. Polskiéj paryzkiéj wyszło właśnie dzieło: *Alberti marchionis brandenburgensis ducis Prusiae Libri de arte militari mandato regis Polon. Sigismundi Augusti scripti, nunc primum e codice authentico principis palatini Adami Czartoryski, sumptibus bibliothecae polonicae editi. Lutetiae Parisiorum, typis L. Martinet 1858* fol. kart 2 str. VI i 32 z 4 faximil. tabl. suto złoconemi i litografow. wizerunkiem Zygmunta Augusta podług oryginalnego olejnego obrazu. Albrecht książe pruski napisał obszerne dzieło na 7 oddziałów podzielone o sztuce wojennéj w języku niemieckim pod tytułem: *Von der Kriegesordnung oder der Kunst Krieg zu führen*, które d. 10 sierpnia 1555 w Królewcu, pokrewnemu swemu Zygmuntowi Augustowi królowi polskiemu poświęcił. Oryginalny rękopis tegoż dzieła z licznemi rysunkami przechowuje się dotąd w bibliotece król. w Berlinie. Z polecenia królewskiego zajął się polskim przekładem tegoż dzieła Maciéj Strubicz dworzanin królewski i w Wilnie d. 1 sierpnia 1561 jak świadczy przypis do króla, pracę swą ukończył pod tytułem: *Xyęgy o ricerskych rzeczach, sprawach woyennych z pilnoscyą zebrane a porządkyem dobrem spysane.* Ozdobnie pisane tłumaczenie podobnież z rysunkami ręcznemi posiadał w XVII wieku hetman Jan Karol Chodkiewicz, ponim król Jan III, którego syn Jakób Sobieski darował go Andrzejowi Chryzost. Załuskiemu biskupowi. Z biblioteki Załuskich dostał się rękopis Tadeuszowi Czackiemu, którego zbiory przez kupno stały się własnością księcia Adama Czartoryskiego. Pomimo ozdobnego i z wielkim przepychem dokonanego, a nawet co do ceny od pańskich edycyj hr. Działyńskiego nieró-

wnie tańszego wydania paryzkiego, bardzoby się ten oszukał, ktoby z tego wydania chciał powziąść blższą wiadomość o sławném dziele księcia pruskiego Albrechta: zasługuje ono raczéj na nazwę prospektu, bo zawiera tylko dedykacyją tłumacza, przedmowę autora, wstęp wierszem i rejestr. Zamiast suto złoconych a mało co pouczających podobizn pisma nie tak zbyt starego, wolelibyśmy widzieć faksymilia ciekawych rysunków ówczesną sztukę wojenną objaśniających i czytać treściwe wypisy z samego dzieła rzucające niejakie światło na sprawę rycerską XVI wieku.

**Warszawa.** Kwietniowy zeszyt Biblioteki Warszawskiéj zawiera następujące artykuły:

Wybór poezyi Horacyusza przekład tłumacza Fausta Goethego.

Kilka uwag hist. statyst. O guber August. Skreślił B. Tykel przypisy dołączył Antoni Waga.

Dumy, pieśni i skazki Ukraińskie p. Erazma Izopolskiego.

Rys hist. Opery polskiéj p. Maurycego Krasowskiego.

Kronika paryska literacka. Obiory akademickie. *La Jeunesse* komedya p. Emila Augier. Nowe wydanie podróży hrabiny Belgiojoso. Podróż malownicza nad brzegami Renu p. Edmun. Texies.

Pamiętnik z czasów rzezi Indyjskiéj 1857 r.

*Poezye:* Most (z Wiktora Hugo) p. L. Niemojowskiego. Góral p. W. Chomętowskiego.

*Kronika Literacka.* Przegląd dramatyczny. Czatterton dramat Alf. de Vigny p. Apolla Korzeniowskiego. Samobójstwo jako sprężyna dramatyczna. Wystąpienia A. K. przeciw krytykom. Dygressya o Fauście, *El magico prodigioso* i Manfredzie. Porównanie *komedyi* dramatu St. Korzeniowskiego z Grybojodowa: Biada temu kto ma rozum. Anna Oświęcimowna poemat dramatyczny M. B. Antoniewicza; zdanie Szajnochy w tym przedmiocie. Porównanie tegoż poematy z Abufarem Ducisa, z *La devocion de la Cruz* Kalderona i z die *Ahufrau* Grillparzera p. Wiktora Bolesława. Obrazek dziejów lit. polskiéj, skreślił Adam Poraj. *Czas.* Dodatek na styczeń. *Korrespondencye.* Posiedzenie oddziału Archeologii w Tow. krakowskiem. Do Redakcyi Biblioteki od Piwarskiego. Wyjątek z listu Szajnochy do Wojcickiego i t. d.

Z tegoż zeszytu Biblioteki wyjmujemy następujące nowości literackie:

— Nakładem księgarza S. H. Merzbacha wyszedł tom trzeci pism Adama Mickiewicza, obejmujący pierwsze VI ksiąg Pana Tadeusza Wydawca w przedmowie mówi: „W wydaniach powieści Pan Tadeusz, a głównie w ostatniéj edycyi 1844 r. w Paryżu ogłoszonéj, pokazało się wiele błędów i opuszczonych kilka wierszy, których brak był widoczny. P. E. Januszkiewicz, powziąwszy wiadomość o wydaniu niniejszém, które ogłaszam, nadesłać nam raczył sprostowanie tych błędów i opuszczone wiersze z exemplarza swego Pana Tadeusza, w którym własnoręcznie sam wieszcz nieśmiertelny, jedne poprawił, drugie dopisał.

— Równocześnie wyszedł IV tom pism naszego wieszcza, obejmujący od księgi VII do XII Pana Tadeusza, z dopełnieniami i waryantami, jakie zostawił Mickiewicz. Nadto wydawca dodał wiadomość o poemacie z dziejów litewskich „Korybut książę No-

wogródka". Mickiewicz w r. 1822 w wydanych dwóch tomikach swoich poezyj w Wilnie, pierwszy raz ogłosił „Grażynę" powieść litewską. W pierwiastkowym przecież brulionie własnoręcznym dał temu utworowi napis: „Korybut książę Nowogródka, poema z dziejów litewskich". W ciągu dalszym, już przy końcu, w miejsce Korybuta mieści Litawora. Główną postacią, bohatérką tej powieści była Karyna, którą w epilogu dopiero przezwał Grażyną. Rękopism ten pisany w kroju arkuszowym bez oznaczenia stronnic, jest dziś drogocenną ozdobą księgozbioru Alexandra hr. Przezdzieckiego". Wydawca następnie szczegółowy daje opis tego autografu, porównywa go z drukowaną Grażyną i wydatniejsze zmiany przedstawia, podając cały epilog z rękopismu, ponieważ zupełnie się różni od drukowanego. Do tegoż tomu w końcu dodaną jest jeszcze Kasydą z arabskiego „Szanfary". W wydaniu tém pism Mickiewicza widzimy wielką staranność nakładcy i usiłowania w zebraniu wszystkich prac zmarłego wieszcza. Jakoż wydanie to będzie o wiele bogatszém od wszelkich innych dotąd ogłoszonych drukiem, a nadto pomieści w sobie przekłady Mickiewicza, drobne poezye, i prelekcye o literaturze słowiańskiéj. Papiér w tym tomie znacznie grubszy, przez co i druk nowy umyślnie sprowadzony z Berlina do wydawnictwa tego, wydaje się lepiéj jak w poprzednich.

Dr. Wiktor Szokalski ukończył już piérwszy tom swego dzieła: „Wykład popularny złudzeń fantastycznych, w celu wykorzenienia zabobonów i przesądow ludowych," nad którémśod roku już pracuje.

Niebawem wyjdzie z druku utwor Ferdynanda Chotomskiego. „Publiusza Wirgiliusza Marona Enejdy przenicowanéj ksiąg dwanaście". Wiele lat już upłynęło, jak téj przenicowanéj Enejdy pokazywały się wyjątki w dawnych pismach czasowych; więcéj od tamtych czasów kraj doznał odmian: zmieniły się wyobrażenia literackie i pojęcie znaczenia poezyi. Autor, który w kwiecie wieku zyskał popularne imię w narodzie, utworami pełnemi prawdziwego humoru i dowcipu, dziś osiwiały doświadczeniem i laty, po długiéj pielgrzymce w obcych krajach, wróciwszy na rodzinną ziemię, Enejdę swoją ogłasza.

— Napoleona Dębickiego arkusz 2-gi „Scen życia", obejmuje pięć scen. Na czele rycina z podpisem: „Et tu Maryniu contra me?" przedstawia przy uczcie dwóch smakoszów siedzących i podciętych, z których jednemu ładna Marynia nalewa szampana, drugi z rozbolałą miną wyczerpuje cały zapas łaciny jaki ma, w gorzkiéj skardze, którą czytamy. Dwóch towarzyszów uczty stojących, zajętych jest zajmującą rozmową, a jak widać zastósowaną do dobroci wina.

Rycina z napisem „Poezya i proza" ukazuje poetę w zachwycie, który z wyciągnionemi w górę rękoma, radby ulecieć w powietrze; ale dwaj żydzi, wierzyciele snać jego, przytrzymują go silnie: to za połę, to za nogę. „Członkowie towarzystwa wstrzemięźliwości" ledwo się mogą na nogach utrzymać, i we dwóch każdy inną chce iść drogą. „Wenus i Amor" grupa mitologiczna, kopia z Thorwaldsena", przedstawia dobrze otyłą damę z wydatném popiersiem, lornetującą, i

rozpartą w faetonie Wenery, który dwa gołąbki ciągną. Podżyły elegant ze skrzydłami Amora przygląda się przez okulary, przepływającéj w kurzawie miejskiéj piękności. „Ranek po pracowitéj nocy," zamykający ten arkusz, przedstawia gruppę kilkunastu mężczyzn śpiących smaczno. Butelki, kielichy i karty wymownie wskazują, w jak ciężkiéj pracy noc poprzednią spędzili. Publikacya ta, odznaczająca się oryginalnością pomysłu, coraz większe znajduje upowszechnienie.

— Księgarz i typograf petersburski B. M. Wolff wydał: Żeligowskiego, znanego pod pseudonymem Antoniego Sowy, autora Jordana: 1) „Dziś i wczoraj": rysy biograficzno-obyczajowe i bajki przez Onegdajskiego w II tomach. 2) Poezye Antoniego Sowy. W dwóch tych utworach szczególnie uderza wielka różnica językowa: w prozie wielka nieumiejętność władania ojczystym językiem; w wierszach nieporównanie język ten jest piękniejszym i czystszym. 3) „Podróż po księżycu" odbyta przez Serafina Bolińskiego, opisana przez Dra T. Tripplina.

— Z galeryi królów polskich Jana Felixa Piwarskiego wyszedł wizerunek Bolesława Chrobrego w pięknem odbiciu z zakładu litograficznego M. Fajansa. Zeszyt pierwszy obejmujący portrety królów polskich, zdobiących niegdyś salę marmurową zamku warszawskiego, wyjdzie wkrótce i zawierać będzie wizerunki: Bolesława Chrobrego, Kazimierza W., Ludwika króla węgierskiego i polskiego, Jadwigi królowéj, Stefana Batorego i Jana Kazimierzą. Na głównéj karcie tytułowéj przy ostatnim zeszycie przygotowywa wydawca wielce szacowną pamiątkę: będzie to w naturalnych rozmiarach korona Bolesława Chrobrego z rysunku najwierniejszego, jaką król Stanisław August pod swojem kazał zrobić okiem i pod nim własnoręczne w języku francuzkim dał objaśnienie. Podpis ten cały wpodobiznie będzie dany pod koroną. Po karcie tytułowéj daje wydawca krótką wiadomość historyczną tak sali marmurowéj zamku warszawskiego, jakoteż utworzenia i sposobu malowania tej galeryi przez M. Bacciarellego.

— Wydawca Wieńca dla ś. p. Stanisława Jachowicza ogłosił w pismach naszych, iż z powodu obfitości artykułów, spełniając życzenia zgasłego męża, ażeby wszystkie utwory nadesłane, ogłoszonemi były drukiem; dodany zostanie VII zeszyt z wizerunkiem St. Jachowicza, ofiarowanym przez przyjaciela jego Seweryna Oleszczyńskiego, i prenumerującym tożpismo do 10 marca r. b. bezpłatnie dodany.

— Jeden z najpierwszych naszych rzeźbiarzy Władysław Oleszczyński pracuje obecnie nad nowym pomnikiem dla ś. p. arcybiskupa Woronicza, który stanie w tém samém miejscu jak obecny w kaplicy katedry naszéj. Szczupłość miejsca robiła trudność niemałą każdemu artyście, którą Wład. Oleszczyński szczęśliwie potrafił zwyciężyć. Dwie postacie niewieście podpierające wieniec, okalający wizerunek, kapłana-wieszcza, przedstawiają poezyą i prozę. Model do posągu Kościuszki już wykończył: będzie to jedna z prac pomnikowych tego artysty.

— Karol Beyer wydał zeszyt 2gi dopełnienia dzieła Edwarda hr. Raczyńskiego: „Gabinet Medalów polskich, oraz tych, które

się dziejów polskich tyczą“. Zeszyt ten obejmuje medale z panowania Zygmunta III: jest tu opis 25 nieznanych lub opuszczonych medali w dziele Raczyńskiego: z panowania Władysława IV medali szesnaście, wraz z odbiciem każdego fotograficzném jak najdokładniejszém. Text dokładny objaśnia opis medali. Gdy autor ukończy swoję publikacyą, praca jego uzupełniająca dzieło Ed. Raczyńskiego, będzie drogocennym nabytkiem dla literatury naszéj.

— Nakładem litografii A. Pecq'a wyszedł zeszyt 3 i 4, obejmujący wizerunki z Galeryi łowickiéj arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów, objaśnione textem historycznym p. J. Bartoszewicza. Zeszyty te zawierają portrety: 1) Piotra Leszczyca. 2) Marcina Zabawy. 3) Jakuba Zninus. 4) Piotra Srzeniawity, 5) Jana Jaxy. 6) Błogosławionego Bogumiła Poraj 7) Piotra Annonymusa. 8) Zdzisława Kozłoroga. Do tych zeszytów, dla prenumeratorów dodał wydawca bezpłatnie wizerunek czcigodnego i powszechnie wielbionego ks. Benjamina Szymańskiego biskupa dyecezyi podlaskiéj.

— Nakładem litografii Pecq'a wyszedł wizerunek Adama Mickiewicza, wedle portretu Zofii Szymanowskiéj (siostry żony zmarłego wieszcza), z natury malowanego na dwa lata przed zgonem poety.

— W drukarni S. Orgelbranda postępuje druk dzieł: „Dzieje Księztwa Mazowieckiego“, przez Kozłowskiego; „Gigantomachia Augustyna Kordeckiego,“ (opis oblężenia i obrony Częstochowy za Jana Kazimierza), przełożył z łacińskiego Jozef Łepkowski: drugi tom przekładów Szekspira p. Komirowskiego. Wkrótce rozpocznie się druk Komedyi Boskiéj Dantego w przekładzie ś. p. Juliana Korsaka.

**Wilno.** Pseudonim, Jan z nad Berezyny wydał: Kalejdoskop życia w formie dramatycznéj. Syrokomli dramat: Kasper Karliński znalazł wielkie powodzenie na scenie Wileńskiéj, tenże autor napisał nowy poemat: Krzyż na Siemionowéj górze.

Jedna z pracowitych dam tamtejszych wydała książkę pod tytułem: *Kucharka litewska, zawierająca przepisy sporządzania rozmaitych rodzajów potraw oraz ciast i przysmaków przez W. A. L. Z. nakładem autorki, drukiem Józ. Zawadzkiego*, w 8ce str. 508. Obok rozlicznych potraw zagranicznych w które kuchnia nasza obfituje, obok auszpików, majonezów, amoretek, wafli, zefirów a nawet piławu i dołmy tureckiéj, znajdujemy tu także sposoby przyrządzania potraw czysto narodowych jakiemi są: barszcz, kapuśniak, zupa ruska-ucha postna, chłodnik litewski z botwiny, bigos hultajski, Wereszczaka, Karp po polsku, sztokfisz po kapucyńsku, pierogi, grzybek litewski, kołdunki tyszkiewiczowskie, szałtanosy ukraińskie, mędrzyki, bliny, pyzy, mazurki, placki, strucle, kołacze, baby petynetowe warszawskie, pierożki toruńskie i t. p. specyałów.

Zasłużony publiczności krajowéj wydawca Album wileńskiego p. J. K. Wilczyński ogłosił dalszy ciąg swego pięknego wydawnictwa obejmujący następujące przedmioty: 1) Jan Niezabitowski poraża Tatarów pod Zbarażem; epizod historyczny. 2) Monument dłuta Pampeloniego znaj-

dujący się w Czerwonym dworze. 3) Wizerunek królowéj Barbary, podług oryginału znajdującego się w Nieświeżu (grand folio). 4) Wizerunek Ogińskiego wojewody trockiego fundatora kaplicy Bożego Ciała przy kościele ś. Jana. 5) Wizerunek N. P. Pocieszenia, podług obrazu znajdującego się w kościele S. Jana (rytowany na stali) 6) Wizerunek Anioła Stróża (staloryt). 7) N. Panna Bolesna, (rytowana na stali). 8) Dalszy ciąg Szkiców A. Bartelsa.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowied. Czapliński Ant. Prowizor drukarni.

# SPROSTOWANIE

## pomyłek drukarskich w zeszycie marcowym.

---

Str. 485 wiersz 30 *zamiast* charakter, *czytaj* charakteru
„ 488 „ 7 i 8 „ Niemcy północne Niderlandy *czytaj*: Niemcy północne i Niderlandy.
„ 490 „ 6 „ Hoffem, *czytaj*: Wolffem.
„ 491 „ 12 „ Latarnią „ Laternią.
„ 492 „ 34 „ Lubeku „ Lubeka.
„ 493 „ 16 „ Ludenhausen, *czytaj*: Ludinghausen.
„ 495 „ 11 „ zecie, „ przecie,
„ „ „ 12 „ tém „ w tém.
„ „ „ „ „ ieście „ mieście.
„ „ „ „ „ pe „ per
„ „ „ 13 „ a „ dla.
„ „ „ „ „ słab o „ słabego
„ „ „ „ „ JMć „ JMciéj
„ 501 „ 5 „ januari „ jauuarii
„ 502 i 503 notkę uro. 35 należy połączyć z notką ur. 36 i obie w miejsce téj ostatniej umieścić.

| | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|
| „ 503 | „ | 6 | *zamiast* wyjeżdżał, | *czytaj*: | wjeżdżał |
| „ „ | „ | 9 | „ sporządził | „ | oporządził |
| „ 505 | „ | 14 | „ obłoku | „ | Ołoboku (miasteczku) |
| „ „ | „ | 30 | „ którego | „ | któregom |
| „ 507 | „ | 3 | „ Lonore | „ | Louvre |
| „ 508 | „ | 4 | „ tamen | „ | tamem |
| „ 509 | „ | 26 | po słowie: doctrinae, domieścić należy opuszczony odsełacz do notki nr. 55. | | |
| „ 511 | „ | 12 | „ lutersk | „ | luterski. |
| „ 514 | „ | 25 | „ tanąłem | „ | stanąłem |